

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XI.

ROK III.

TOM III — ZESZYT I.

Lipiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1878.

SPIS RZECZY.

NERO,

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH,

przez

PIOTRA COSSA.

Wolny przekład wierszem, z objaśnieniem wstępném i przypiskami, dokonany

przez

KAZIMIERZA KASZEWSKIEGO.

OSOBY:

LUCIUS DOMITIUS NERO.
AKTEA, wyzwolenica.
EKLOGA, niewolnica i tancerka grecka.
VARONILLA LONGINA.
CLUVIUS RUFUS, prezes senatu.
MENEKRATES, błazen.
PETRONIUS, stary gladiator.
NEVIUS, aktor.
NASO, handlarz niewolników.
MUCRO, właściciel gospody.
ICELUS, setnik legionistów.
VINICIUS, dowódca pretoryanów.
BABILIUS, astrolog.
FAON, EPAFRODYT — wyzwoleńcy Nerona.
Niewolnica etiopska.

Niewolnice,—Wyzwoleńcy,—Pretoryanie,—Legioniści.

Rzecz dzieje się: akt 1, 3 i 4 w różnych komnatach złotego pałacu Nerona, w Rzymie akt 2 w gospodzie Mukrona na przedmieściu zwaném Suburra; akt 5 w domku Faona na gościńcu, o kilka mil od Rzymu.

Objaśnienie wstępne.

Kto był Nero, tłómaczyć nie potrzebujemy ogółowi, zamknąć tylko możemy definicyą charakteru téj wyjątkowéj osobistości w dwóch słowach: był to okrutnik podszyty artystą. Dwa też te rysy jego charakteru, najgłówniejsze, przedewszystkiém analizuje autor w sposób poetycznie udramatyzowany; dodatkowo do tych rysów, przychodzą jeszcze: tchórz i rozpustnik, próżniak, mąż stanu żaden, w którym gdzieś niegdzieś przebłyskują zacne przymioty duszy z przedimperatorskich czasów. Oto amalgama duszy Nerona, pod względem historycznym najprawdziwsza. Obok głównéj postaci, zgromadził autor inne elementa epoki, przerażającéj swym cynizmem i upadkiem moralnym. Nie ma tu już walki dobrego i złego, bo wszystko było wówczas złém. Cokolwiek mogło świadczyć o dawnéj cnocie rzymskiéj, już wówczas zaległo w grobie, strącone ręką cezara: autor snadź nie chciał popełniać anachronizmów. Jedyny więc żywioł, jedyny przytułek jakiéjś wznioślejszéj idei, autor mieści w kobiécie niedopsutéj, w Aktei, faworycie Nerona; ale i ta nie służy tu za żadne wcielenie ideału, jest tylko po prostu lepszą od innych. Nazwał swe dzieło autor „komedyą." Tytuł to za głęboki dla ogółu; myśmy je z tego powodu przezwali „dramatem." Tragedyą nie jest, bo, jak rzekliśmy, nie ma tam walki dwóch przeciwieństw, woli człowieka z fatum; nie ma charakterów tragicznych. Jest to właściwie *komedya*, gdyż towarzystwo tego świata, w którym obraca się dzieło, uśmiecha się wszystkiemu i śmieje się ze wszystkiego, z cnoty jak i ze zbrodni, z tryumfu równie jak i z męczarni, tylko że śmieje się szyderczym i cynicznym śmiechem szatanów. Poważnieje wtedy tylko nieco, gdy chodzi o własną skórę, o interes osobisty. Wielcy zbrodniarze siedzą w małych duszach, zbywają się konceptami, ironią, któréj sam przywódca daje największy przykład, przechodząc bez żadnego wysiłku od zbrodniczego jakiegoś wyroku do uniesień nad pięknością sztuki lub do wzruszeń miłośnych: oto komedya. Niechaj się strzeże społeczność, by w niéj członkowie podobnéj nie odegrywali komedyi, bo gdzie się ukażą symptomata podobne, tam piąty akt na podobieństwo niniejszego, niedaleki; a symptomatami temi jest podwójna logika, użycie i łzy ofiar. Okrutnik Nero nie jest jeszcze ostatnim wyrazem okrucieństwa, nie pełnił go z rozkoszy, ale więcéj ze strachu; Rzym spalił by go odbudować piękniejszym, komuna paryska paliła i waliła, ażeby tylko niszczyć.

Dramat napisany jest prozą niby rytmiczną, ale jakiéjś miary bezprawidłowéj, udającą wiersz, który może ma jaki wdzięk arty-

styczny w języku włoskim, ale w naszym byłby karykaturą. Pozwoliliśmy więc sobie ująć całe dzieło w dykcyą rymowaną, swobodę oryginału, zastępując stosownie do myśli, większą lub mniejszą rozległością wiersza. Gdyby kto zechciał porównywać, a znalazł pewne odstąpienia od oryginału w myślach i samém nawet obrazowaniu, uprzedzamy, że są one umyślne, w mniemaniu naszém pożyteczne, czy to pod względem smaku czy ekspresyi. Możemy się mylić, ale takiém było przekonanie nasze artystyczne. Odstąpień tych jest za wiele byśmy je mieli pojedyńczo wskazywać. Wymienimy tylko główniejsze, jak piosnka gladiatora w akcie 2, która jest zupełnie naszym pomysłem, oraz pean z aktu 4, stanowiący swobodną pod względem myśli i formy parafrazę. Jesteśmy pewni, wreszcie, że wszelka piękność oryginału, w najdrobniejszym szczególe została przez nas uszanowaną, a odstąpienia dotyczą tego tylko, co nam wydało się słabszém lub mniéj z duchem całości zgodném.

AKT I.

SCENA I.

Sala w złotym dworcu Nerona.—Między filarami posągi, pośród tych statua Wenery.—Nero siedzi, dyktując wiersze wyzwoleńcowi swemu Epafrodytowi, który stoi przy cesarzu, trzymając w ręku tablice woskowe i styl; z głębi sceny nadchodzi błazen Menekrates i zbliża się w pokłonie (1).

MENEKRATES.

Neronie, świata Rzymskiego panie,
Pięćkroć konsulu, imperatorze,
Ojcze ojczyzny, arcykapłanie.....

NERO.

Dość, błaźnie. Gadaj, co tam na dworze?....

MENEKRATES.

(schylając się złośliwie nad uchem cesarza).

Dwoje ich czeka tam na uboczu,
Co chcą się zbliżyć do majestatu:
Pierwszym jest łysy książę senatu,
Drugą—dziewica w pełnym warkoczu.

(po chwili, patrząc mu w oczy)

Kto pierwszy?

NERO.

Książę.

MENEKRATES (*z zadziwieniem*).

Łysy?

NERO (*z uśmiechem*).

Cóż za dziwy!

Sprawom się państwa należy wzgląd pierwszy. (2)

MENEKRATES (*idąc w głąb sceny*).

Już widzę, dzień ten będzie nieszczęśliwy.

NERO (*do Epafrodyta*).

Ty odejdź; późniéj dokończymy wierszy.

Epafrodytes składa tabliczki i styl,—wychodzi).

SCENA 2.

NERO, MENEKRATES, CLUVIUS RUFUS.

RUFUS (*podchodząc do cesarza*)

Senat Nerona pozdrowieniem wita.

NERO (*zżymając ramionami, siedzący*).

Ej! dzięki bogom, zdrowia mam do syta.
Zwaliłem w cyrku niedaléj jak wczora
Najsilniejszego z silnych gladiatora. (3)
Drab w Herkulesa! Klaskano mu grzmotem,
Współzapaśników ścinał z nóg pokotem;
Lecz gdy ja pięścią musnąłem go w chrzęście,
Zwinął się w kłębek. Na pokaz pięście,
Mój dobry Rufie: świadczą że jest siła
Zdrowia, z którém cię senat tu posyła.
Lecz ja ci wskażę kogoś co,—nieszczęście!
Pomiędzy życiem a śmiercią się waży;
Tego polecam pilnéj Ojców straży:
To skarbiec! Skarbiec niech od śmierci strzegą!

MENEKRATES.

Nowe podatki uleczą chorego.

RUFUS (*z zamyśleniem wpatrując się w Nerona*).

I chcesz....

MENEKRATES.

Prowincyi mamy moc wśród świata,
A każda wielka, wierna i bogata!

NERO.

(uśmiechnąwszy się ku Menekratesowi,—do Rufusa)

Co myślisz o tém, dobry mój Rufinie?
Błazen się jakoś zna na medycynie.
(powstaje i zmienia ton mowy)
Jutro to słońce wejdzie na niebo
Co nad Akcyjską lśniło potrzebą.
Rocznica wielka, szkatuła pusta.
Ja, zwycięzkiego prawnuk Augusta,
Radbym rocznicę uczcić wspaniałą
Ucztą, igrzyskiem, jako przystało.
Pytam dozorcę zwierząt:—„Pod hecą
Mam w cyrku wielkim trzydzieści lwów,
I tygrysiego drobiazgu nieco,"—
Powiada do mnie.—Bywajże zdrów!
(wybuchając gniewnym okrzykiem).
Ej, na Statora! Tożby dopiéro
Ślicznie przed ludem, osądźcie sami,
Wyglądał ojciec ojczyzny Nero,
Z temi kiepskiemi trzydziestu lwami!

RUFUS.

Gdy ci igrzyska taką budzą trwogę,
Może na uczcie poprzestać dogodniéj.

MENEKRATES.

A ci Kwiryci tacy zawsze głodni!

NERO.

Chciałbym nakarmić ich, spoić:—nie mogę.

RUFUS.

Nie możesz?

NERO.

Skarbiec mój resztkami goni.

RUFUS.

Jednak prowincye......

NERO.

Niosą hojne dary,

Ale je moja dobroczynność trwoni. (4)
Cóżeś tak we mnie wlepił wzrok, mój stary,
Jakbyś osłupiał? Niktby nie dał wiary
Że ten cesarski płaszcz mój bramowany
Złotem, żebracze okrywa łachmany;
Że ja, wszéj ziemi pan, w złocistym dworze
Mieszkając, wkrótce zmuszon będę może
Siąśdź gdzie na rynku, witając podróżne,
Wyciągać do nich rękę po jałmużnę.

(gwałtownie pociąga za togę Rufusa, który słucha go w osłupieniu).

Niechże mnie senat ratuje w téj nędzy,
Niech co poradzi! Nie mam nic pieniędzy:
Wierne me nawet pretoryańskie straże
Od trzech miesięcy,—jak to upokarza!....
Ukochanego oblicze cesarza
Widzą tylko na sztandarze.

MENEKRATES *(z westchnieniem).*

I ta pociecha wkrótce im ustanie,
Gdy brak ten potrwa: biédni pretoryanie...

NERO *(z obawą).*

Co mówisz?

MENEKRATES *(zimno).*

Oni nie złamią ci wiary,
Ale sprzedadzą sztandary.

NERO.

Bodajeś w piekle z twym językiem siedział!

MENEKRATES.

O, biedny język! On prawdę powiedział.

(po chwili, do Nerona)

Nero się biedzi, a na mą duszę!
Bogaci żyją tam patrycyusze.

NERO *(z niechęcią, i udając zdziwienie).*

Słyszysz mój dobry Rufie, te słowa?
O patrycyuszach bogatych mowa!

MENEKRATES.

Na przykład; Kassyusz Longinus, który
Biegłym jest w prawie a ślepooki,
Ma cztery wille: dwie na stokach góry

Partenopejskiéj co sięga w obłoki,
Jedna w Pompei mu się uśmiecha,
A jednę budzą Tuskulańskie echa.
Kilka dni temu ostatnią widziałem.
I nic się z moim nie zrówna zapałem:
Zdumiewająco wspaniała,
A posągów ludność cała.

NERO *(ręką uderzając się w czoło)*.

Na Zeusa! u mnie posągów tak mało!

MENEKRATES.

Z tych, które zdobią przedsień okazałą,
Jeden mnie istnie przeraził w téj ciszy,
Bo taką pychą ten marmur dyszy!

NERO *(pytając ciekawie)*.

A był to?.....

MENEKRATES *(z uśmiechem)*.

Brutus, morderca Cezara,
Nędznik....

NERO.

Nie dla mnie ta kamienna mara *(otrząsa się)*.

MENEKRATES *(szybko)*.

Ślepy też tylko u siebie może
Mieć taki posąg.

NERO *do Rufusa*.

Cóż, senatorze:
Ślepy,—to człowiek niby w połowie
Umarły?

MENEKRATES *(uradowany, że trafił w gust cesarza)*.

Niech mnie skarzą bogowie!
Że, słowo w słowo, wszech ziemi panie,
To moje rozumowanie!
Ten marmurowy Brutus co znaczy?
To, że właściciel jego junaczy
Czcią dla żywego, śle mu pokłony:
To Pompejusza stronnik.

RUFUS *(śmiejąc się)*.

Spóźniony!

MENEKRATES.

Co mi do tego! Rzecz biorąc ściśle
To buntownik jest w umyśle;
Co na złość Rzymskiemu światu
Knuje zdradę majestatu.

NERO *(klepiąc po ramieniu błazna).*

Na ten raz twój język chwalę.

MENEKRATES.

Albożż skłamał?

NERO.

O! nie; wcale.
Więc, dobry Rufie, otwiéraj uszy;
Za twoją sprawą, niech się poruszy
Nasz dobry senat. On, stróż zakonu,
Niech ściga wrogów państwa i tronu:
Praw skarbu, ja sam pilnować muszę.

MENEKRATES.

Najcięższéj nienawidzą tych praw patrycyusze.

NERO.

Ja patrycyuszów nienawiść lubię.
Odkąd ów Sylla, ku wolności zgubie,
Począł toporem sprawiać dyktaturę
I skruszył topór,—w płomieniach rozbratu
Zgorzał spróchniały gmach patrycyatu.
Na zgliszczach jego powstał genjusz nowy,
Mściciel Maryusza, mściciel ludowy:
Genjusz Cezara. A dla nas, którzy
W ślad za nim przewodzim światu
Ludem, nie garstka mężnych, chytrego senatu
Wolą rzucona ze szczytu tych wzgórzy,
Walcząca w dali: dla nas Rzymskim ludem zwie się
Każdy, gdzie rzymski orzeł władczą głowę wzniesie. (5)

MENEKRATES.

I gdzie wyraz—podatek, nie obcy jest mowie.
Wczoraj przez forum szli dwaj Scytowie;
Ręczę, że oni uczyć się chcieli
Rzemiosła rzymskich obywateli.

RUFUS *do Nerona.*

Ty wiész, że senat zawsze gotowy

Nad bezpieczeństwem czuwać twéj głowy.
Przypomnij spisek Pizonów: siła
Niebezpieczeństwa bardzo się ważyła;
Jednak powaga Ojców czcigodna
Okryła ciebie. Tłuszcza krwi głodna
Przyklaskiwała twojéj siekierze
Co buntownicze karki odcięła;
I każden taką karę odbierze
Co się nowości podejmie dzieła.
Alebym nierad na dalsze ziemie
Nowych podatków dorzucać brzemię.
Już w legjach Galii,—wieść niesie,—
Rozruch....

NERO (*przestraszony*).

Co! rozruch? Czegoż im chce się?
To ty, mój Rufie, tę rzecz poprowadź....
Windex powinien legje zdziesiętkować.

MENEKRATES.

Tém swych liktorów nazbyt obarczy.

NERO.

Dla ciebie, błaźnie, jeden wystarczy.

MENEKRATES (*macając się po karku*).

I tego nadto.

NERO.

Rufie, powiédz no mi szczerze,
Czego żądają tamci żołnierze?

RUFUS.

Jedna kohorta w zwycięztwa szale
Krzyknęła:—Windex cesarzem!
Lecz inne za nią nie poszły wcale.

NERO (*coraz bardziéj przestraszony*).

Czy prawdę mówisz? Windex takimże zbrodniarzem?
To ja przed Marsem, wojennym bogiem,
Głoszę Windexa ojczyzny wrogiem!
Niech zaraz dowództwo składa
I wraca zeznać zkąd mu ta zdrada...
Ale czy pewne te słuchy złowieszcze?
Powiédz.... czy jestem cesarzem jeszcze?

RUFUS.

Jesteś,—i senatowi nawet się nie zdało
Nakazać modły dziękczynne; tak mało
Waży on sobie ów okrzyk wojskowy:
Lecz pragnie przezwać gwoli twojéj chwały
Nerońskim miesiąc kwietniowy.

NERO.

I ja się zgadzam.

MENEKRATES.

Nero jest wspaniały!

NERO.

Byłoby nawet wcale do życzenia
Nie Kwiecień, lecz Rzym nazwać od mego imienia.

MENEKRATES.

Tak, *Neropolis!....* Świetnie! (6)

NERO.

A mówcie co chcecie,
Do takiego zaszczytu jać mam prawo przecie.
Romulus wzniósł tu kilka chat,
I mur przez który skakał jego brat;
Na starych wzgórzach ja wyciągnąłem
Szereg portyków, obwiodłem je kołem
Łuków, teatrów, łazienek bez miary,
Którym nieść musi morze codzienne ofiary.

RUFUS.

Życzenie twoje prawem będzie senatowi.

NERO.

Idź więc, mój dobry Rufie, i powiedz ludowi,
Że gdy nie mogę przyjąć go w arenie
Jakobym życzył,—niech sposobi dłonie,
Bo sam wystąpię na publicznéj scenie..... (7)
Będziem podziwiać *Edypa w Kolonie!....*
Ah! ten Sofokles, cóż to za artysta!
Nadludzki, w pośród tragików najpierwszy!
Jakaż harmonja wielka, uroczysta,
Jego i myśli i wierszy!

(biegnąc żywo do Rufusa, który ma się ku wyjściu)

Jeszcze słóweczko, zacny prezesie.

Windex niech zaraz tu się przeniesie.
Rozumiesz?..... On mi przecież ubliża....
Zuchwalca, zdrajcę, przybić do krzyża.
(Rufus wychodzi).

SCENA 3.

NERO, MENEKRATES.

NERO.

Wprowadź że teraz dziewczę z pełną kosą,
A sam idź gdzie cię oczy poniosą.
Błazen z książęciem naszego senatu
Odpowiadali jako brat bratu,
Jak łysa czaszka świecącéj dyni.
Lecz piękność prosta czy okazała,
Takby twéj pałce odpowiadała
Jak wiersz Pindara kwiczeniu świni.

MENEKRATES.

To porównanie godnym cię Homera czyni.
(odchodzi).

SCENA 4.

NERO, późniéj EKLOGA.

NERO.

Windex cesarzem okrzyknięty..... Biada!....
Co to, drżę? Głupstwo! Ja go się nie boję.
Ten lud jest moim, lud za mną przepada.
Tysiącogłową potworę uzbroję
I rozjuszoną na lisa wysadzę
Co się pod moję podkopuje władzę.
Tymczasem życie niech złocą rozkosze!
(*spostrzegając u wnijścia Eklogę*)
A oto idzie ich bogini. (*do Eklogi zapraszając*)
Proszę!....
Ha! jam cię widział już jak lekką nogą

Tańczyłaś wczoraj na teatrze, cała
W girlandach..... Imię

EKLOGA.

Zowią mnie Eklogą.

NERO.

Ojczyzna twoja?

EKLOGA.

Grecya mnie wydała.

NERO (*patrząc na nią z zapałem*).

I tyś Greczynką, o! płowa dziecino!
Ah! ja zachwycam się twoją krainą:
To świat piękności godzien wszechpokłonu;
Wszystko tam iskrzy pięknością w téj ziemi,
Od strof Illiady aż do Partenonu,
Do Leonida, co ze trzystu swemi
Na Termopylach wskazał zgonem dzielnym
Jak przez śmierć piękną stać się nieśmiertelnym!
Szczęśliwa ziemia, istny sen poety,
Tworzy posągi boskie i boskie kobiety,
Bo w niéj piękności bóg gospodarzy!
A lat masz wiele?

EKLOGA.

Zapytaj twarzy.
Ja tańcem zajęta cała,
Nie wiém, ilem lat przetańcowała.

NERO.

Czy jesteś wolną?

EKLOGA.

Jestem niewolnicą.

NERO.

Opowiedz że mi, biédna dziewico,
Przygody swoje.

EKLOGA.

Krótkie przygody.
Niewolę widział wiek mój bardzo młody.
Nie wiém kto wywiódł mnie na targowicę,
Nabył pan, który gwoli igrzyska

Skupował małpy, niedźwiedzie, dziewice,
I na ludowe wodził widowiska.
On to mnie kazał uczyć wesołéj
Sztuki tanecznéj.—Łatwe mozoły.
Tańcząc, przebiegłam Italskie grody:
I oto moje przygody.—
Ludność mi częste oklaski biła,
Czasem dodała wieniec dla nagrody,
Mówiąc, żem zręczna i miła.

NERO (*przybierając minę groźną*).

Wiész kto ja jestem?

EKLOGA (*z uśmiechem*).

Tyś cesarz Nero.

NERO.

Ale mnie poznasz dopiéro,
Gdy ci dam przykład méj mocy.—
Nudziłem się jednéj nocy:
Ten gość ponury i niepożądany,
Nuda, ah! często wkracza za te złote ściany!

EKLOGA.

Nie znam jéj.

NERO.

Nie znasz?

EKLOGA.

Ja śmieję się szczerze.
I tańczę.

NERO.

Zawsze?

EKLOGA.

Zawsze śmieję się.

NERO.

Nie wierzę.
Sam nawet Jowisz nudzi się w górze:
Wtedy uśpione budzi on burze,
Wywraca grody, puszcza klęsk brzemię,
Jakby chciał z gruntu wysadzić ziemię.
Podwójna rozkosz: burzyć i tworzyć,
To jakby umrzéć i znowu ożyć.
Ja, ziemski Jowisz, tamtemu wtórzę:

Tak jak on tworzę, i jak on burzę.
Mdło tliła lampa przed wzrokiem mym,
Który snu szukał. Wtedy z zapałem
Rzekłem: Chcę więcéj światła!—i wstałem,
I wstawszy spaliłem Rzym!

EKLOGA (*z uśmiechem*).

Moc masz potężną.

NERO.

Nie taką przecię
Jak ty, o! moje ponętne dziecię.
Dość już. Nie ścierpię aby twoje ciało
Rękami Gracyi gięte,—za pieniądze
Dłużéj po scenach się szamotało
Budząc lichego pospólstwa żądze.
Tobie ja, śliczne dziewczę, uczynię
W dworcu mym złotym świątynię.
Drogie wonności na płową swą głowę
Zlejesz, pod nóżek ruchy gorączkowe
Aleksandryjskie podścielesz dywany,
A klaskać będę tobie ja sam,
Co na Fidjasza sztuce się znam,
Twego współziomka, ja, w niéj zakochany.
Tę miękką rozkosz twojego ciała,
Które zawdzięczasz wytwornéj naturze,
W Paryjskim uwiecznię marmurze.
Tyś mi się, dziewczę, wielce podobała.

EKLOGA (*uchylając się przed jego uściskiem*).

Słyszałam.... coś mi się przypomina,
Opowiadano w Grecyi ludowi,
Że się Beocka jakaś dziewczyna
Podobała Jowiszowi,
Gdy Jowisz ludzkie przybierał postacie
Schodząc na Ziemię. Ah! nieszczęśliwa,
Gdy się raz zjawił w boskim majestacie,
Ona się w ślepéj miłości zrywa
I chce go objąć w ramiona...
W tém grom uderza, zalega cisza,
Ona padła spopielona!
Tedy zabija uścisk Jowisza.

NERO, (*głaszcząc ją po głowie i po twarzy*).

To stare baśnie, wśród dzisiejszych ludzi
Żadna już wiary nie budzi.

EKLOGA.

W teatrze raz, liktorów twoich lik
Zaledwie się ukazał, powstał krzyk:
„Niech żyje Cezar!“ Ja spostrzegłam cię na progu....
Drgnęłam... W tém z towarzyszek jedna rzecze: —„Płocha
Dziewczyno! Człowiek ten podobny bogu,
Ale biada kobiécie, którą on pokocha!“

NERO.

Tak powiedziała?

EKLOGA *(patrząc nań złośliwie i uśmiechając się)*

Cóżeś tak zdziwiony?
Wiedziałam już żeś swoje pozabijał żony.

NERO *(w zdumieniu, odstępując od niéj).*

Wiesz,—i z uśmiechem stoisz tu przedemną?

EKLOGA.

Cóż w tém dziwnego? Obawa daremną:
Mogę ja zginąć gdy twa ręka wskaże;
Lecz czém jest życie, Cezarze?
Ja mogę się uśmiechać, póki w méj źrenicy
Błyska młodość;—lecz czém jest młodość niewolnicy?
To wieniec, który zasadza na czole
Gość przy biesiadniczém stole:
Przy szczęku czar, które obchodzą dokoła,
Biédna girlanda spada z pijanego czoła,
Niewolnik ją podniesie i bezmyślnie
Jak zwiędły przedmiot na ulicę ciśnie.

NERO.

Przestań już zwać się niewolnicy mianem.

EKLOGA.

A pan mój?

NERO.

Ja tu jestem wszystkich panem!
Gdy wola moja, na jeden rzut kości
Dwudziestu królów stawić mogę włości.

EKLOGA.

Więc jestem wolną?

NERO.

Więcéj znaczy moje słowo:

Ty w tych komnatach jesteś cesarzową;
Ja światłem mojém twą osobę zdobię.
Wkrótce jak ku bogini, przypadnie ku tobie
Rzym na kolanach: będziem czcić boginię nową.
Ty, dotąd niewolnica; odtąd wszyscy z całéj ziemi
Niewolnikami tu będą twojemi.
Oj! starożytni, wieczni to młodzieńce,
Przez to ich młodość nigdy nie zaginie,
Że dla *piękności* stawiali świątynie
I na ołtarzach jéj składali wieńce!
Tańcuj tymczasem; na mnie Sofokl czeka,
Sofokl, którego ręka ma z grobu wywleka,
Aby raz jeszcze głosem mym zbudzony,
Wyśpiewał żale ojca Antygony.
(Wychodzi).

SCENA 5.

EKLOGA *(sama).*

Jestem więc wolną... w kwiecie mych lat!
I gdzie wymawiam te słowa?..
W domu tego któremu niewolnikiem świat!
Czyż nie snem tylko upaja się głowa?...
Wolna!... Inna krew w żyłach mych płynie,
Innėm powietrzem dyszą przestworza!..
Choćby sen tylko.... co przejdzie w godzinie?...
(klęka przed posągiem Wenery)
O! ty, coś wyszła z białych pian morza,
Co mieszkasz w Knidos i słuchasz rada
Hymnów, które ci chór dziewic składa,
Westchnień tęskniących, świata królowo,
Spraw to, o! Wenus,—niech nie opada
Kwiat wdzięku lśniący nad moją głową!

SCENA 6.

EKLOGA, AKTEA.

AKTEA.

Kobiéta? Tu?... *(podchodząc ku Eklodze)*
Kto jesteś, i zkąd tobie droga
Do komnaty cesarskiéj?

EKLOGA.

Ja jestem Ekloga,
Tancerka. A ty?

AKTEA.

Nie jest tajemnicą
Imię me, lecz ci wiedzieć o niém niepotrzeba.

EKLOGA.

Rozumiem: biedna, tyś jest niewolnicą!

AKTEA.

Bynajmniéj!

EKLOGA.

To tém lepiéj dla ciebie. O nieba!
Jam, widzisz, niewolnicą była; o! i skrycie
Opłakiwałam to wiośniane życie,
Które pan mój tak trwonił, jako obłąkany
Trwoni pieniądze. Teraz wybieram swe tany
Swobodnie, jakie wolna wyobraźnia stwarza,
Bo mym teatrem dziś jest dwór cesarza.

AKTEA.

On cię usamowolnił?

EKLOGA.

On. Cóż tak, kobieto,
Strasznie na mnie spoglądasz? Twój wzrok mnie przeraża!

AKTEA *(biorąc ją przyjaźnie za ręce).*

Ze słów twych widać żeś dziecko. Ja przeto
Chcę cię ocalić.

EKLOGA.

Ty mnie?

AKTEA.

Podaję ci ramię.
Wstrzymaj nogę, o! dziewczę, na przepaści złamie!
Czy znasz dobrze tego pana
Co cię powołał? Wierzysz w jego obietnice?
Śni ci się droga kwiatami usłana?...
Strzeż się, dziewczyno, tu są tajemnice!
Tu kwiaty dyszą rozkoszą,
Lecz śmierć ich wonie przynoszą!

Odejdź ztąd! A gdy staniesz na progu,
Wonność ofiaruj swemu zbawcy—bogu,
I nie odwracaj oczu na te ściany;
Przeklnij ten pałac zaczarowany.
Nad tym Neronem, co jednym giestem
Stwarza i w gruzy wali całe miasta,
Jedna panuje niewiasta.

EKLOGA.

A tą szczęśliwą?...

AKTEA.

Ja jestem.

EKLOGA.

A! więc to ty się Akteą zwiesz? (8)

AKTEA.

Ja.

EKLOGA.

Przed Neronem nie drżysz?

AKTEA.

Staję śmiele.

EKLOGA.

Więc ja przywiléj ten z tobą dzielę.

AKTEA.

Jakto?

EKLOGA.

Bo przed nim ja nie drżę też.

AKTEA.

Zadrżysz,—lecz wtedy gdy strach ci już w niczém
Nie dopomoże. Z tém wdzięcznén obliczem,
Z tą mową słodką, zdajesz się być raczéj
Córą Grecyi niżeli Romy.

EKLOGA.

Nie inaczéj,
Greczynką jestem.

AKTEA.

Wspólna więc ojczyzna nasza:
Jam też z Safony kraju i Fidjasza.
Jam niewolnicą weszła w niewolnicze

Mrowisko, które Rzymem się nazywa:
Lecz los oszczędzał me lata dziewicze:
W rodzie Domickim wyrosłam szczęśliwa.
Wówczas ten Nero, co ci się ukazał
Jako pan świata,—był to młodzieniaszek,
I nieprawością jeszcze się nie zmazał.
Miłeż wspomnienia dziecinnych igraszek
Które on ze mną podzielał! Czas błogi!...
Jemu zawdzięczam dar wolności drogiéj,
Którą wyprosił dla mnie. Zeszły lata:
Ja, wyzwolona, wciąż u jego proga,
A on wstępował na ten szczebel świata
Któren człowieka miał przemienić w boga.
Ale nie całkiem zginęły odblaski
Szczęśliwych czasów, ni mnie z jego łaski
Zdołały wyzuć tłumy niewolnicze
Co chodzą padać przed władcy oblicze.
Ilem widziała straszliwych klęsk!... Władza
Poi jak wino i duszę wyradza.
I ta łagodna natura,
Com ją tak w młodym kochała człowieku
Stała się zwolna w późniejszym wieku
Straszliwą srogością, która
Zrazu ukryta i rzadka,
Buchła gwałtownie i nieubłaganie
Przeciw wszystkiemu co w obręb jéj stanie.
Żona, przyjaciel, mistrz, rówieśnik, matka,
Wszystko schłonęła ta srogość wściekła;
A podszczuwacze, siedząc u bram piekła
I wynajdując spiski na podnietę,
Rachują krwawą monetę,
Uciętą głowę przyjmują ze śmiechem,
A jęk konania słodkiém dla nich echem
Wyjdź ztąd, niebaczna dziewczyno!
Nie samym miodem dni tutaj płyną.
Neron różami zwykł wieńczyć ofiary,
Ale im niezwykł dotrzymywać wiary:
Różami strojne, w szkarłat ubrane,
Zabija! Uchodź póki czas!

EKLOGA *(wciąż się uśmiechając).*

Zostanę.

AKTEA.

Zostaniesz!

(do siebie)

Ona się śmieje!

EKLOGA.

Czemuż nie? Znane mi te straszne dzieje,
A na twą radę jedno mam w odpowiedź słowo.

AKTEA.

Jakie?

EKLOGA.

Ty jesteś żywą i zdrową.

AKTEA.

Ja jedna mam nad nim władzę.

EKLOGA.

Ej! i ja może sobie poradzę.

AKTEA.

Jakto?

EKLOGA.

Znów gniewem oko twe pała!...
Co ci przeszkadza bym pozostała?..
Młodości lubéj którą czas płoszy,
Pozwól mi użyć choć ćwierć godziny!
Ledwiem zbliżyła czarę rozkoszy
Do ust spragnionych, z jakiéjż przyczyny
Mam ją odrzucać nietkniętą?
Sam cesarz sprawił mi wielkie święto:
Darował wolność!... Czegóż mi trzeba?
W tych salach strojnych barwnemi marmury
A lśniących złotem od dołu do góry
Pierwszy raz ja na ziemi mam pojęcie nieba;
A ty, w swobody szczęściu wychowana,
Radzisz mi wrócić pod smutny bicz pana?
Po snów mych nocy, ty mroczne świtanie
Wróżysz mi? Mniejsza! Wśród piękności świata
Przeżyć godzinę,—ta godzina stanie
Za niewoli całe lata!
Teraz nam użyć, teraz, gdy Wenus wesoła
Pachnącym pocałunkiem dotyka nam czoła;

Starość stoi za nami, i martwych dzielnica,
Gdzie nie ma tańca, gdzie nic nie zachwyca.

AKTEA.

Nie jaż ci radzę, szalona dziewico,
Byś się napowrót stała niewolnicą.
Powiedz: od czasu jakeś opuściła
Swój piękny kraj, czyż żadna cię tęsknoty siła
Nie ciągnęła do niego?

EKLOGA.

Owszem. To męczarnia...
Którą staram się zwalczyć. Bo mnie w serca głębi
Jakiś wtedy smutek gnębi.
Są chwile gdzie mnie pełen wizyi sen ogarnia:
Wtedy mi inne niebo się uśmiecha,
Widzę gród pyszny, słyszę fletni echa,
W słonecznéj, pełnéj gór, dolin, krainie
Szemrzą strumyki, huczą wodospady,
Morze wyspami znaczy swoje ślady,
A wszędzie rzeźby, posągi, świątynie.
Lecz krótkie złudzenia chwile;
Nie zabrałam wspomnień tyle,
By je myśl oblekła w ciało:
I oto co mi z ojczyzny zostało...
Byłam jeszcze dzieckiem prawie,
Gdym na posuwistéj nawie,
Łzami zalana, zbolała,
Siedząc z niewoli znamieniem,
Ostatniém oczu spojrzeniem
Port Pirejski pożegnała!.. *(zmieniając ton mowy)*
Co to jest? Oczy me zaniewidziały? *(śmieje się)*
Eh! to łza... Gość niebywały...
Natrętna pamięć.—Lecz pobyt jéj krótki.
Ja, kiedy takie napadną mnie smutki,
Śmieję się sama z siebie, i wraz mam na pieczy
Zwrócić uwagę ku weselszéj rzeczy.
Pytasz się, czy do kraju wiedzie mnie tęsknota?
Po co? Przed obcą kto otworzy wrota,
Czy wyjdą drużki na spotkanie przodem
By mnie świątecznym witać korowodem?
Jak obcą jestem wszędzie na ziemi,
Tak i w Atenach między swojemi.

AKTEA.

Ja twą dolę zmienić mogę.
Do ciebie znajdą towarzyszki drogę,
Znajdą pochlebcy z pasożytów zgrają
Co za bogatym jako cienie stają.
Ja tobie skarbów dam tyle—w téj chwili,
Że ci królowie będą zazdrościli,
Lecz wróć do Aten i osiądź tam.

EKLOGA.

Skarby obiecał mi cesarz sam.

AKTEA.

On!.. Tedy nie chcesz odejść?..

EKLOGA.

Nie mogę.
Losy mi inną wskazały drogę.

AKTEA.

Więc niech nieszczęście na ciebie padnie!

EKLOGA.

Co mówisz?

AKTEA.

Mówię żeś ty z tego błota
Co było leżem twojém, wzniosła oczy zdradnie
Aż pod pałacu cesarskiego wrota,
Ufna w występny wdzięk swego lica.
Ale nic z tego! To moja dzielnica.
Spojrzałaś chciwie na moje bożyszcze,
Ja moją ręką oczy twoje zniszczę.
(podnosi sztylet i biegnie uderzyć na Eklogę).

EKLOGA *(chroniąc się, z okrzykiem).*

Przebóg! kto mnie z rąk téj dzikiéj
Wybawi!.. *(ukazuje się Nero).*

SCENA 7.

AKTEA, EKLOGA, NERO, FAON, WYZWOLEŃCY, NIEWOLNICE.

NERO *(podbiegając).*

Co to za krzyki?

EKLOGA *(pada omdlewająca na ręce Neronu).*

Ratuj, cesarzu!

NERO (*do Aktei*)

Precz ztąd, kobiéto!

AKTEA *(oddalając się).*

Niezawsze ją ocalić zdołasz *(ironicznie)*... ty, poeto!

NERO.

Idź, i więcéj ani słowa!...
Za słowem poszłaby głowa! (*Aktea wychodzi*)
A wy omdlałą, niewolnice, weźcie
Do moich komnat. Ile kwiatów w mieście
Co najcudniejszych, wszystkie jéj pod nogi;
Na włosy wonność i balsam drogi.
Ty zaś, Faonie, uznaj w niéj swą panią:
Głową odpowiesz mi za nią!

(Niewolnice wynoszą Eklogę, Faon i Wyzwoleńcy odchodzą za niemi).

SCENA 8.

NERO (*sam*).

Dziwną nademną ma Aktea władzę,
I ja na zazdrość jéj źle sobie radzę:
A ona jeszcze daje mi przestrogę.
Ja, który z łatwością mogę
Przeciąć jedném skinieniem, bez wielkich pozorów,
Wymowne gardła wszystkich senatorów,
Przed tą jedną kobiétą, która mi ubliża,
Stoję jakoby przygwożdżon do krzyża.
To nie jest naturalne:—Ona mnie urzekła
Jakimś filtrem od maga z Tessalii lub z piekła.
Lecz ja ten podły urok złamać muszę....
(*przechodzi się niespokojnie*).

Ot masz! z gniewu się krztuszę....
Jasność głosu przypadła, i to w jakiéj porze!... (*na zewnątrz*)
Menekratesie! Co tam na dworze?

SCENA 9.

NERO, MENEKRATES.

MENEKRATES.

Ludu pełna ulica;
Każdy się z góry zachwyca
Boskim artystą.

NERO.

Ochrypłem w téj chwili.
A Pretoryanie?

MENEKRATES.

Teatr otoczyli
Strojno i zbrojno. Oklaski rzęsiste
Czekają boskiego artystę.

NERO.

Chodź za mną.

MENEKRATES.

Jeszcze mam wieść.

NERO.

Szczęśliwą?

MENEKRATES.

Kassyusz Longinus umarł.

NERO (*zdziwiony*).

Czyż tak żywo?

MENEKRATES.

O zniewagę majestatu
Ledwie usłyszał skargę senatu,
Ślepe mu oczy się zaiskrzyły,
Wszem domownikom dał pożegnanie,
I po stoicku przerżnął sobie żyły.

NERO (*uśmiechając się*).

Mężni to jednak są ci Rzymianie.

MENEKRATES (*uśmiechając się podobnież*).

Miał cztery wille, jakeśmy mówili....

NERO.

I cóż ztąd?...

MENEKRATES.

Cóż ztąd?... A ja nie mam willi.

NERO.

Rozumiem. Jedna twoją, oczywiście.
Teraz na scenę!

MENEKRATES.

Chwała wielkiemu artyście!

AKT II.

SCENA I.

Gospoda na gościńcu zwanym Suburra. Stół, proste ławy drewniane po jednéj stronie sceny. Noc. Lampa zwieszona od stropu.

MUCRO *gospodarz*, NIEWOLNICA *etiopka*.

MUCRO (*przy wnijściu do gospody, spoglądając na niebo*).

A niechże bogi nas strzegą,
Kometa krwawa,—to coś strasznego! (9)
Ogon jej zajął z połowę nieba.
Już pośród wiecznego miasta
Głód srodze wzrasta...
I siedź tu na gospodzie, kiedy braknie chleba.
(*wchodzi do gospody—do Niewolnicy*)
Cóż znowu siedzisz, według zwyczaju,
Martwa, jak mumja swojego kraju?
Rusz się, weź światło, zejdź do sklepu żwawo!
Znieś tu amfory stojące naprawo,
Którem napełnił dzisiaj Falernejskiém.
A strzeż się abyś nie rozbiła któréj:
Żywcem bym wypruł cię z twéj czarnéj skóry.
(*Niewolnica bierze kaganiec płonący na stole i wychodzi*)
Ni pies nie przejdzie po gościńcu miejskim!...
Czy tam Rzym wymarł?... Zagram sobie w kości:
Sam grając, nie dbam o względy jéjmości
Fortuny, którą mianem bóstwa lud zaszczyca,
Gdy jest to sobie prosta wszetecznica.
(*Siada przy stole i gra sam z sobą w kości*)

SCENA 2.

Wchodzą: PETRONIUS *gladiator*, NEVIUS *aktor*, i NASO *handlarz niewolników*. MUCRO *za stołem.*

PETRONIUS.

Wina!

NEVIUS.

Hekuby! Cośmy wczoraj pili.

NASO.

Tylko bez wody.

MUCRO (*zrywa się z za stołu i biegnie ku nowoprzybyłym*).

Zdrowia! goście mili!

NASO.

Tobie bo zdrowia, przy téj okrągłości,
Nie ma co życzyć,—więc szczęścia w kości.

MUCRO (*na zewnątrz*).

Staréj Hekuby znieś tu, niewolnico.

NEVIUS.

A niech się iskrzy w czarze jak oczy Eklogi,
Co na méj scenie była tanecznicą,
I którą ukradł mi nasz Nero drogi.

NASO.

A ona jemu ukradnie Akteję.
Dziś kradzież kwitnie. Jacyś złodzieje
Do chramu Marsa—mściciela wpadli
Kilka dni temu, i hełm mu skradli. (10)

PETRONIUS.

Niech żyje Mściciel!... i zerwie pęta!

MUCRO (*bierze z rąk Niewolnicy wielką amforę i przedstawia*).

Niech żyje i ta amfora święta
Co konsulatów z dziesięć pamięta!
(*Niewolnica rozlewa wino w czary; wszyscy piją*)

PETRONIUS.

Rozkoszny napój. Niech żyje!

Wszyscy. Niech żyje.

MUCRO.

Czy nie półwieczny? Przyznajcie sami.

NEVIUS.

Godny Jowisza, co między bogami
Podobno najlepiéj pije.

NASO *do Niewolnicy.*

Naléj mi wina czarę, a całą.
Lubo by tobie lepiéj przystało
Nalewać w ciemnéj krainie Hadu.

MUCRO *do Handlarza.*

Towar to przecie z twojego składu.

NASO.

Nie zapłaciłeś więcéj niż godny.

MUCRO *do Neviusa.*

Cóż o kwestorach słychać nareszcie?
Myśląż o nędzy rozsiadłéj w mieście.

NEVIUS.

I oni śmieją się że lud głodny.
Słuchajcie. Szedłem Tybrzańską drogą,
W chwili gdy statki wylądowywały;
Na brzegu ludu czerni się mnogo.
Okrzyk: „Niech żyje Nero wspaniały!"
Tłum kobiét z dziećmi na ręku bieży,
Gromada starców, nieco młodzieży,
Wszystko to blade z głodu, chwiejące.
Okrzyk wygrzmiony w piersi tysiące
Wyrażał błogą pewność, iż morze
Przywiozło dla nich z Egiptu zboże.
Przebóg! Nadzieja, jak zobaczycie,
Wkrótce w przekleństwa zmienia się wycie.
Aleksandryjski okręt przybywa,
Wraz się nań rzuca tłuszcza szczęśliwa...
Aż tu proch jakiś sypie się z worów,
Dla cesarskich gladyatorów! (11)

PETRONIUS

Wcale niesłuszne przekleństw okrzyki:
Lud ma w połowie czego mu trzeba.
Nieraz słyszałem głos jego dziki

Za Cezarami: „Igrzysk i chleba!“
Dziś chleba braknie? zboże daleko?
Niech z tego proszku chleb sobie pieką!
By lud zabawić,—my każdéj chwili
Krwiąśmy ran naszych ten proch kleili.

MUCRO.

Argument ciężki: kto z was ma lepsze
Zawiasy w gębie, niech go odeprze;
Ja nie potrafię.

PETRONIUS (*nadstawiając próżną czarę*).

A ja nie piję!
Nalewaj wina po brzeg. (*Wszyscy podnoszą kubki*).

NASO.

Niech żyje
Stary gladyator! Czy wam spotkać się zdarzyło
Na pustém polu gdzie i ptak nie lata,
Z ruiną chaty, ze starą mogiłą,
Świadkami dziejów zaginionych świata?
Taką, o! przyjaciele, ta siwa czupryna,
Świadek, który przypomina
Widziane zdala i zbliska
Czterech Cezarów okropne igrzyska.

PETRONIUS (*podchmielony, do Niewolnicy, tonem desperacko wesołym*).

Niewolnico! weź no lutnię,
Brząknij wesoło i smutnie. (12)

(*Niewolnica przygrywa; Petronius poczyna nucić i z niezrozumiałych dźwięków przechodzi w śpiew*).

Ej! pamiętam ja, ruczaju,
Twe zielone wody.
Tyś uciekał do Dunaju
Gdy ja byłem młody.

Ej, pamiętam, krasnolico,
Twoje oczy łzawe.
Tyś za Rzymską mi konnicą
Uciekła nad Sawę.

Ej! puściłem się za zgubą
W cudze pola, domy,
I znalazłem zgubę lubą
Wśród wszetecznic Romy.

Ej! żałować już nie pora:
Zginęło, przepadło!
Z wszetecznicą gladyatora
Godne Romy stadło!

(*Muzyka przycicha, Petronius opuszcza głowę na stół, i tak chwilę pozostaje*)

NEVIUS.

Petronius przybył tu z dalekich stron:
Patrzył na wszystkich cnót rzymskich zgon.
O! wieku przodków, przeszłości święta!
Szczęśliwy, kto cię chociaż pamięta!

NASO (*z uśmiechem do Petronijusza*).

Ręczę, że aktor czytał niedawno
Jaką epopeję sławną,
I wierszem bohaterskim rozbujana dusza
Marzy boskiego postać Kuryusza,
Który chodził za wołmi ustrojon w wawrzyny
Co Pyrrusa z Italskiéj wygnały krainy!
(*zwraca się do Neviusa*)
Ale to, przyjacielu, są tylko posłuchy,
I retoryczne wzdychania:
Nowy wiek takich śmieszności wzbrania,
Za wołmi chodzą tylko pastuchy.

NEVIUS.

A ja, co głosu w piersiach, co gniewu mam w duszy,
Przeklinam ten wiek nowy, wiek duchowéj suszy,
Wiek nikczemnych wyrodków, co goniąc za władzą,
Za pieniędzmi, na klęczkach tyranowi kadzą.
Wy się śmiejecie ze mnie?.... Ja się nie rumienię.
Biédny aktor nawykły przemieniać na scenie
Oblicze swe jak odzież, ja się z duszą, ciałem,
Gwoli uciech i śmiechu tłumów zaprzedałem.
Lecz pamięć bohatérów dawnych niespożyta.
Lichy aktor z pomników ich imiona czyta,
Imię przejmie go dreszczem, czyn przejmie zapałem;

Wie, że był zastęp Ojców, co po klęsce Romy,
Pod mieczem Brennusowym siedział nieruchomy;
Wie, że był młodzian, który w śmiechu kryjąc mękę,
W obozie nieprzyjaciół palił sobie rękę;
Wie, że potomki takich, wyrodni i mali,
Matkobójcy cesarską koronę przyznali.
Wie i woła: przekleństwo! tym ojczyzny wrogom,
Twarz zasłania ze wstydu i dziękuje bogom,
Że w takiém upodleniu patrycyuszów rodu
On jeden jeszcze umiał wśród całego grodu
W swéj krwi plebejuszowskiéj zachować w iskierce
Dumę, co starożytnych zagrzewała serce.

NASO (*klaszcząc w dłonie z emfazą*).

Wzniośle! wspaniale! Tożeś nas ubawił!
I Roscyusz by się lepiéj nie sprawił.
Ale bądź łaskaw, zamknij swego ducha,
Bo cię oprawcą czuć, że aż bucha.

NEVIUS.

A od was wieje zaduch niewolniczy.

PETRONIUS.

Taka obelga mnie nie dotyczy.

NASO.

A ja biorę ją całą, bo we mnie nie budzi
Obrazy. Jestem z tych ludzi,
Najliczniejszych, którzy radzi
Iść tam gdzie ich świat prowadzi.
Czy, żem z natury spokojny duchem,
Czy dla rzemiosła, nie jestem za ruchem
Już ja i w moich niewolników gronie
O miłosierdziu słyszałem mowy,
O prawach jakie głosi zakon nowy,
Dany przez Żyda, który, w cierniowéj koronie,
Buntowniczego losem wróżbity
Umarł do krzyża przybity.
Nam tu po głowie snują się mary,
Chcemy odnawiać Kapitol stary;
A ja tymczasem stawiam pytanie,
Co się téż to z nami stanie,
Gdy się dowiedzą niewolnicy o tém
Że są ludźmi w istocie, nie handlu przedmiotem?

NEVIUS.

Wasz los, ja nie wiém w co się zamieni,
Lecz ci co cierpią, będą pomszczeni.

PETRONIUS *do Nasona.*

A twoja sprawa w łeb weźmie cała,
Sprzedawco ludzkiego ciała!

NASO (*niepokojąc się*).

I ty, Brutusie, przeciw mnie! Zatem
Nic już nie mówię i gardzę światem.
(*siada samotny przed stołem*).

SCENA 3.

MUCRO, NASO, NEVIUS, PETRONIUS, ICELUS, *setnik.*

ICELUS (*wchodząc*).

Obywatele, witam was!

NEVIUS (*biegnąc ku niemu*).

Nareszcie
Przyszedłeś.

ICELUS.

Dobrem słyszał rzeczy w mieście.

NEVIUS.

Opowiedz (*rozmawiają z sobą po cichu*).

NASO.

Wzywam do kości!

MUCRO.

Ja stoję.

PETRONIUS.

I ja też.

MUCRO.

Oto są warunki moje:
Nie więcéj tylko cena Hekuby.

NASO (*kładąc kilka sztuk monety na stół*).

Ja kładę.

PETRONIUS.

I ja.

MUCRO.

Niech Wenus da mi dobrą radę. (*grają*)

NEVIUS.

Mogęż w to wierzyć?

ICELUS.

Wieść niezaprzeczona:
Szepczą już o niéj pretoryanów grona.
Dziś najpiękniejsze budzą się nadzieje,
Bunt z Gallii przeniósł się za Pireneje,
Wojsko hiszpańskie z galskiém się kojarzy:
Pora ciemięzcę odsunąć od tronu.
Lud nasz nawykły do zmiany cesarzy,
I przytém głodny,—pójdzie: a niemasz legionu,
Któryby chętniéj w bitwie szukał chwały,
Jak lud zgłodniały.

NEVIUS.

A pretoryanie?

ICELUS.

Już od trzech miesięcy
Niepłatni.

NEVIUS.

Będziem mieć stronników więcéj!
O! niechże wstąpi na miejsce tyrana
Ta złota wolność, tyle ukochana
Przez Katona i Bruta.—I cóż nam w téj chwili
Ci następcy Cezara tu pozostawili?
Hańbę, gnuśność i kajdany.
Ostatni szczątek prawa zdeptany,
Gdzie ruszyć, wszędzie liktory,
Zda się, myśl na pół chcą ciąć ich topory.
Na polu Marsa, gdzie chwałą okryty
Nasz lud--król głosił sławne plebiscyty
Ziemiom i królom, od jakiéjże doby
Legła nikczemna cisza milczenia,
Co żywych w trupy zamienia
A miasta w groby!
Więc, przyjacielu, sprobujmy sił,
I tchnijmy życie w tę massę brył.
Cel nasz jest wzniosły a chęci prawe;

Chybi nam dola;—zyskamy sławę.
Dobądźmy resztek dumy z ukrycia.
Lepsza śmierć piękna od brzydkiego życia!

NASO (*przy grze*).

Stój! Ja wygrałem.

MUCRO (*rzucając kości na stół*).

Przeklęte kości!

PETRONIUS.

Wypijmy tedy zdrowie Mukrona! (*dopijają reszty*).

NASO.

Moja Hekuba więc zapłacona,
Cny gospodarzu! (*zgarnia pieniądze*).

MUCRO (*na stronie*).

Pęknę ze złości!

SCENA 4.

Poprzedzający, VARONILLA LONGINA.

VARONILLA (*wbiegając wystraszona do gospody*).
Gwałtu!.. Ścigają!.....

NEVIUS.

Co to być może?

ICELUS.

To patrycyuszka!

MUCRO.

O takiéj porze!

NASO.

I w takiém miejscu!

NEVIUS (*podchodząc do Varonilli*).

Bądź dobréj myśli.
Jesteś bezpieczną chociażby przyszli:
Bronić cię będziem.

MUCRO (*do Petronijusza*).

Ja się założę,
Że ją mąż ściga.

PETRONIUS (*z westchnieniem*).

Lub czuły gach,
Który zazdrości: głupi aż strach!

VARONILLA.

Ja jestem córką Longina Kassyusza
Który padł śmiercią, jako zacna dusza
Pod rządem smutnym. Wszystkie jego włości
Skarb zajął..... winnam przyjaciół litości
Że prochy ojca złożone są w grobie.
Przy jego urnie ja, doba po dobie,
Dni moje spędzam.—Powracałam od niéj
Z wierną służącą, gdy jacyś niegodni
Dwaj pijani niewolnicy
Zaczepiają mnie w ulicy.....
Grożą...... uchodzę pogoni,
Lecz mnie ścigają.... To oni!..... (*chroni się w zakąt*).

SCENA 5.

Poprzedzający; NERO, MENEKRATES, *przebrani za niewolników*.

NERO (*stanąwszy we drzwiach gospody, znakiem wskazuje Menekratesowi Varonillę*).

Czysta gołąbka, gniazdku swemu wierna.

MENEKRATES.

A! to jéj gniazdkiem taberna.

VARONILLA.

Co za zniewaga! o, losy sieroce!

NEVIUS.

Takie są wszystkie tu losy dziewicze!

ICELUS.

Ja tym hultajom czaszki zdruzgocę!
Kto wy jesteście, bydło niewolnicze?

NASO.

To żydzi, dość rzucić okiem!
Na krzyż ich, razem z prorokiem!

ICELUS (*do Nerona*).

Musicie, łotry, zuchwali być wielce,
By przeciw wolnéj obywatelce
Śmieć dłoń podnosić, z tak sprosnym celem!

MENEKRATES.

Nie myśleliśmy, wyznaję śmiele,
By wolni żyli jeszcze tu obywatele.

NEVIUS (*podchodząc*).

Kłamiesz! Jam takim obywatelem.

MENEKRATES.

Toż dziwne szczęście los mi udziela;
Diogenesa zawstydzę śmiało:
Znalazłem obywatela!

NASO (*chwytając za kark Menekratesa, który daremnie się wykręca*).

Na dowód że tak się stało,
Biorę twoje podłe ciało,
Na którém zakon ludowy
Nie widzi głowy.

ICELUS (*podchodząc bliżéj ku Neronowi*).

Ja biorę tego.

NERO (*cofa się i dobywa z pod odzieży krótki nóż*).

Precz! bo cię skrwawię.

VARONILLA.

On dobył broni!

PETRONIUS.

Z tym ja się rozprawię.

(*Nero, usłyszawszy słowa Petronijusza i widząc jego giest gladiatorski, rzuca nóż i uderza nań*).

MENEKRATES.

Przeklęty pięściarz!

NERO (*po krótkiéj walce padając na ziemię*).

Dam ja téj kobiécie!

PETRONIUS.

Ot i po wielkim atlecie.

SCENA 6.

Poprzedzający; AKTEA, VINICIUS *wódz pretoryanów,* PRETORYANIE.

AKTEA (*wbiegając*).

Tu! pretoryanie! ratujcie cesarza.

MUCRO.

To cesarz?

INNI. Nero!

MENEKRATES (*głęboko odetchnąwszy*).

Toż w porę się zdarza.

NERO (*żywo powstaje na nogi; wszyscy odstępują z wrażeniem*).

Tak, jam jest Nero.... Coście oniemieli?
Niespodzianka niemiła, bo twarz wam się bieli.
Jasne jak słońce co przyświeca światu,
Żeście tu wszyscy przeciwko mnie wszczęli
Tysiąc zniewag majestatu.

(*konsternacya ogólna i milczenie*)

Ja zaś, stróż prawa surowy,
Powinienbym liktorom oddać wasze głowy.

(*milczenie wciąż*)

Ale łaskawość ja nad wszystko cenię,
I udzielam przebaczenie!

(*na znak Nerona, Vinicius i Pretoryanie wychodzą z gospody*).

MENEKRATES.

A podszczuwacze śmią bredzić w szale,
Że Nero nie jest wspaniałym wcale.

NERO (*do Petronijusza*).

Tobie, szczęśliwy starcze, w pamięci zostanie
Zwycięzkie z cesarzem spotkanie.
Upadku mego tyś sprawcą i świadkiem.....

(*z komiczną zarozumiałością*)

Choć się to stało więcéj przypadkiem.

PETRONIUS.

Wyznaję szczerze,
Iż, wiedząc że się z cesarzem mierzę,
Byłbym się zachował biernie.

NEVIUS.

Ja zaś zwycięztwu radbym był niezmiernie.

NERO.

Co cię tak mówić ośmiela?

MENEKRATES.

No! posłuchajmy obywatela.

NEVIUS (*podchodzi bliżéj i śmiało staje przed Neronem*).

Ty do pochlebstw służebnych nawykłeś od młodu,
Zepsuli cię sprzedajni nikczemnicy grodu,
Więc słowo moje, nie ku twéj pochwale,
Zabrzmi w uszach twych nowo, zuchwale,
I może błogosławić nie będziesz przygody
Co cię przywiodła za próg téj gospody.
Ty, siedząc w pysze na wszechwładnym tronie,
Z ludzi i bogów drwisz sobie, Neronie;
Na krzywdy drugich jesteś jak z głazu,
Podobien do tego obrazu,
Co stoi przed twym domem, obojętny, cichy,
W promieniach sztuki i pychy.
Trazeasz, starzec ów świetnéj pamięci;
Pamiętasz go? Ofiara twéj krwiożerczéj chęci....
Gdy doń setnik z wyrokiem senatu wyrusza,
Spokojnie wtedy słuchał mistrza Demetryusza...
Gdy oznajmiono mu ten wyrok dziki,
Krewni, domowi, wraz wznieśli okrzyki.
Byłem i ja tam, łzy mi się sączyły;
On jeden milczał i zdał się wesoły,
Uściskał córkę umarłą napoły,
I potém kazał przeciąć sobie żyły.
Wszyscy śmiertelną cierpieliśmy mękę.
On kilka kropel krwi wziął w drżącą rękę,
Na ziemię rozlał na cześć Jowiszowi
Wybawcy,—i rzekł do nas: „Bądźcie zdrowi!
Ciężkie to czasy; aby było lepiéj
Niech silny przykład duszę waszą krzepi.“
Cóżeś skorzystał z tych słów Trazeasza?
Gdzie są swobody, gdzie jest godność nasza?
Patrycyuszowskich ty rodzin ostatki
Dobijasz; synów nie chcą rodzić matki,
Bo ich los ojców i braci przestrasza;
Śród plebejuszów znów twoi siepacze

Sieją bezkarnie ucisk i rozpacze.
Pomnij, że ucisk nienawiść wyradza,
A w jéj uścisku pęka wszelka władza,
Dalekonośne są głosy ofiary
I przywołują dzień kary!

NERO (*który uważnie wysłuchał mowy Neviusa, zwraca się do Menekratesa*).

To mi artysta z duszy i ciała!
Głos śliczny, dykcya wspaniała. (*Do Neviusa*)
Słuchaj, ja często sam się w domu biedzę,
Otwieram ci go jako koledze,
Bo i ja także jestem artysta;
Więc, jeden z drugim, coś się skorzysta.
A przy Sofoklu i przy Homerze
Kto wie, może się i na przyjaźń zbierze.
(*Osłupienie wszystkich, a w szczególności Neviusa*)
Lecz gdzie to moja piękność spłoszona?
Czemu się kryjesz? Rzuć bojaźń swą.
Jam nie niewolnik; pójdź w me ramiona.

VARONILLA.

Odstąp odemnie! ciebie czuć krwią.

MENEKRATES.

Bajka! tożeśmy widzieli
Jak wyszedł prosto z kąpieli.

VARONILLA.

Krew co cię plami, wnętrze me porusza:
Ja jestem córką Longina Kasyusza.

NERO.

Fatalność! Córka?...

MENEKRATES (*do siebie*).

Nero coś wzruszony (*do Nerona*)
Kto wie czy jego córka: może tylko żony.

NERO.

Ja boleść twoję rozumiem i dzielę,
Ale oświadczam ci śmiele,
Biédna dziewico, że w zajściu tém całém
Udziału żadnego nie brałem.
To ojcowie z Senatu tak praw moich strzegą.

Gorliwość często sroga, nieodzowna zawsze. *(Do Neviusa)*
Wszak prawda, mój dzielny kolego? (*Do Varonilli*)
Lecz mówiąc z tobą, czuję napady łaskawsze,
Łaskawość nawet we mnie wzmaga się szalenie:
Wracam ci ojcowskie mienie.

MENEKRATES (*przerażony, do ucha Neronowi*).
A moja willa! Cóż ja z nią zrobię?

NERO.

Innego Bruta wyszukasz sobie.

MENEKRATES.

A gdzie go znajdę odrazu?

NERO.

Dosyć ażeby był z głazu. (*Do innych osób*)
Z gwiazdzistych stropów rosą noc upaja drzewa,—
—Jak nieśmiertelny Wirgil nasz opiewa;—
Radzę więc wam do domu, dobrzy Kwirytowie,
By się gwoli snu rzucić na miękkie wezgłowie.

ICELUS (*wychodząc, do Varonilli*).
Ja z tobą, by zasłaniać cię od uliczników.

NASO.

Cześć Cezarowi w chwili rozstania!

NERO.

A ty kto jesteś?

NASO.

Handlarz niewolników.

MENEKRATES (*pokornie do Nerona*).
Jeden z filarów twego panowania.

NERO.

I ty ruszaj, pókiś cały.

MENEKRATES.

Będę czekał za drzwiami (*odchodząc*)
Nero jest wspaniały.
(Varonilla, Icelus, Naso, Petronius i Nevius wychodzą).

SCENA 7.

MUCRO, NERO, AKTEA.

NERO (*spoglądając na Mukrona*).

W tém tłustém ciele widzę gospodarza:
Cóż mi ze swego podasz inwentarza?

MUCRO.

Boski Neronie! właśnie od pół wieka
Jakby na ciebie Falernejskie czeka.

NERO.

A to je podaj. (*Mucro wychodzi*)
Ah! jestem zmęczony! (*siada na ławce*)
Jak pijany zbiegałem Rzym na wszystkie strony;
A ile śladem mojego kroku
Poszło przestrachów w ulicznym mroku;
Iluż tam mężów zazdrośnych o żony!...
Tymczasem stoik siedzi zamyślony
W swojéj komnacie, i marzy cuda.
O czém on marzy? Ej! śmiech porywa!...
—Bez błędów ludzkich, czém byłaby nuda,
Którą ród ludzki *życiem* nazywa?

MUCRO (*wracając z amforą*).

Jest już Falernum.

NERO.

Nalej do czary,
I wypij pierwszy.

MUCRO.

Ten zaszczyt!...

NERO.

To znaczy
Zaszczyt u ciebie, oszuście stary?
U mnie to zwie się inaczéj.

MUCRO.

A jak?

NERO.

Ostrożność. (*Mucro nalewa wino w czarę i popija. Nero po chwili, wpatruje się w gospodarza, który zaczyna się lękać.*)

Jesz sobie tęgo.
A śpisz zapewne jak żak nad księgą?

MUCRO.

Jak każdy człowiek, nie żyję o głodzie,
A trudem na sen zarobię.

NERO (z *okrzykiem gniewnym*).

Ha! ty spokojnie zasypiasz sobie,
Choć wrogów władcy przyjmujesz w gospodzie?

MUCRO *(bełkocząc).*

Jakto?... Przysięgam na głowę twoją....

NERO *(śmiejąc się).*

Dość!... Władcy takich kpów się nie boją.

(Daje znak Mukronowi do wyjścia; ten stawia amforę na stole i wychodzi).

SCENA 8.

NERO, AKTEA.

NERO.

Gdybyż Falernum, ten napój boski,—
Jak usta lubéj kobiéty,
Dał mi zapomnieć zabójczéj troski
Co ze mną zrosła, niestety!...
Hej! czara pełna, to śpiew poety!
Ten ostry wysięk czarownéj jagody
Tworzy w powietrzu rozkoszną ciszę,
Która marzeniem słodkiém kołysze;
A umysł rzeźwiejszy, młody,
Wychodząc z ziemskiego świata,
Do krain poezyi ulata!
Ja lubię tabernę; gdy myśl się uśmiecha,
Mój umysł z Olimpem się brata,
Mam bóstwa przed wzrokiem i słyszę ich echa.

(Ogląda się i spostrzega Akteę, która przez cały ten czas siedziała milcząca w głębi sceny).

Milcząca siedzisz?

AKTEA.

Słucham co się dzieje?

NERO.

I nie podziwiasz?

AKTEA (*podchodząc*).

Boleję!

NERO.

Żeby ci tylko nie przyszła ochota
Kreślić mi powinności ludzkiego żywota
Według praw filozofii stoickiéj. Daleki
Jestem od czasów Seneki.
Który mi dosyć nakładł jéj do głowy;
Lubo ten stoik, dziś już nieśmiertelny,
Mniéj był w swém życiu niźli w pismach dzielny:
Lecz dzielnie umarł.... z mojéj namowy.
Oh! jakże w porę wdałem się w tę sprawę!
Uparty retor ten zawdzięcza mnie swą sławę.

(*Podaje czarę Aktei*).

Przyjmij tę czarę: z rozkoszy bogiem
Przepędźmy chwilę!

AKTEA (*odtrąca czarę, którą Nero, ruszywszy ramionami wychyla*).

Szaleńcze uparty!
Ten bóg którego wzywasz, największym twym wrogiem!—
Słuchałeś, nie wiem, seryo czy na żarty,
Mowy tych których spotkałeś na drodze:
I mnie wysłuchasz.
Jestżeś ty Cezarów synem?
Jakim że to sprawdzasz czynem?
Posłuchaj.—Germańscy wodze
Pobici, ale nie zwyciężeni.
Gromadzą szyki na wielkiéj przestrzeni
Swych borów niedostępnych. Ze sprzysiężonymi
Łączą się w nienawiści rzymskiego imienia
Ludy Gallijskiéj i Brytańskiéj ziemi,
Gdy rzymskiéj władzy nic nie opromienia.
Z niebezpieczeństwy co grożą zdaleka,
Połącz to, które wewnątrz na cię czeka.
Wojsko niepłatne, niezadowolone,
Bije się nie dla chwały, ale dla korzyści;
A w którąkolwiek okiem rzucisz stronę,
Lud pełen głodu, pełen nienawiści,
Ponurym wzrokiem wodzi wokoło.

A ty, na twoim wszechwładnym tronie,
Cóżeś uczynił Neronie,
Grożącéj burzy by stawić czoło?
Ty śpiewasz; a gdy należy
Stanąć na polu pośród rycerzy,
Dla ciebie większe dziś ma znaczenie
Oklask rycerzom dawany na scenie.
Przez bogi opiekuńcze Romy i jéj doli,
Wstydź się, Neronie, téj gnuśnéj swawoli,
Nie czczą hojnością, lecz wielkiemi czyny
Rzuconemi w oczy światu
Ustrzeż państwo od ruiny,
Odnów rzymskiego blask majestatu.

NERO (*wybuchając śmiechem*).

Majestat rzymski! Dla mnie jeden tylko znany,
I ujawnia się wyraźnie:
To pałaców moich ściany,
To teatra, to są łaźnie,
Które wzniosłem; to cyrk, kędy,
Póki lwów na puszczach stanie,
Barbarzyńscy chrześcijanie
Jęczéć będą za swe błędy.
Na mnie się kończy krew Julskiego domu,
Lecz nie przyniosłem jéj sromu.
Zamilczam o Auguście, tym biegłym aktorze,
Który partyą cesarską na tym wielkim dworze
Co się zwie światem, grał jak nikt; lecz po nim
Przyszedł Tyberyusz,—oszust, zbrodniczy anonim,
Który niezręcznie, niegodnie,
Na drugich zrzucał swe zbrodnie,
A w swéj Kaprei ukryty,
Wyśmiewał Rzym i Kwiryty.
Cóż Kaligula? Na wzór Endymiona
Do księżyca miłośne wyciąga ramiona,
Konia czyni konsulem, a senat się zgadza:
Rozumiała zapewne ta prześwietna władza,
Że przy owoczesnym ładzie
Czworonóg nie zawadzi w konsularném stadzie.
Cóż wuj mój Klaudjusz? Filozofa kawał
I historyka... przysłowiem się stawał:
W starych Etruskach cały zatopiony,

Nie miał już oczu dla domu i żony;
Ta téż za życia jego, szalona,
Wzięła ślub drugi z jednym ze dworskich rycerzy;
Zabić ją kazał, a przy wieczerzy
Pytał się idiotycznie:—gdzie jest moja żona?
Nie dziw, że poszedł w przysłowie!
(*nalewa i wychyla znowu czarę*).
Oto są czteréj moi przodkowie.

AKTEA.

Przy mroku tamtych, byle promienie
Témbardziéjby się świetnie wydały:
A ty zarabiasz na poniżenie,
Mogąc zarabiać dla chwały.

NERO.

Czém są umarli, nie wiesz? Ślepe, głuche cienie!
W starym świecie podobno mieszkała gdzieś cnota,
Takie przynajmniéj dziejopisów zdanie;
Ale, koleją ziemskiego żywota,
Stary świat umarł i już nie powstanie.
Ostatni jego rycerz, na polach Farsali,
Umierając, gorzko się na swą cnotę żali.
Germanii,--mówisz,—nieprzebyte bory:
Ej! mam ja orły; puszczę je téj chwili,
Aby w nich gniazda swe założyli.
Gallijskie pułki nauczę pokory,
Karząc za wyrządzoną zniewagę koronie.
Lud prosty cierpi głód i we łzach tonie,
Przytém przeklina, ale czczemi słowy;
W gruncie mnie kocha, bo ma rozum zdrowy,
Wie, że nie moja, ale wola boża
Pali egipskie, sycylijskie zboża:
I co najwięcéj, w okrutnéj złości,
Odmówi ofiar Jowiszowéj mości,
Iż brakiem deszczu zboże podbił w cenie.
Ej, jeszcze czarę!... Szalone pragnienie... (*wypija*)

AKTEA.

Pij! pij! dzieciaku; depcz radę zdrową;
Skacz w domu w którym strop ci łamie się nad głową!
Chcesz widzieć swe panowanie?
(*bierze z rąk Nerona czarę i tłucze ją na ziemi*)

W tych skorupach spojrzyj na nie.—
Powstańcie wszystkie podbite narody,
Zagrzmijcie hymny zemsty i swobody!
Droga, po któréj szli do Kapitolu
W pętach królowie wasi, ujęci na polu,
Stała się drogą, gdzie w zdobyczy czara
Podłego trunku na stole taberny,
A miecz zwycięztwa Rzymowi wierny
Wypadł z pijanéj ręki Cezara!

NERO (*probując powstać i chwiejąc się*).

Podnieś go.... Krótkie jest życie nasze..
Kto wie co jutro zaskoczy....
Jutro go może przypaszę,
Dzisiaj blask miecza razi me oczy.
Dziś ja zrzuciłem za siodło
Troskę ponurą i podłą,
Którą Horacy w swéj odzie
Sadza jeźdźcowi na przodzie;
Lubych fantazyj tysiące
Wabią me serce gorące.
Precz dzisiaj odemnie burze!
Akteo, zbierz świeże róże,
I wonny wieniec spleć na mą głowę:
Niech zmarszczki zasłoni kwiecie.
Masz słuszność,—ja dziś jestem jak dziecię,
Bezmyślne i rozkochane;
Chłonę przyjemność, gdziebądź jéj dostanę.
A tam, w pałacu, czeka mnie ona....
Ta córa rozkoszy boga,
Czeka mnie tańcem znużona
Moja Ekloga!...

AKTEA.

Tak,—publicznego jak ty, histriona,
Tancerka z hecy godną jest w istocie!
Ty pocałunków wyszukujesz w błocie.

NERO.

Ona tak piękna!...

AKTEA.

Piękna?

NERO.

Tak.

AKTEA *(na stronie).*

O! zbrodzień!

NERO.

A ty wstrętniejszą stajesz mi się codzień.

AKTEA.

I śmiesz to w oczy mówić mi zuchwale?

NERO.

Cóż w tém dziwnego? Jestem zakochany.
Prawda wychodzi z Falernejskiéj piany,
Jak niegdyś z morskiéj wyszła Wenus.—Ale
Nie zważaj na to: lubo wstrętna, nie przeszkadza
To, że nad wolą mą przy tobie władza.—
Śmiejesz się?.. Patrzaj; wstręt mój daremny;
Dotąd nie mogłem zabić cię!

AKTEA *(w gniewie podchodząc ku niemu).*

Nikczemny!
Czyż pewnym jesteś, że nikt nie stanie,
Ażeby ciebie zgładzić, tyranie!

NERO *(cofając się przerażony).*

Cóż to za sposób dowodzenia?.... Ja tu
Sam jestem, na Herkula!... Zbrodnia majestatu
Ciąży na tobie.... Hola! pretoryanie!
Dziwna rzecz, ziemia gnie się podemną....
Nikt mnie nie słucha, w oczach mi ciemno....
Żołnierze! prędzéj!.... Menekratesie!...

AKTEA.

Tchórzu!

SCENA 9.

Poprzedzający, MENEKRATES.

MENEKRATES *(wchodzi i zbliża się do Nerona).*

Przewidziałem że się
Tak skończy, i kazałem lektykę sprowadzić.

NERO *(opuszczając się nań).*

Drogi Menekratesie, mnie to się nie zdarza.

Podaj mi ramię, podtrzymuj cesarza....
Co ona mówi? Ktoby śmiał mnie zgładzić!...

MENEKRATES *(podtrzymując go)*.

Ja zawsze mówię, że to trud niezmierny,
By iść prosto samemu, wychodząc z taberny.

AKTEA.

I jego bogiem nazwano!

MENEKRATES *(z uśmiechem zwracając się do Aktei)*.

Daleka
Przeszłość; w nim dzisiaj nie ma i człowieka.
(wychodzą).

AKT III.

SCENA I.

Inna komnata w pałacu cesarskim: posągi i zaczątki posągów. Z jednéj strony sceny. statua marmurowa przedstawiająca Eklogę.

AKTEA *(sama)*.

Otóż świątynia, gdzie bryły kamienia,
Uroczéj dotknięciem ręki,
Na cuda sztuki genijusz zamienia,
W attyckie spowite wdzięki.
Cesarski rzeźbiarz z duszą ognistą,
Złożywszy pychę, tutaj staje się artystą.
Dziwna natura tego człowieka!
Serce ma rzymskie, a umysł Greka.
Widziałam jednak raz łzy w jego oku,
Przy podpisaniu śmierci wyroku
Na Rzymianina: złorzeczył w téj chwili
Temu, że pisać go nauczyli. (13)
Ten człowiek płakał! Teraz, jakaż zmiana!
Czuję pogardę dla tego tyrana,
A kocham go miłością, która mnie przeraża,
Jakby fatalnym łańcuchem skowana
Z tym co służalcom służy za cesarza.
(Staje przed statuą Eklogi.)

On sam wyrzeźbił tę tanecznicę,
I na złość dla mnie wszczepił w jéj lice
Ten wieczny uśmiech. Lecz się nie ciesz, nie ciesz
Z wesołéj doli swéj. Znałam ja przecież
Żony Nerona. Były piękniejsze od ciebie,
Dumniejsze, nawet zuchwałe w potrzebie:
Gdzież one teraz?

SCENA 2.

AKTEA, MENEKRATES.

MENEKRATES (*podchodząc po ostatnich słowach*).
Tam gdzie ich kości:
Gdzie były nim się zrodziły:—w Nicości. (14)

AKTEA.

Podsłuchiwałeś?

MENEKRATES.

Nie moja wina:
Ty masz język, ja uszy; to cała przyczyna

AKTEA.

W domu Nerona mieć ich nie wypada.

MENEKRATES.

Ja w nim nie mam pamięci: przymiot to nielada.

AKTEA.

Złym na wskróś jesteś.

MENEKRATES (*z uśmiechem*).

Nie wierzę.

AKTEA.

Ja wierzę
Twym obyczajom.

MENEKRATES.

Każdy w swojéj sferze
Ma swój obyczaj. Ty smucisz cesarza,
Mnie się go czasem rozśmieszyć zdarza.

AKTEA.

Kto śmieje się, nie myśli.

MENEKRATES.

A nam myśléć poco?
Rano żyjemy; kto wié co będzie przed nocą:
Przyszłość nie nasza, nie nasza.

AKTEA.

Czyż ta przyszłość niepewna ciebie nie przestrasza?
Wyszedłeś z kuglarzy grona;
Zwabił cię zły duch Nerona:
Skryty za tronu podnożem,
Płatasz językiem jak oprawca nożem;
Każdy ruch twój oskarża, śmiech cnotę znieważa.
Cóż myślisz grą swą podłą zyskać u cesarza?
Silniejszy niż ty, Sejan...

MENEKRATES.

Stracił przecież głowę:
Ale to rzeczy nie nowe.
Ja za swą głowę nie ręczę zbyt śmiele.

AKTEA.

Lecz i za inne niewiele.

MENEKRATES.

Następstwo proste.—Lecz uważ, proszę,
Że ja swéj ceny ani podnoszę
Ani obniżam; jestem w swém ciele
Ni zły ni dobry, od dołu do góry
Taki, jakim wyszedłem z warsztatu natury;
Płynę na fali życia, za powiewem żagli,
Gdzie mnie los nagli:
Przeto mądrzejszym jestem daleko
Od filozofa co się zwał Seneką.
Co pisać księgi? Każdy żywą księgę
Stanowi: otwórz, jeśli masz potęgę,
Tajemne serc ludzkich karty
I czytaj w księdze otwartéj.
Nie taki trud jest mojego żywota;
Ja myślę że zbrodnia i cnota
Są tylko nazwy, których starym obyczajem,
Jedno drugiemu pożycza nawzajem,
Według tego jak mienią się czasy i ludzie.
Jam błazen: co mi po trudzie?
Życie, to koléj w szeregu lat,

Gdzie się ze łzami przemienia śmiech!
Gdy go zawiele przychodzi kat,
By stłumić głos jego ech.
Świat na skinienie Nerona drży,
Znosząc podatki złota i krwi;
Rzym ma żołądek tak strawny przecie
Że je wszystkie przepuści na jednym bankiecie.

AKTEA.

Pocoś tu przyszedł?

MENEKRATES.

Poprzedzam cesarza.
Wczoraj rola pijaka była mu przydana,
Dzisiaj znów rola rzeźbiarza.

AKTEA.

I kochasz ty swego pana?

MENEKRATES.

Gdy daje dużo, patrzę nań mile;
Lecz wczoraj ukradł mi willę.

AKTEA *(z ironią).*

Niezręczny!

MENEKRATES.

Kaprys jednéj minuty.

AKTEA.

Co wstydem serce przenika twoje.

MENEKRATES *(wskazując jéj statuę Eklogi).*

Tak jak twoje ten kaprys w marmurze wykuty,
Strojny w gęstych włosów zwoje,
Który podobien rozkosznéj Hebie,
Złośliwém okiem patrzy na ciebie,
Coś już Junony przybrała stroje.

AKTEA.

Co myślisz, błaźnie?

MENEKRATES.

Nie myślę wcale,
Objawiam tylko com myślał na dobie:
Jesteś zazdrosną o Nerona; ale
O władcę świata być zazdrosną tobie
Musi być wielce przykrém. To nie żarty!

Widzisz, ja czytam z otwartéj karty;
Więc porzuć tę groźną minę
I racz wybaczyć mą winę.

AKTEA.

Winę?

MENEKRATES.

Niechcący przeszyłem boleścią
Serce twe oraz twą dumę niewieścią.
Byliśmy obaj w teatrze z Neronem.
On siedział z czołem tak obciążoném
Nudą, że chcąc mu dać roztargnienie,
Pokazałem mu na scenie
Dziewicę grecką, Eklogę, która
Wdzięczna jak Gracya, lekka jak chmura,
Tańczyła tak jakby ją coś w powietrzu niosło.

AKTEA.

Uczynny jesteś.... wreszcie, to twoje rzemiosło.

MENEKRATES.

Zręcznie uczynny,—mówię to śmiało,—
Czoło Nerona wnet rozpromieniało.

AKTEA.

Ty, w swéj ohydnéj naturze chcesz
Rzucić mi błotem ze swoich leż,
Lecz zapominasz, że ja w żadnym razie
Uledz nie mogę z twoich ust obrazie;
Daremny zatém słów twoich zgrzyt.
Z domów, gdzie sprosny panuje srom,
Co tabernami znaczą swój byt,
Najbrudniejszym twój jest dom;
Towarzyszkami twemi nikczemnice
Co z Messaliną zbiegały ulice,
Żyjesz po ciemku z takich łotrów zgrają,
Co ni ojczyzny ni wstydu nie znają.
Więc wróć do swoich, panuj śród nędzarzy,
Ohydną larwą mięsną, która ludzkiéj twarzy
Na twoim karku odgrywa rolę:
Lecz tu daremnie purpura cesarza
Osłania w tobie kuglarza:
Gdzie wstyd nie zanikł, tam nie twoje pole.

Wié resztka dobrych obywateli
Kto winy władcy względem nich dzieli.

MENEKRATES.

Choć krótka, ale jędrna filipika!
Lecz mnie szczery żal przenika
Że nie trafiła do celu.

AKTEA.

Chciałbyś zapewne przyciąć mi języka:
Niedoczekanie,—ty stręczycielu!
(rzuca nań wzrokiem pogardy, i wychodzi).

SCENA 3.

MENEKRATES *(sam).*

Przyciąć języka!... Niezła to rada,
Tylko nóż ostry trzeba mieć nielada!...
Ależ w Hiszpanii niebo się chmurzy,
Czuję jakąś groźbę burzy:
Byłoby dobrze bezpieczne leże
Znaléźć póki się nie zbierze,
I póki wiatr jéj na Rzym nie przeniesie.
Witam Cezara!

SCENA 4.

MENEKRATES, NERO.

NERO.

Dobry mój Menekratesie,
Jużeś to tutaj?.... Miałżem ja do syta
Z tą zazdrosną Akteą! To straszna kobiéta!...
Jak cień mnie ściga.

MENEKRATES.

Sposób nietrudny.
Pozbyć się cienia.... jeżeli nudny.

NERO.

A jak?

MENEKRATES.

Jak?.... Pytasz, wszechwładny panie?...
Toż cień niech istnym cieniem się stanie.

NERO *(klepiąc po ramieniu błazna).*

Mówisz jak mędrzec, nie jak patrycyusze.
Jam zawsze mniemał, że mądrość prawdziwa
Tylko w pustaczych głowach spoczywa.
Ja ten twój pomysł rozpatrzyć muszę.
Tymczasem myśl mnie gdzieindziéj zwraca....

(prowadząc go przed statuę Eklogi)

Jak ci się zdaje ta moja praca?

MENEKRATES.

Godna Fidyasza lub Praksytela!

NERO.

Więcéj byś uradował twego przyjaciela
Gdybyś powiedział że ona
Godna po prostu Nerona.

MENEKRATES.

Oh! złym jestem pochlebcą!

NERO.

A jak myślisz, wiele
Mogliby mi dać za nią moi przyjaciele,
No, patrycyusze, gdyby przyszła im ochota?

MENEKRATES.

Zważ marmur.

NERO.

Potém?

MENEKRATES.

Przeważ tyleż złota.

NERO *(śmiejąc się).*

Cena jest niezła.—Lecz biedny artysta
Rzadko w ten sposób z pracy swéj korzysta.

MENEKRATES.

Lecz w każdym razie rzec możesz śmiele,
Że sprzedajesz w marmurze co kupiłeś w ciele.

NERO.

Gdzie tam! Zaręczam, że moja praca
Pierwotnego wydatku nawet mi nie wraca.—
Znasz bogatego tak patrycyusza?

MENEKRATES.

Nasz dobry Rufus! Powolna dusza,
Bogaty bardzo, żyje wesoło
I bardzo kocha głowę, chociaż gołą.

NERO.

Ufam nabywcy.

MENEKRATES.

Tymczasem trzeba
Byś z astrologiem pomówił, panie.

NERO.

Babilius!

MENEKRATES.

Tylko co zstąpił z nieba
Z kolei czeka na posłuchanie.

NERO.

Kiedy mnie nudzi.

MENEKRATES.

Całą noc siedział
Z gwiazdami na twój rachunek;
Trzeba by przecie coś ci powiedział.

NERO.

Dobrze; lecz kładę jeden warunek.

MENEKRATES.

Jaki?

NERO.

Chcę wiedzieć czy prawda to,
Że gwiazdy przyszłość na ziemię ślą.—
Postaw że mędrca tu w oknie otwartém,
I za mym znakiem pchnij astrologa
Głową na dół. Jak myślisz?

MENEKRATES.

To żart godzien boga
I ciebie: jeśli zginie, to wróżby są żartem;
Prawdą, gdy stanie zdrów na marmurze.
Jednak jabym być nie chciał kością w jego skórze.
(idzie ku głębi sceny).

SCENA 5.

BABILIUS, MENEKRATES, NERO.

BABILIUS *(wchodząc)*.

Łaska bogów, Cezara niechaj będzie tarczą!

NERO.

Mam łaski pretoryanów,—te dla mnie wystarczą.

BABILIUS.

Mylisz się srodze: na wyroki boże
Ziemska broń nic nie pomoże.
Złe przepowiednie dla ciebie mam.

NERO.

Czy złe, czy dobre, ogłoś je nam.

BABILIUS.

Kometa, która świeci nam nad głową
I grozi miastu śmiercią głodową,
Jest to ta sama co niegdyś w Rzymie
Zrządzała klęski olbrzymie,
Gdy stronnicy Brutusowi
Śmierć zadali Juliuszowi.

MENEKRATES.

Zkądże ta sama, zapytam:
Światła jednako migocą?

BABILIUS.

Głupiś! Dla twego wzroku każde światło nocą;
Ja w gwiazdach czytam.

MENEKRATES.

Raz mędrzec grecki także w niebokręgu czytał,
Jakby w księdze otwartéj; o ziemię nie pytał,
I nazbyt zapatrzony, runął w rów jak długi.

NERO.

Słucham przepowiedni drugiéj.

BABILIUS.

Straszniejsza. Figa, z dawien dawna czczona,
Z czasów Romula cudownie zielona,

Symbol, znaczący Rzymu koleje,
Dziś opada, posępnieje.

MENEKRATES.

Zwołać radę augurów; niech nad figą radzą!

NERO.

Ah! na Jowisza Kapitolińskiego,
Niechaj mi téj figi strzegą!
O nią mi obawa wielka,
Bo to figa karmicielka.
Był raz wiek złoty, o! lepszy pewnie
Niż ten, o którym piszą poeci tak rzewnie:
Wtedy ta figa święta była zasadzona!
Wtedy wilczyce wychodziły z lasów,
Aby dzieciom nad Tybrem podawać wymiona.

MENEKRATES.

Wróciły one znów za naszych czasów;
Lecz dziś Rzymskie matrony
Przed ich czułą pogonią
Rade synów swych chronią.

NERO.

Więc, Babiliuszu, jam już jest zgubiony?

BABILIUS.

Od jutra bój się, burza idzie na cię.

NERO *(prowadząc Babiliusza do okna)*.

Lecz słońce świeci w całym majestacie,
Na powitanie wiosny drzewa się przybrały
W śliczną zieloność. Patrz, co za wspaniały
Z mego pałacu prospekt się wynurza!
Oko gdzieś sięga aż po Alby wzgórza.
Pójdź, przed tą sceną blasków natury
Rozwesel umysł,—ponury
Nieszczęść proroku.

MENEKRATES *(obejmując go wpół)*.

Nie rad że jesteś z tego widoku?

BABILIUS *(z przestrachem)*.

To przyrzeczenie kobiety,—zdrada,
Uśmiech jéj sercu nie odpowiada.

MENEKRATES.

A twoje serce co ci przyrzeka w téj chwili?

BABILIUS.

Oby bogowie mnie ocalili!

NERO.

Co mówisz?

BABILIUS.

Stoję w punkcie méj zguby;
Straszy mnie Parka ręki swéj szelestem.

MENEKRATES.

Ależ, Babiliuszu luby,
Parką ja przecież nie jestem.

BABILIUS.

Stare kości,—mniejsza o nie!
Lecz się o ciebie lękam, Neronie.

NERO.

O mnie?

BABILIUS.

Któremu jeszcze młode lata
Pięknie się uśmiechają. Lecz burza nie pyta:
Pień spróchniały zarówno z młodém drzewem zmiata,
A moja dola z twoją spowita.

NERO (*do błazna, który już uniósł astrologa*).

Odstąp precz od okna, błaźnie!... (*do Babiliusa*)
A ty się tłómacz wyraźnie.

BABILIUS (*głosem uroczystym*).

Wiedz, że jeżeli ja zginę,
Ty za mną umrzesz w godzinę.

NERO (*z wielką czułością całując Babiliusa*).

Uściskaj mnie, Babilu! Składam ci przysięgę,
Na wszystkich bogów, jacy są,—potęgę,
Żem życie twoje kochał z największym zapałem,
Zawsze... choć tego nie okazywałem.
Lecz potrafię w przyszłości,—jeszcześ dosyć młody,—
Tego uczucia dać ci dowody.
Twoją jest moja władza i osoba
Rozrządzaj niemi jak ci się podoba.

BABILIUS.

Mędrzec pogardza dobrém co pochodzi z ziemi;
Jam zawsze gardził twojemi.

NERO.

Lecz ja ci daję wszystkie, i mimo twéj woli,

Chcę, byś staranie miał o swéj doli.—
Menekratesie! Gdzie moi żołnierze?
Setnia niech pretoryanów przynajmniéj go strzeże.

BABILIUS.

Więc mnie zasadzasz do więzienia?

NERO.

Może
Wolisz zamieszkać w mym dworze?

BABILIUS.

I on więzieniem. Lecz ja się nie boję!
Myśl moja wolna. Kłaniam ci, Cezarze. (15)

NERO (*do Menekratesa*).

Idź za nim.—Straże! Czémprędzéj straże!

MENEKRATES (*do Nerona*).

Jego chytrości równém jest tchórzostwo twoje.
(*wychodzi z astrologiem*).

SCENA 6.

NERO, późniéj EKLOGA.

NERO.

Tchórzostwo!... Zawszeż lepiéj zabezpieczyć siebie.—
Między ludźmi na ziemi, gwiazdami na niebie,
Może téż związek naprawdę istnieje.
Ludzie i gwiazdy!... Ej, stworzenia dzieje
To tajemnica! Kiedy i kto ją odgrzebie.
(*zatrzymuje się przed statuą Eklogi i badawczo patrzy*)
Jednak ta moja robota,
Co ma iść na wagę złota,
Niezupełnie artystę zachwyca.
Niedość złośliwie śmieją się lica (*z namysłem*)
Coś tutaj poprawić muszę,
By całą wywołać duszę.
(*przesuwa dlutem po posągu*).
Ja chcę by w tobie, o! bryło,
Krew płynęła, serce biło.

EKLOGA (*podchodząc ku Neronowi*)

Marmur jest zawsze zimny, Neronie.

NERO.

A pocałunek twój ogniem płonie.
Masz słuszność, dziewczę! Co mi po żelazie

Wykuwającém takie usta w głazie
Co pocałunków twoich nie dają, Eklogo! (*rzuca dłuto*)
Jestżeś mi piękną! jestżeś mi drogą!

EKLOGA (*obejmując szyję Nerona*).

O jednę łaskę chcę prosić Cezara.

NERO (*skwapliwie*).

Co chcesz, o wszystko Cezar się postara.
Chcesz li prowincyi? Wydrę ją światu.
A może wznieść cię do konsulatu?
Myśl doskonała! Od czasów Augusta
Mniéj więcéj, lista konsularna taka:
Mieliśmy głupców mnóstwo, jednego oszusta,
Dwóch bohatérów, jednego rumaka.
Dodamy jeszcze kobiétę, i będzie.

EKLOGA.

Rządów prowincyi nie mam ja na względzie.

NERO.

Udział twój lepszy: ty rządzisz Neronem.

EKLOGA.

Tyś mnie obdarzył niewolnic gronem,
A wszystkie ładne i młode....

NERO.

Więc co?

EKLOGA.

Chciałabym dać im swobodę:
Lecz czy nie jestem zanadto śmiała?

NERO.

Com dał, to twoje. Jak chcesz używaj mych darów,
Choćbyś je nawet marnować miała.

EKLOGA.

Ej! marnotrawstwo, nie mój to narów.
Ale nie będzie to zmarnowanie,
Jeśli niewinnym wolność się dostanie.
Łańcuch do cudzéj przyczepiony doli
Ciąży mnie samėj: bom i ja niewoli
Zażyła dosyć w młodociane lata,
I lubię, dzisiaj wolna, wszystko widzieć wolne,
Przelatujące niby ptastwo polne
W nieskończoności słonecznéj wszechświata,
Z upojonym od światłości wzrokiem.
Kajdan ja nienawidzę, a brzydzę się mrokiem.
Szłam ja przed chwilą z myślą wesołą

Po ścieżkach cudnéj ustroni,
Która posągów mnóstwem i woni
Ten dom twój złoty otacza wokoło.
Święto było w powietrzu, i z najdalszéj strony
Iskrzył po polach kwiecień nowonarodzony:
To mnie tylko bolało że za żelaznemi
Prętami uwięzione ptastwo różnopióre
Tak radośnie witało zbudzoną naturę.
Żal się zrobiło tych śpiewaków ziemi,
I wypuściłam ich z okrutnéj cieśni,
Aby wesołe ku niebu, w górę,
Wybrały lot swobodny i swobodne pieśni.

NERO.

Czyż poprawiłaś przez to ich dolę?
Padną zabite, lub wrócą w niewolę.
Taka konieczność wszechstworzeń ziemi.
Lecz nie chcę twoich krępować zamiarów.
I sługi twoje czynię wolnemi.

EKLOGA.

Oto najmilszy mi z twoich darów.

NERO.

Więc naszyjnika z drogich kamieni
Pieszczotka moja wcale nie ceni,
Który przysłałem wczoraj?

EKLOGA.

Neronie,
Czyż go nie widzisz na mojém łonie?

NERO (*dotykając naszyjnika*).

Dziwny zbieg! kiedyś spodobał się on
Poppei, jednéj z mych żon.

EKLOGA.

Którą zabiłeś... Biedna dziewica!

NERO.

Lecz ją kochałem wiernie cztery doby.

EKLOGA (*zdejmuje pogardliwie naszyjnik, i rzuca go na ziemię*).

Nie chcę po zmarłéj ozdoby.

NERO.

Boisz się by zazdrośnica
Nie wyciągnęła aż z Piekieł dłoni,
By zdjąć co kiedyś należało do niéj?

EKLOGA.

Nie; lecz to wróżba niemiła.

NERO.

Odpędź ją tedy, i potańcz.

EKLOGA.

Nie mogę.

Wspomnienia twoje znękały Eklogę.
Dziś już nie będę tańczyła.

NERO.

Niech nie dotyka umarłego świata,
Duch który młode ożywia lata.
Moje uczucie wróżbą niech ci będzie miłą.

EKLOGA.

Tyle go przedtém kobiét dzieliło!

NERO.

Żadna nie była tak w powab bogata,
I nie kochała mnie tak jak chciałem.
Zaśmiéj się, zaśmiéj boskiemi oczęty,
Zawróć mi głowę miłośnym szałem!.. (*podchodzi zblizka*)
Dobrze, iż zdjęłaś z szyi dyamenty,
Przybyło miejsca: tę białą szyję
Pocałunkami gęściéj okryję;
I proszę! Jak mi to snadnie.
Dać znak—i szyja ta spadnie!

EKLOGA (*odbiegając odeń*).

Jakiżeś straszny!

NERO.

Jakiżem szczery!

EKLOGA (*coraz się bardziéj oddalając*)

Myśl twoja zimna jak ostrz siekiery!

NERO.

Nie bój się; tego ja nie uczynię:
Za znak méj mocy przyjmij jedynie
Te słowa moje. Słowem czy giestem,
Przy tobie ciągle zmuszony jestem
Wspominać sobie, że światem władam,
Ja, co pod spojrzeniem twojém upadam,
Ja, co twą wolę pełniąc jedynie,
Ślepo ulegam słabéj dziewczynie,
I niby Alcyd u nóg Omfali,
W bezwłasnowolność brnę coraz daléj,

A to wśród ciężkich zbrodni, i wśród
Odartych ze czci uczuć i cnót,
W wieku co swym się stoicyzmem chwali.
Gdy wspomnę o tém, zakipi krew,
I miłość zmienia w gwałtowny gniew,
Że zaś, by go powściągnąć, sił za mało mam,
To radbym wnętrze twoje rozedrzéć, i tam
Poszukać jaka przyczyna
Jest, że twa piękność do nóg mnie ugina.

EKLOGA.

Teraz ja znam cię... Biadaż mi, biada!
Więc słuszną była Aktei rada.

NERO.

Cóż ci mówiła?

EKLOGA.

Nic.

NERO.

Wiedzieć chcę.
Więc powiédz, proszę.

EKLOGA.

Nie tykaj mnie.

NERO.

Jeszcześ piękniejsza z tą swoją trwogą,
Lecz się już nie bój, moja Eklogo:
Pan świata zniknął, zostawił człowieka
Który w zachwycie skinień twych czeka.

EKLOGA.

A jak powróci?

NERO.

Błyśniesz oczyma:
Błysk twego oka złość jego wstrzyma.
Więc niech cię dobra cieszy nadzieja
W domu cesarza. Kto tam?

EKLOGA.

Akteja!...

SCENA 7.

EKLOGA, NERO, AKTEA; *następnie* CLUVIUS RUFUS I VINICIUS, *dowódca Pretoryanów.*

AKTEA.

Książę senatu i dowódca straży

Twéj pretoryańskiéj, proszą cię o posłuchanie.

NERO.

Natręci!... Niech im zadość się stanie.

RUFUS (*wchodząc*)

Witaj Auguście!

VINICIUS.

Gwiazdo cesarzy!

NERO.

I cóż, mój Rufie?

RUFUS.

Przyszło po liście
Z Gallii, Hiszpanii: przeczytać chcesz-li
Co w nich się mieści?

NERO (z *niechęcią*).

A oczywiście;
Tylkoście nieco nie w porę weszli.
Złóż je tymczasem tam (*wskazuje na konsolę. Do Vinicyusza*).
Tobie zasię
Co, Vinicyuszu, powiedziéć zda się?

VINICIUS.

Kohorty, które pod władzą moją
Tu w pretoryańskim obozie stoją,
Wszczęły rozruchy.

NERO.

A to z powodu?...

VINICIUS.

Mówią, jakoby więdnieli z głodu,
I że niepłatni kilka miesięcy,
Nie chcą rozkazów mych słuchać więcéj.

NERO.

Czekaj; zaraz ci odpowiedź dam.
(*prowadzi Rufusa pod statuę Eklogi; pocichu*)
Mój dobry Rufie, mówiłeś sam
Żeś gotów nabyć jakie moje dzieło;
A to, wierzaj mi, w natchnieniu się wszczęło.
Tylko uprzedzam, kosztuje drogo,
A zwie się *Piękną Eklogą*.
(*nie czekając odpowiedzi, odstępuje od osłupiałego Rufusa i idzie do dowódcy Pretoryanów; głośno*)
Niechże się rozruch daléj już nie szerzy;

Nasz przyjaciel da złota dla twoich żołnierzy.
Poczciwy Rufus przyrzeka wiele,
I na swą hojność liczyć pozwala.
Teraz oznajmiam wam, przyjaciele,
Że tutaj nie jest cesarska sala,
Ale po cesarskim znoju
Ustroń artysty. Idźcie więc w pokoju.
(*Rufus i Vinicius wychodzą*).

SCENA 8.

NERO, AKTEA, EKLOGA.

NERO.

Jakżeż mnie miła ta ustroń artysty!

AKTEA (*dotąd stojąca w milczeniu, podchodzi do Nerona*).

Dziecko!

NERO.

Jeszcześ tu?

AKTEA.

Przeczytam listy,
Jeśli pozwolisz.

NERO.

Po twojéj woli.

AKTEA (*przeczytawszy jeden*).

Vindex nie żyje.

NERO.

Bardzo mnie boli:
Tu śmierć godniejszą znalazłby przecie;
Czemu nie wrócił!...

AKTEA (*po przeczytaniu drugiego listu*).

Oj! zbudź się, dziecię!
Wojsko hiszpańskie, galskiego wzorem,
Ogłasza Galbę imperatorem!
(rzuca listy i znika)

NERO.

Co mówisz?... Czyż to prawda?... Uchodzi!...
(*podejmuje list drugi*)
Galba cesarzem!... Co mi to szkodzi?
(*biegnie ku Eklodze, opuszczając się w jéj ramiona*)
Miłość, to życie! Miłość i śpiew,
Póki młodzieńcza gore w nas krew!

Otwórz mi dziewczę, białe ramiona,
Gdy miłość bucha z mojego łona!
Życie niech płynie rozkoszy rzeką!
—Galba jest jeszcze daleko.

AKT IV.

SCENA I.

Triclinium cesarskie.—Z jednéj strony sceny wielki otwór zasłonięty szkłem zwierciadlaném.—Bogate lampy wiszą od sklepienia.—Zewsząd światła i wonności. Noc.—Nero, Aktea, Ekloga, Vinicius, Cluvius Rufus, Menekrates, leżą na okrytych purpurą łożach, otaczających stół na którym błyszczą naczynia złote i srebrne.—Biesiadnicy przybrani w białe szaty biesiadnicze, głowy mają opasane wieńcami z róż.—Niewolnice, także uwieńczone kwiatami, obnoszą.—Muzyka cytr i fletów.—Orgija.

VINICIUS.

Niech żyje Nero!

MENEKRATES.

Nasz bóg!

NERO.

Wonności i wina
Zlać na podłogę. Rozkoszy godzina
I upojenia!
(*na znak Nerona niektóre Niewolnice biorą naczynia z winem i wonnościami i rozlewają po kilka kropel na podłogę*).

RUFUS.

Hymn upojeniu!

EKLOGA.

Hymny rozkoszy!

NERO.

Hej! wina doléj,
I czara moja rżnięta w kamieniu
Niech pójdzie w koléj.
Komu jam drogi
Niech pije zdrowie Eklogi.

MENEKRATES.

Ona królową niech uczty będzie.

VINICIUS.

Piękności łatwo królować wszędzie.

NERO.

Poezya gwałtem wybucha z łona:
Pocznę wam rytmem Anakreona.

VINICIUS.

Górą Katullus!

MENEKRATES.

Linguis favete! (*)

RUFUS.

Słuchać i wielbić wielkiego poetę.

NERO (*tonem i z egzaltacyą improwizatora mówi; podczas gdy muzyka po energicznéj przegrywce stosuje się do rytmu i treści słów).*

(*Pean)*

Hej! biesiada, to mi rada;
Nie masz rady jak biesiada.
Na szał dzwonią cytry dźwięki,
W sercu budzą żar piosenki,
Czara w dłoni, zapał w głowie,
Wszystkich dziewic pijmy zdrowie,
Wszystkich dziewic pijmy wdzięki,
Pijmy rozkosz, przyjaciele!
Jak wesele, to wesele.

* * *

Śmierć zbyt wczesny zbiera plon;
W zagrobowéj zaś krainie,
Gdzie Tartarus czarny płynie,
Falernejskich niéma gron;
Niéma cudnych dziewic grona,
Którym żar buchając z łona,
Pocałunkiem drżących lic
Nieprzeparcie wabi nas:
Więc kochajmy póki czas,
Bo po śmierci niéma nic.

* * *

O! Wenus święta,
Z konchy poczęta,
Rozkoszy cudowna perło!

(*) Znane wyrażenie w uroczystych posłuchaniach, odpowiadające polskiemu: *uciszcie się.*

Srebrnemi pióry
Z Olimpiéj góry
Spuść się, królewskie przyjm berło.
Gdzie się blask wdzięków twoich zamroczy,—
Czernieje świat,
Nuda mak senny sypie na oczy,
I dziki wkracza tam ład.
Ale gdzie stąpi stopa twa boska
Tam pierzcha troska,
I wdzięk wykwita
I w słodki ujęta trud
Harmonija sztuk niespożyta
Którą Latyński chlubi się lud.

* * *

Uśmiechnij się, o! bogini,
Zstąp z Cypryjskiéj swéj świątyni,
Na Latyńskiém osiądź polu,
Spuść nań twéj piękności rosę,
A ja tobie ołtarz wzniosę
Tu, na dumnym Kapitolu.
Oh! uśmiechnij się, bogini!
My, rozkoszy twoich głodni
Twych niewieścich rządów godni,
Prym nadamy twéj świątyni:
Jowisz, dobrze podstarzały,
Niech gdzieindziéj szuka chwały.

(*kładzie się znów na łożu, ściskając Eklogę*).

VINICIUS.

Rozkoszne wiersze!

MENEKRATES.

Podtrzymuję zdanie
By starego Jowisza skazać na wygnanie,
Ja rządów jego nie mając za nic,
Gotów-em sam go odwieźć do granic.

EKLOGA.

Ja piję na cześć Wenery!

NERO.

Na swoją,
Piękna!

MENEKRATES.

Słuchajcie! Rytmy mi się stroją,
I jakiś dwuwiersz wypada mi z czary.

RUFUS.

Koślawy hexameter bez sensu i miary.

VINICIUS.

Ciekawym czém nas Menekrates wzruszy.

EKLOGA.

O! czułe Muzy, zatkajcie uszy.

MENEKRATES (*podnosząc czarę*).

Występki mnie stargały, lata mnie znużyły,
Bóstwem mém Bach, dla Wenus już mi zbrakło siły.

RUFUS.

Więc na cześć Bacha!

MENEKRATES.

Nasz Rufus jest szczery:
Ręczę, że téż nie bardzo zdatny dla Wenery.

NERO.

Niech krople wonnéj mirry w czary nasze spłyną.
(*Niewolnice biorą naczynia z mirrą i stawiają przed biesiadnikami*).

RUFUS.

W cześć bogu wina poświęcam wino!

VINICIUS.

To go kadzidło najczuléj wzrusza.

MENEKRATES.

I niech przepadnie prawo Liciniusza. (16)

NERO.

Obrzydłe prawo! Słuszna kondemnata:
Ono dla gburów, nie dla władców świata.—
Tę, któréj przed nim blask nęci oczy,
I która słodkie nektary toczy,
Czarę rzeźbioną, czarę złocistą,
Niech każdy weźmie odemnie w darze.

VINICIUS.

Ojcze ojczyzny, żyj nam Cezarze!

NERO.

Powiédzcie lepiéj: żyj nam Artysto!

RUFUS.

Laury dla ciebie!

MENEKRATES.

A dla mnie wino!
(*podaje niewolnicy czarę do napełnienia*).

EKLOGA (*do Aktei*).

Ty jedna więc, Akteo, z pogardliwą miną,—
Siedzisz milcząca i blada?

AKTEA (*smutnie się uśmiechając*).

Mówiłam!

NERO.

Nikt nie słyszał.

AKTEA.

Zbyt huczna biesiada.

MENEKRATES.

Zbyt huczna?

AKTEA (*powstając*).

Dobrze! Dodam i ja nieco
Do bezwstydnych okrzyków co wam z gardła lecą.
I jam pijana, żar bije do głowy.
Dajcie mi tyrsus i wieniec bluszczowy.
Jestem bachantką.... z ogniem i siłą.

NERO.

Tak, to aż miło!

AKTEA.

Pijmy! Bezmyślna niechaj ochota
Nam towarzyszką będzie żywota,
Który zbyt chyże fale unoszą.
Niech go swym wdziękiem Wenus otoczy,
Pocałunkami zamyka oczy
Na wszystko co nie jest rozkoszą,
Co nie jest szaleństwem człowieka.
Oh! pijmy, bo życie ucieka.
Widzicie tę tanecznicę?
Ja na nią z zazdrością patrzę....
Uciecha najprzód tłumów w teatrze,
Potém Nerona. Jéj lice
Szczęściem, przyszłością oddycha....
Czemuż tyś znowu tak cicha?
Młodość twa jest ci tak drogą....
Zanuć hymn dla niéj, Eklogo!
Cóż zwieszasz tak osmutnioną
Głowę na cesarskie łono?...
Wzywam cię po raz wtóry: wśród wesołych gości
Zanuć hymn dla swéj młodości!
Nie możesz? Cóż to! Nadzieja cię zwiodła?

(*Ekloga unosi głowę na łonie Nerona; Aktea odchodzi nieznacznie*).

NERO (*obejmując Eklogę*).
Co się to znaczy?... Eklogo!... (*zwrócony ku Aktei*)
O podła!
RUFUS.
Oczy jéj zgasły, twarz śmiertelnie zmierzchła.
MENEKRATES (*patrząc na miejsce opuszczone przez Akteję*).
Dziwny wypadek.—Aktea pierzchła.
NERO (*gwałtownie*).
Sprowadzić mi ją, umarłą czy żywą!
Słyszycie? (*kilku niewolników wychodzi*).
A ty mi powiédz, rozkoszne ciało,
Co ci jest?
EKLOGA (*głosem coraz słabszym*).
Boleść czuję straszliwą,
I jakby życie we mnie konało.
NERO.
Prędzéj!...
VINICIUS.
Pomocy....
MENEKRATES (*rzuciwszy okiem na Eklogę*).
Eh! zachód pusty:
Sztuka lekarska jest nazbyt małą
Przeciwko sztuce Lokusty. (17)
NERO.
Otruta!... O nie! To być nie może;
Ja nie chcę by z niéj życie uleciało.
EKLOGA.
Ale tak chciały wyroki boże...
Jam całe życie słońca była godna,
A teraz ciemność ogarnia mnie chłodna,
Biedny sen myśli rozgorączkowanéj....
Już się skończyły moje wdzięczne tany! (*umiéra*).
NERO (*daremnie nią potrząsając*).
Umarła!... A tu jeszcze niéma téj Aktei?
Ha! ja i dla niéj wymyślę z kolei
Nowe a straszne męczarnie,
By jéj nie uszło bezkarnie
Że to miluchne zmarnowała życie.—
Precz z mego domu wesołość!... Słyszycie?....
Precz z głowy wieńce! Płaczcie.... Niech was żal ogarnie!
Ja płaczę.... Świat się podemną zapada!....
(*Biesiadnicy zrzucają z czoła wieńce*).

MENEKRATES.
Ot, tak się kończy Nerońska biesiada. *(zrzuca wieńce)*
(*Zwłoki Eklogi rozciągają na jeduém z łożysk*).

SCENA I.

Poprzedzający, FAON, EPAFRODYTES.

EPAFRODYTES.
Przybywaj co tchu, imperatorze!
NERO.
Zkąd taki przestrach?
FAON.
Burza na dworze
EPAFRODYTES.
Lud przeciw tobie.
NERO.
Lud?
FAON.
Obrońcy właśni....
MENEKRATES.
Niewdzięczne plemię!
NERO (*do Faona*).
Tłómacz się jaśniéj....
FAON.
Po wszystkich drogach bunt płynie falą,
Posągi twoje na ziemię walą,
Gniew broń podaje, po całym Rzymie
Sławione Galby wznosi się imię.
NERO.
O! noc przeklęta.... Wszędy zniszczenie!
(*Ogólna konsternacya. Niektórzy z biesiadników, wyzwoleńcy i niewolnice uciekają; naczynia biesiadne wywrócone spadają. Nero biegnąc do Rufusa*).
Ja wierność twoję wysoko cenię,
Mój dobry Rufie; ta mi pomoże....
RUFUS.
Co chcesz?
NERO.
Zbierz senat.
RUFUS.
Co! o téj porze?

NERO (*wypychając go za scenę*).

Możesz dopomódz, nie zwlekaj,—proszę!

(*Rufus wychodzi; Nero biegnąc do Viniciusza*).

Ty, Viniciuszu, przemów do dumy
Swych dzielnych kohort, uderz na tłumy;
Ja zsypię złota im pełne kosze,
Rozumiész? Użyj pioruna lotu.

VINICIUS.

No, no, narobię ja tam łoskotu. (*wychodzi*)

NERO (*do błazna, który się patrząc nań uśmiecha*).

A ty się śmiejesz, Menekratesie?

MENEKRATES.

Ze ślepych zdarzeń, które traf niesie.

NERO (*ściskając go z bojaźliwą czułością*).

Nas nie rozerwie fala nieprzyjazna....

MENEKRATES (*bocząc się*).

Kruchą jest tarczą pierś błazna.

NERO.

Jak to rozumiész?

MENEKRATES.

Tak, żeśmy w téj chwili
Komedyą wspólną wśród gwizdań skończyli,
I że ja, mając wzory nieśmiertelne
A pełną natchnienia duszę,
Inną odegrać gdzieś muszę,
Z nowym tytułem.

NERO (*z wściekłym okrzykiem*).

Odrzwia piekielne!

MENEKRATES (*spokojnie*).

I ten być może.—Tymczasem Neronie,
Zanim przy nowym osiądę tronie
Pozwól, że wezmę czarę złocistą,
Którą mi dałeś, boski artysto.

(*bierze ze stołu czarę złotą i uchodzi*).

NERO (*rzucając za nim swoję czarę kryształową*).

Bierz i tę odemnie w darze.
Oj! podliż ci pieczeniarze!

SCENA 3.

NERO, EPAFRODYTES, FAON.

NERO (*do obu wyzwoleńców*).

Lecz wy przynajmniéj mnie nie zdradzicie!

EPAFRODYTES.

Ja ci przysięgam na śmierć i życie.

FAON.

I ja ci wierność przysięgam moją.

NERO.

Idźcież, kołaczcie we wszystkie wrota:
Jam tylu dobył z nędzy i błota,
Obsypał złotem; ci niech uzbroją
Swych niewolników, klientów rzeszę;
Tu czekać będę ich.

EPAFRODYTES.

Idę.

FAON.

Spieszę (*obaj wyzwoleńcy wychodzą*).

SCENA 4.

NERO (*sam*).

Sam tedy jestem, widmo już cesarza;
Ah! ta cisza mnie przeraża,

(*Przechodzi się wielkiemi krokami po scenie, jak człowiek nie wiedzący czego się jąć. W przejściu spostrzega zwłoki Eklogi i podchodzi ku nim. Daleki odgłos burzy*).

I ty usnęłaś, biedna dziewico,
W sen długi śmierci wprawiła cię ręka,
Ale cię wizye jego nie zachwycą,
Żadna nie wejdzie nad nim jutrzenka (*długi przestanek*)
A jeszcześ piękna.... Piękność twą zgubą,
Czemuż się do mnie uśmiechasz tak lubo?
Czy chcesz bym usnął z tobą?... Czy mam
Zakryć twój uśmiech? (*rzuca opończę swą na zwłoki*)
Znów jestem sam! (18)
Może Vinicius nie uchybił pory,
Może zapędził zkąd wyszło, do nory,

Pospólstwo żądne awantur i wziątku
W imię nowego rzeczy porządku.
(idzie do okna i otwiera)
Zobaczmy. Cisza padła na ulicę.
A tylko burza zsyła błyskawice
I deszcz niszczący miecie na wsze strony.
(cofa się z przerażeniem)
Co!... pretoryanów mych dom opuszczony! *(woła)*
Héj, pretoryanie!.. Straży!... Nic.... wołam daremno.
Jak tłum tu wpadnie, co będzie ze mną?
(Grzmot; powtarzane podmuchy wiatru gaszą lampy)
Mamże się ukryć? A gdzie?... Może zmienię
Mój strój biesiadny na liche odzienie
Oskarżonego; chodzić będę codnia
Aby o litość błagać każdego przechodnia,—
Jak to Cycero i inni czynili?...
Czémże jest władza cesarska w téj chwili?
To piękna żona podłego człowieka;
To spekulacya żołnierskiéj chciwości,
Która na więcéj dającego czeka.
Mam błagać wrogów? To mnie wściekle złości.
I co téż moje poniżenie wskóra?
Spadnie prowincya albo prefektura,
A za to ruszaj, podwładny Neronie,
Nowemu panu skłonić się na tronie.
I komu? Galbie!... Ustąpięż nikczemnie?
On sam najpierwszy śmiać się będzie ze mnie.
Niémaż więc dla mnie ocalenia drogi?
Gdybym ukradkiem puścił na me wrogi,
Karmione w cyrku dzikie zwierzęta?...
O! to mi pomysł.... Lecz brama zamknięta,
Klucz u dozorcy, a czy on go da mi!...
I oto próżno biję się z myślami.
A nikt nie wraca. Czyż taka już trwoga
Przejęła wszystkich, iż czekam daremnie
Na przyjaciela lub wroga?

SCENA 5.

NERO, AKTEA.

AKTEA *(wychodząc z głębi sceny)*.
Jedno lub drugie masz we mnie.
Wybiéraj.

NERO.

Żmijo zjadliwa!
I ciebież na mój widok trwoga nie przeszywa?

AKTEA.

Mnie trwoga nie była znana,
Gdy na kolana padał przed tobą świat cały;
Czyżby mnie teraz trwogi ogarniały,
Gdy ty zamyślasz upaść na kolana?

NERO.

Ha! więc przybywasz, zbrojna mojém poniżeniem,
W lwa ranionego ugodzić kamieniem?
Lecz, choć dla innych na sile mi zbywa,
Dla ciebie starczy jeszcze, niegodziwa!
I zemścić się potrafię *(posuwa się z gniewem ku niéj).*

AKTEA *(dumnie postępując ku Neronowi).*

Zaraz zobaczymy:
Otóż się cofasz, zbladły i niemy.

NERO.

Boję się ciebie, boję, kobiéto straszliwa,
Którą los nienawistny z mym losem skowywa.
Ty nie przyszłaś nieszczęściu memu się użalić,
Lecz mu urągać.

AKTEA.

Przyszłam cię ocalić.

NERO.

Ocalić!

AKTEA.

Mogę.

NERO.

Łudzisz mnie, złośliwa.

AKTEA.

Ja mówię prawdę.

NERO.

Prawdę?

AKTEA.

Na środku nie zbywa.

NERO.

Powiédz: czy możesz mi powrócić władzę?
Ja cię przy sobie na tronie posadzę!

AKTEA.

Władza umarła: ciebie odrzuca ojczyzna.

NERO.

Jakiż więc środek?

AKTEA *(ukazując mu flakonik)*

Oto jest.

NERO.

Trucizna?

AKTEA.

Nie chcesz?

NERO.

Trucizna!.. To ta sama może,
Którą ostatnie zgotowałaś łoże
Téj nieszczęśliwéj?

AKTEA.

Nero, widzę, z wiekiem
Staje się jakimś pobożnym człowiekiem!
Pomnę noc inną i biesiadę inną,
Gdzie twa pobożność była również czynną.
Luby młodzieniec ufał w twoję wiarę;
Był to Brytannik. Podałeś mu czarę,
I życia za nim zamknęła się brama.
W czarze téj była trucizna:—ta sama.

NERO.

Milcz zły języku! I na cóż to zda się
Wyzywać zmarłych po tak długim czasie?

AKTEA.

Los, który innym umiałeś zgotować,
Niech cię nauczy swego mniéj żałować.
Życie twe pełne podłości i zbrodni:
Zapieczętował byś je najniegodniéj
Gdybyś nie umiał umrzéć jak przystoi;
Podłość to straszna jest w ojczyznie twojéj,
Nierzymska. Choć raz, przed ostatnim czynem,
Jakiéj ojczyzny, pomyśl, jesteś synem;
Pomyśl, i rzuć wzrok poezyą natchniony
Na ofiar twoich bohatérskie zgony;
Pomyśl, i w próbie życia ostatecznéj
Z nizin się zwolna wznieś ku chlubie wiecznéj.

NERO.

Cóż więc mi radzisz?

AKTEA.

Jedyna ci rada:
Padnij, cesarzu, jak rzymianin pada (*podsuwa mu flakonik*).

NERO.

Weź mi z przed oczu ten płyn piekielny!
Mam lat trzydzieści: to wiek weselny;
Nie chcę umierać, ja kocham życie.
Tchórzostwem miłość taka,—mówicie?
Mniejsza! Nie lękam się tych okrzyków,
Nie chcę uchodzić za ucznia Stoików.
Umierać. Poco? Zmienne są koleje.
Czemu ostatnią odbierasz nadzieję?

AKTEA.

Jaką nadzieję? Gdzie pomoc? czyja?
Rząd okrutników szybko przemija,
A gdy raz runie ich panowanie,
I znaku po nich nie pozostanie.
Gdybyś był poszedł rad moich śladem,
Mógłbyś prawami, własnym przykładem,
Zachętą innych, do dawnéj chwały
Pobudzić jeszcze Rzym zbękarciały,
Który dziś gnuśnie dogryza szczątki
Tego co ojce mu zostawili,
Zwiedzając wszystkie świata zakątki;
Lecz ty nie chciałeś nic. A w téj chwili
Dokąd się zwrócisz? Czy do senatu,
Któryś uczynił pochlebców zgrają
Bez czci i wiary? oni czekają
Aby nowego pana dać światu,
Jeśli z dawnego już tylko cień.
Do patrycyuszów zwrócisz się może,
Których rodziny wyciąłeś w pień,
I nie przestając już na toporze,
Łupiłeś mienie ich, a ostatki
Między fałszywe dzieliłeś świadki.
Może lud prosty myślisz przyzywać;
Co się śmiał z ciebie, gdyś mu w arenie
Kuglarskie sztuki jął pokazywać,
Lub gdyś oklasków żądał na scenie,
Albo na wozie kark łamał nieraz.
—Co zasiewałeś, zbiérajże teraz.

NERO.

Nie; lud mnie kocha, lud mi dopomoże.

AKTEA.

Czemuż więc jesteś sam w takiéj porze?
Czemu pomocy wyglądasz daremnie?

NERO.

Mówię raz wtóry: idź sobie odemnie,
Straszna kobiéto! Ja Galbę wolę,
Zbuntowanego wojska swawolę,
Niż towarzystwo twoje.

AKTEA.

O! dziecię,
Dziecię szalone, synu tygrysicy!
Pójdę! (*oddala się*)

NERO (*biegnie do niéj przejęty najwyższym strachem*).

Oh! zostań. Toż słyszysz przecie
Groźne okrzyki grzmiące w ulicy!

AKTEA.

Ja słyszę tylko jak ryczy burza.

NERO (*uspokojony*).

Prawda!...

AKTEA (*załamując ręce*).

Takiegoż mi pokochać tchórza!
O! dolo, dolo! Stoicy, słyszycie?
Dzięki wam, dzięki, że nie dbam o życie.
Ty mną pogardzasz, lecz nie znasz mnie wcale....
Gdyś ty przebrany, w pijanym szale,
Z mniejszymi łotry, łotr zamaskowany,
Nocą po mieście wyprawiał tany,
I nie wstyd było ci z tą podłą dziczą
Podle zyskaną dzielić się zdobyczą,
Ja niewidziana i nieproszona
Czujne rozpościérałam nad tobą ramiona
I jak pies ciebie pilnowałam wiernie,
Abyś gdzie nie legł trupem w tabernie.
Mnie téż zawdzięczasz że wśród spisków wiela,
Co otaczają dom ciemiężyciela,
Nie wyrósł żaden coby mógł z ukrycia
Przed czasem przeciąć wątek twego życia.
Czémeś nagrodził płomień uczuć moich czysty,
Czémeś nagrodził gorzkie życia mego chwile?
Z rozkoszą zbójcy, z dowcipem artysty,

Tyś mi pruł serce żyła po żyle.
Wzgardziwszy czystym rąk moich uściskiem,
Tyś mnie żon swoich zrobił pośmiewiskiem,
Jakbyś chciał palcem pokazywać: Oto
Kobiéta, którą okrywam sromotą,
Którą nogami depczę jak zwierzę, a ona
Wciąż do mnie głupie wyciąga ramiona.
A iżby większa hańbie méj przyrosła siła,
Kazałeś przysiądz najcelniejszym z grodu
Żem niewolnicą ja nigdy nie była,
Lecz że pochodzę z królewskiego rodu.
Niedość ci na tém. Gdy cię wszystko nuży,
Brudnąś tancerkę wydobył z kałuży,
Która śmie ze mną równać się w swéj bucie.
Ku jéj popisom dałeś pałac złoty,
I jéj skalane przeniosłeś pieszczoty
Nad moje wierne uczucie.
Jednak ten nędzny postępek cynika
Nie tylko serce kochanki dotyka:
Gdy kary za twe zbrodnie wybija godzina,
Ja staję tutaj jako matka twego syna.
Nie wiém czy bogi dbają o śmiertelnych dzieje;
Lecz trup téj dziewki leży przedemną,
Widzę twą postać drżącą ze strachu, nikczemną,
Gdy ja się śmieję.

NERO.

Daj tę truciznę... ktoś idzie.... nareszcie!

SCENA 6.

NERO, AKTEA, EPAFRODYTES, FAON.

EPAFRODYTES.

Daremne trudy.

NERO.

Cóż tam słychać w mieście?

FAON.

Jedni z przyjaciół trzymają się biernie,
Drudzy się nawet i złorzeczyć ważą.

NERO.

A cóż Vinicius?

FAON.

Z pretoryańską strażą

Co w małéj garstce poszła za nim wiernie,
Dotąd wstrzymywał wściekłość ludową,
Lecz padł przed liczbą i nadłożył głową.
Rzeź tam straszliwa, we krwi brodzi noga;
Widziałem skrwawionego....

NERO.

Kogo?

FAON.

Astrologa.

NERO.

I umarł?

FAON.

Nie wiém: o to dbałem mało;
Spieszyłem tutaj.

NERO.

Nie wiesz.... źle się stało.
Trzeba uciekać, aby ujść pogoni.

FAON.

A noc i burza ucieczkę osłoni.

NERO *(zatrzymując się przed zwłokami Eklogi)*.

O! ty, szczęśliwa w swym smutnym zgonie!
Choć ty zostaniesz w domu Cezara.

AKTEA.

Czemuż się Cezar zostać nie postara? (*wskazuje flakonik*).

FAON.

Prędzéj! uchodźmy! bo zajdą pogonie.

NERO.

Idźcie ostrożnie.... pójdę i ja w drogę.
(*Odwraca się i spostrzega Akteję także zabiérającą się z nim*)
Ty także?

AKTEA.

Tak cię opuścić nie mogę.
Chwile są nazbyt złowieszcze,
A choć-eś zemną postąpił okrutnie,
Kocham cię jeszcze!

NERO.

Cóż ja zabiorę?.. żyłem tak rozrzutnie... (*rozgląda się*)
Co mi zostało? Aha!... (*do Epafrodyta*)
Daj mi lutnię!
(*Epafrodytes bierze ze stołu lutnię Nerona. Wszyscy wychodzą*)

AKT V.

SCENA I.

Izba wilgotna w chacie wyzwoleńca Faona. Po jednéj stronie łóżko, po drugiéj kulawy stół. Wchodzą:

NERO, AKTEA, FAON, EPAFRODYTES.

NERO (*do Faona*).
To mi przeznaczasz ustronie?
Twój dom podmiejski brzydkim jest, Faonie.
FAON.
Możesz w nim jednak odpocząć chwilę.
NERO.
Czyśmy daleko? Znużonym srodze.
FAON.
Kamień naprzeciw drzwi, na konsularnéj drodze
Pokazuje czwartą milę.
NERO.
A ja myślałem, że jesteśmy daléj.
W strachuśmy ciągłym podróżowali. (19)
Ledwieśmy wyszli za bramę miasta,
Burza wciąż wzrasta i wzrasta:
Aż fala wiatru tak wściekła padła,
Że mi urwała szmat prześcieradła,
Którém się z głową zakryłem.... Daléj
Przeszli dwaj pretoryanie: ci mnie powitali...
Tu znowu piorun pośrodku drogi
Huknął mi prawie pod same nogi....
A ta, pamiętasz, postać straszliwa,
Ran i krwi pełna, w konania męce,
Która mnie wzrokiem swoim przeszywa
I wpada na mnie roztworzywszy ręce!
O! jakżem ciężko zmęczony, Faonie!
Daj mi pić; wszystka krew we mnie płonie.
AKTEA (*do Epafrodyta, wskazując na czarę stojącą na stole*).
Weź czarę, przynieś wody z przydrożnego rowu.
(*Epafrodyt bierze czarę i wychodzi*).
NERO.
Która godzina?

AKTEA.

Jutrzenka wschodzi.

NERO.

Gdybyż to człowiek schodząc, wschodził znowu,
Jak dzień, to schodzić byłoby mu słodziéj;
Lecz gwiazda ludzka kiedy raz upadnie
W otchłań, to już się nie poruszy na dnie,
I wieczny ogarnia ją sen!

EPAFRODYTES (*wracając, podaje czarę Aktei*).

Oto jest.

(*Aktea podaje czarę Neronowi; ten chciwie przykłada ją do ust i nagle odrzuca*).

NERO.

Błoto! Wypić nie mogę..,. (*przestanek*).
Macie broń jaką?... dajcie na drogę.

EPAFRODYTES.

Mam sztylet.

NERO.

Pokaż mi.

EPAFRODYTES.

Ten.

FAON.

I ten.

NERO (*wziąwszy oba sztylety*).

Sprobuję (*probuje na szyi*).
Ah! ah! (*składa je na stół*).
Niech ich tam licho
Tych wielmożnych stoików, z ich wielmożną pychą!
A toż to ostre piekielnie narzędzie!...
To jeszcze późniéj .. jakoś to będzie. (*do Faona*)
A ty idź nieco przejść się po mieście,
I skoro spotkasz obywatela,
Udawaj mego nieprzyjaciela,
Zobacz jak rzeczy stoją nareszcie.—
Idź; spraw się zręcznie, a wracaj żywo. (*Faon wychodzi*).

SCENA 2.

NERO, AKTEA, EPAFRODYTES.

NERO.

Akteo, senność czuję straszliwą. (20).

AKTEA.
Jest tutaj łoże, połóż się na nie.
NERO (*idzie do łóżka i patrzy*).
Ależ to chyba dla psa posłanie,
Nie dla człowieka.—Ha! trudna rada!
Potrzeba!... I tém gardzić nie wypada.
AKTEA.
Zaczekaj; płaszcz ci podeślę mój.
(*rozciąga płaszcz na łóżku*).
NERO (*kładąc się na łóżku z wielkim znużeniem*).
Biesiadnika biały strój,
Wpółumarłego okrywa, niestety!..
To doskonały temat dla poety!
Epafrodycie, stań tam na straży
I zważaj ażaż co się nie zdarzy.
(*Epafrodyt wychodzi.—Nero do Aktei*).
A ty mi podaj oba sztylety;
Chcę je pod głową czuć, która opada. (*Aktea spełnia*)
Śpijmy więc... Jak to Horacy powiada?...
(*deklamuje potrząsając głową*).
„Mąż sprawiedliwy, w zasadach stały,
Choćby Zeusowe gromy trzaskały,
Nie dba na gromy;
Nie dba czy tyran przechodząc zblizka,
Groźby mu ciska,
Czy świat się cały zapada w złomy,
On nieruchomy
Patrzy w zwaliska.“—
(*uśmiecha się smutnie, i nieco podnosząc głos*).
Wielki to błazen ten nasz Horacy:
Pisać,—to oni wszyscy junacy.
A pod Filippi, by zmykać lepiéj
Tarczę on rzucił podobno pierwszy.
Nie lubię przytém tych jego wierszy....
Spać wolę--sen mnie pokrzepi. (*usypia*)
AKTEA.
Uśnij, nieszczęsny, bodaj na zawsze. (*przestanek*)
Jam nie myślała by taka siła
Uczucia jeszcze w mém sercu była.—
Żrą mnie boleści, oh! coraz krwawsze!...
Gdy na Augustów on siedział tronie
Oddany zbrodniom, na uciech łonie,

Równo z innymi uciśnionymi
Nienawidziłam go całą siłą;
Lecz dziś nieszczęście z nóg go zwaliło,
Dziś to największy nędzarz na ziemi:
Więc zapominam dawne gorycze,
Sromotnych obelg dziś mu nie liczę,
Serce me pierwszém pała kochaniem,
Nadzieją, która wzrastała na niém,
Sen méj młodości, sen błogi.
O! jakże straszne te bogi,
Co pragną od nas ofiar, ołtarzy!
Czém to uczucie, które w nas żarzy?
Z nich my je przecież mamy, nie z siebie.
Oni je tchnęli, by w swojém niebie,
Na dolę naszą głusi i niemi,
Cieszyć się piekłem serc ludzkich na ziemi!

(zwracając się do łóżka na którém śpi Nero)

Śpi niespokojnie.... i przez sen się żali!....

EPAFRODYTES *(wbiega przelękniony)*.

Cicho! ..

AKTEA.

A co tam?

EPAFRODYTES

Słyszałem w ulicy
Daleki tętęt konnicy.

AKTEA (*podbiega ku drzwiom, nadsłuchując)*.

Prawda.... wzmaga się... przebiegli daléj.—

NERO.

Galba!

AKTEA.

Budzi się...

NERO *(z przerażeniem, zrywając się z łóżka)*.

Galba tu?....

AKTEA.

Dziecię!
Niéma nikogo.

NERO.

Widziałem przecie;
Stał tu przedemną, patrzał tak chytrze....
Mniejsza!... Akteo, zagraj na cytrze,
Jak to bywało za dawnych lat!

A ja zaśpiewam. Takich pieśniarzy
Nie miał, jak żyje, Latyński świat,
Bo w nim nie miała Venus ołtarzy.
Zagraj... zaśpiewam... jesteśmy sami.
Nie! teatr pełen, grzmi oklaskami....
Dajcie mi wieńce, lecz wieńce z róż,
Laur, to roślina za stara już.
Ludu,—ty kochasz swego cesarza?...

AKTEA.

Bredzi.

EPAFRODYTES.

A oko jego przeraża.

NERO.

Co za tłum!... Ja się ruszyć nie mogę.
Duszno... Liktorzy, otwórzcie drogę.
Na bok odemnie, ja nie chcę świadka.
Próżno popioły poruszać w urnie:
Zmarłych nie można zabić powtórnie.
Czego chcesz, cieniu? Tyś moja matka...
Odstąp odemnie... Coś taka dzika?
Ona uśmiecha się, niegodziwa,
I płaszcz cesarski z ramion mych zrywa.
A! przecież znika.
Poco wyłazisz ty, głowo siwa,
Poco te księgi, cieniu Stoika!
Longinie! nie pruj daléj swych żył,
Nie chcę twych willi, zakryj tę ranę.
Co patrzysz na mnie ze wszystkich sił,—
Czy to grób taką czyni przemianę?
Przecież za życia tyś ślepym był!...
Z wieńcem na czole kto stoi w dali?
Krew mu z żył tryska.... Co do mnie masz?
Poznaję: młody śpiewak Farsali!
Co mi tak bryzgasz uśmiechem w twarz?
Myślisz, naprawdę że górę wzięło
Nad moją pieśnią twe arcydzieło,
Które z Wirgilem tworzył duch bratni?
Oj, wy maluczcy, jak źle sądzicie!
Tyś śpiewał w chwili życia ostatniéj, (21)
Prawda... lecz cóżeś utracił? Życie.
A ja i życie tracę i władzę,

Jednak pieśń moję dalej prowadzę.
Więc i poeta i człowiek ze mnie
Wyższy od ciebie. Nie stój daremnie;
Odstąp.—Poeci starzy, spółcześni,
Choćbyście wszyscy tu wystąpili,
Nie zaśpiewacie wy takiéj pieśni
Jaką jam sobie śpiewał w téj chwili.
(*pada na łoże wyczerpany*).

AKTEA (*miłośnie obejmując go w ramiona)*.
Powstań, Neronie, i przyjdź do siebie.

NERO (*nie poznając jéj.*)
Cóż ty się śmiejesz?

AKTEA.
Ja?

NERO.
Że dziwaczę?

AKTEA.
Ja się nie śmieję.

NERO.
Śmiałaś się.

AKTEA.
Ja płaczę.

NERO (*poznając ją*).
Czy już na moim pogrzebie?

EPAFRODYTES.
Faon powraca.

SCENA 7.

NERO, AKTEA, EPAFRODYTES, FAON.

NERO (*biegnąc do Faona*).
Cóż tam nowy dzień mi stwarza,
Czy śmierć, czy życie mnie z ich rąk spotyka?

FAON.
Bodajem nie miał języka!

AKTEA.
I cóż?

FAON.

Rzym przyjął wybór nowego cesarza.

NERO.

A senat?

FAON.

Wrogiem ojczyzny cię mieni.
I przeciw tobie za wszystkie bezprawia
Starożytne prawo wznawia.

NERO.

A według niego jak są bezprawni sądzeni?

AKTEA.

Nie pytaj...

NERO (*do Faona*).

Owszem, powiédz. Czyż mi brak odwagi?

FAON.

Przestępca ma być powieszon nagi
I na śmierć sieczon rózgami.

NERO (*z ruchem dreszczowym*).

Ot, barbarzyńcy! Zawsze ci sami.
Tyle lat z nimi strawiłem daremnie:
Nic nie przejęli odemnie!..
Albo ten Rufus, zdał się poczciwy człeczyna;
Zwałem go dobrym: zdradliwa mina...
I nie nasyci się ta tłuszcza wściekła,
Aż mnie wyprawi do bogów piekła!
O cóż chodziło? Czyż nie mogli dać mi
Prowincyi jakiéj, choć Grecyi: tam przecie
Są teatry, igrzyska, jak w porządnym świecie;
Ja z artystami jestem jak z braćmi.—
A wy, cóżeście tak pogłupieli?
Mówię, że wolę umrzeć, niżeli
Żyć tak nikczemnie... Czy rozumiécie?
Więc stos gotujcie.

AKTEA.

Teraz się poczyna
Twa chluba: umrzyj śmiercią Rzymianina.
Niech czyn zapali się przy twém słowie:
Więc uśmiechnij się dumnie, jak bohatérowie,
I umrzyj.

NERO (*spoglądając na Akteę*).

Umrzyj!.. Łatwa to rada,
Ale jéj przykład nie odpowiada.
Czyż z was, nikczemni, nikt się nie ośmieli
Dodać mi nieco zachęty?...

AKTEA (*szybko biegnie po jeden ze sztyletów*).

Jeżeli
Tego ci trzeba, patrz... (*przebija sobie piersi*)

NERO.

Nieszczęśliwa!...

AKTEA.

O! mój najdroższy,—ja się nie żalę...
Za bramą życia ból nie przebywa.
Żegnaj mych młodych lat ideale.
(*chwieje się i pada przy łożu*).

NERO (*bierze sztylet, potem schyla się nad ciałem Aktei, uważając czy jeszcze okazuje ruch jaki*).

Nie żyje.—To ostatnia jéj dla mnie przysługa.
Dobrze przynajmniéj że śmierć niedługa.
(*jeszcze raz dotyka zwłok i powstaje*).

EPAFRODYTES (*biegnie ode drzwi*).

Nateraz pędzą tu legioniści.

NERO (*nadsławiając ucha*).

Tak jest, słyszę ich cwałujące konie.

FAON.

Toż się zabezpiecz, Neronie!
Niech się Aktei zachęta zjiści.

NERO (*trzęsącą ręką probuje sztyletu na gardle*).

Oh, nigdy!.... Życie..... Pomóż, mój drogi...
Przeklęty senat.... i lud przeklęty!
Jakież to czarne śmierci odmęty!
Nie śmiém.

EPAFRODYTES.

Już z koni zsiedli.

NERO.

O, bogi!....
(*przykłada znów sztylet do gardła i waha się; wtedy Faon chwyta go za rękę razem ze sztyletem i pomaga mu przebić się*).

SCENA OSTATNIA.

Poprzedzający; ICELUS setnik, Legioniści.
(*za sceną słychać szczęk broni*).

ICELUS (*wchodząc do żołnierzy*).
Hej, legioniści! On tu się kryje.
Szukajcie; tu go przeznaczenie wparło.
Co widzę? On sam!

FAON.
Przeszył sobie gardło.

ICELUS (*podchodząc do Nerona*).
To nic: zabrać go, dopóki żyje.

NERO (*strasznym wzrokiem spogląda na setnika, probując powstać*).
Zapóźno: życie do kresu zmierza....
Icelu, toż to wierność żołnierza? (22)

ICELUS.
Na twojéj śmierci wolność korzysta.

NERO (*ostatnim głosem*).
Oh! jakiż we mnie ginie artysta! (*opada i umiera*).

Przypiski.

(1) Ten Menekrates jest osobą historyczną. Był to służalec wielce Neronowi upodobany, któremu Nero podarowywał pałace i dobra, wydarte znakomitym i zasłużonym państwu patrycyuszom.

(2) Ironija. Nero nigdy o sprawach państwa nie myślał.—„Augendi, propagandique imperii nec voluntate ulla neque spe motus unquam." Swetonijusz, 18.

(3) Lubił Nero wszystkie sztuki, a między innemi i ćwiczenia atletyczne. Kommodus stawał także w cyrku przeciw gladiatorom, ale ci wtedy przybierali miecze drewniane; Nero, fantastyk i ulicznik, potykał się biorąc rzecz na seryo.

(4) Wyduszać, choćby torturą i śmiercią pieniądze, a potém trwonić je bezmyślnie, było jego obyczajem. Divitiarum et pecuniae fructum non alium putabat quam profusionem." Swetoniusz, 3o.

(5) Wiersz ten w związku z następującemi, które mówi Menekrates, oznaczają zmianę, jaka co do ustroju państwowego zaszła za cezarów. Dawniéj, za Rzeczypospolitéj, obywatelem rzymskim był tylko ten co się urodził w Rzymie, lub w okolicach, na które rozciągnięte było prawo obywatelstwa rzymskiego: prawo zazdrosne i udzielające się niełatwo. Musiała się jakaś ludność podbita dobrze zasłużyć i dać rękojmię, jeżeli mieszkańców jéj Rzym przypuścił do zaszczytu przymierza (socii), a cóż dopiéro nim ich nazwał *cives*. Rzym republikański drożył się z nadaniem komuś prawa obywatelstwa, ale téż i nie dopuszczał by nieobywatele krew zań przelewali; wojsko rzymskie złożone było z samych obywateli, i raz tylko, po bitwie kannejskiéj, usamowolniono niewolników by wzmocnić szeregi wycięte przez Hannibala. Autor w ustępie powyższym, zwłaszcza w ironicznêm wyrażeniu Menekratesa o Scytach, daje tę insynuacyą, że ten dawny splendor obywatela rzymskiego popadł w śmiecie, bo istotnie urodzony rzymianin tyleż wtedy znaczył co i cudzoziemiec; wszyscy stali się zarówno służalcami, a kto jeszcze poczuwał się w swéj godności, musiał stać się ofiarą: cudzoziemcy nawet, o których mniéj niespokojni byli cezarowie, łatwiéj przychodzili do zaszczytów i łask dworskich.

(6) Historyczne pretensye Nerona.

(7) Wielka i żarliwa była predylekcya Nerona do sztuk pięknych, a mianowicie do teatru. Śpiewał, grał na lutni, malował, rzeźbił, pisał wiersze i dawał przedstawienia sceniczne. Tym sposobem, mieszając się z ludem, mniemał, że lud go naprawdę ubóstwia. „Habuit et pingendi, fingendique maxime non mediocre studium." Swet. 53.

(8) Z niewielu szczegółów jakie nas doszły o Aktei, pokazuje się wszakże, iż ta kobiéta miała niezwykłą władzę nad umysłem Nerona. Autor charakter jéj nazbyt wysoko podnosi, co mu wolno jest jako dramaturgowi. To pewna jednak, że nie należała do żadnéj brudnéj intrygi, a Tacyt podaje nawet, że ona zapobiegła kazirodztwu Nerona z matką Agrypiną. Musiało téż być w jéj sercu jakieś poczciwe uczucie dla cesarskiego kochanka, gdy Swetonijusz wspomina ją w liczbie wyzwolenic, które zwłokom potępionego przez naród władcy oddały ostatnią posługę pogrzebową.

(9) Kometa i głód, w téj epoce historyczne.

(10) Anegdota wspomniana przez Juwenala, w Satyrach.

(11) Historyczne: proszku takiego używali gladiatorowie nakształt pudru dla utrzymywania skóry w stanie suchości przy zapasach.

(12) Wypada nam się przyznać do pewnéj dowolności. Petronijusza oznaczyliśmy charakterem słowiańskim, o czém autor ani myślał, i dla tego włożyliśmy mu w usta tę piosenkę. Nie rozminęliśmy się wszakże z historyą: nieszczęśliwi przodkowie nasi, zarówno z innemi ludnościami, składali haracz poniżenia w obec Rzymu, tak jak późniéj przyczyniali się do jego wielkości (*Uprawa*, pasterz illiryjski, późniejszy cesarz Justynian: jest téż wielkie podobieństwo że i Belizaryusz był sławianinem).

(13) Historyczne.

(14) Jak tu, tak i w kilku innych miejscach, umyślnie wprowadzony został panujący podówczas duch nihilizmu i ateizmu, który po wielu wiekach zadrzemania, dzisiaj znowu toruje sobie drogę między masami, stanowiąc jednę więcéj analogiją tegoczesności z ową epoką rzymskiego cezaryzmu.

(15) Nero znał wprawdzie tego astrologa, ale wybieg, który tu autor mu przypisał, stosuje się do wypadku między Tyberyuszem i jego astrologiem.

(16) Prawo to, ograniczające zbytek uczt, a wydane w czasie psujących się już obyczajów Rzeczypospolitéj, chciał wznowić z całą ścisłością Juliusz Cezar; ale mu się nie udało. Popadło w zapomnienie i poniewierkę.

(17) Sławna trucicielka, w służbie domu cezarowego; ona to miała dostarczyć trucizny Neronowi dla zgładzenia Brytannika.

(18) Większa część myśli zawartych w tym monologu, jest historyczną.

(19) Wszystkie ustępy tego epizodu są historyczne.

(20) Nero miał usposobienie tchórzliwe, i takim też jest tu przedstawiony, co zdaje się być całkiem przeciwne chęci do snu w tak ważnéj chwili. Zarzut taki uprzedzamy słowami Swetonijusza: „Receptus in proximam cellam, decubuit super lectum" (roz. 48).

(21) Lukan, kiedy krew płynęła mu z żył, deklamował spokojnie, póki mu tchu stało, wyjątki ze swego poematu *Pharsalia*.

(22) Ogłoszony za wroga ojczyzny, Nero uciekł z Rzymu, i jak wieść niesie, nie mogąc ujść pogoni, sam miał sobie życie odebrać, to znowu iż pchnięty został włócznią przez jednego ze ścigających, który go poznał. Autor wybornie spożytkował tę niepewność podania i włożył mu w usta wyrazy jakie historya pozostawiła.—„Sero: haec est fides?" miał się odezwać Nero do znajomego sobie żołnierza, który nań się zamierzał wówczas, gdy on już sam sobie życie ukrócił:—miały to być wyrazy ostatnie, i tak je umieścił autor.—Myśmy woleli zakończyć innėm jego słowem, nierównie charakterystyczniejszém. Dla wrażenia dramatycznego autor przyspiesza śmierć Aktei, co i my pozostawiliśmy w przekładzie; uznaliśmy jednak za właściwe usunąć poddane jéj przez autora wyrazy: „to nie boli,"—jako odebrane bohatérce innéj, historycznéj; byłoby więc istném jéj równie jak i historyi pokrzywdzeniem, gdybyśmy, z wiedzą szczegółów, poszli za samowolnością autora.

KRASICKI.

ŻYCIE I DZIEŁA.

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Chwila w której wezwany zapewne przez brata, przez króla pożądany przybywał książę Biskup do Warszawy, po kilku leciech niebytności w niej, ze wszech miar zasługuje, abyśmy ją bliżej poznać dali. Krasicki do niepoznania zmienioną zastawał stolicę, stosunki i ludzi.

Z całego panowania Stanisława Augusta był to moment najgorętszego przesilenia. Umysły do najwyższego stopnia rozżarzone cale się z rzeczywistością nie rachowały, kraj, złudzony wielkiemi nadziejami, jakie zdawało mu się dawać pruskie przymierze, na dwa skrajne dzielił się obozy. Lucchesini gromadkę gorętszych podpędzał jeszcze na drogę najniebezpieczniejszych i najśmielszych kroków, których już rozwaga i rachuba żadna powstrzymać nie mogły.

Krasicki przybywał właśnie (d. 4 Lipca 1789) gdy gorączka stała się upajającą i niemal powszechną: król, zrazu opierający się,

wahający potém, już jéj ulegał; stronnictwo pruskie ze zręcznym jednookim Włochem na czele, szło na oślep, chcąc ratować się reformą radykalną, gwałtowną, z republiki czyniąc monarchją dziedziczną, równając stany, oswobodzając włościan, wyzwalając miasta, tworząc stu tysięczne wojsko, tam gdzie go rzeczywiście było zaledwie kilkanaście tysięcy.

Spodziewane przymierze zaczepne i odporne z Prussami, obiecujące złote góry, wszystkim tym działaniom i nadziejom, miało być tarczą i podporą.

Stolica, pomimo wielkiego postępu jaki uczyniła za panowania Stanisława Augusta, miała jeszcze oryginalną fizyognomią miasta, które się ze średniowiecznych pieluch rozpowijać zaczyna. Stara Warszawa, niewielka, z niepięknym zamkiem, zawierającym wewnątrz najwspanialsze sale i pokoje świeżo wyporządzone przez króla z największą elegancyą i przepychem;—z rynkiem małym, ratuszem starym, gotyckiemi budowami, ciasnemi uliczkami; otoczoną już była niezmiernéj rozległości miastem nowém *in spe*, w którém pałace, kościoły, klasztory, walące się chaty, cegielnie i browary, magazyny i stosy drzewa mięszały się najdziwniéj z sobą. Najwytworniejsze budowy opierały się o najstraszliwsze brudy.

Było to jakby marzenie przyszłości, rysunek rzucony na papiér i niedokończony. Przepych i nędza graniczyły z sobą. Dodajmy do tego ulice, z których zaledwie dziesięć brukowanych było, błota i pyłu pełne wedle pory, niedostatecznie oświetlone tu i owdzie, chodniki zajęte przez budki i kramiki, zapchane mnóstwem śpiewających ubogich, przekupniów, kaleków, ciżby różnorodnéj. Ludność stolicy, zapewne nie licząc w to przypływających i odpływających gości, rachowano na 120.000 (Jezierski).

Przybywających cudzoziemców uderzała ulic fizyognomia malownicza. Najwytworniejsze ekwipaże, konni w staroświeckich strojach, kozacy, hajducy, janczarowie panów, wojsko fantastycznie postrojone, elegancya europejska najświeższa, wprost z Paryża obok delij i czapek jakby z Persyi przyniesionych; w tém wszystkiém życie ogromne, wrzawa straszna, natłok nieprzebyty.

Ślepy lirnik ukraiński grający odwieczną pieśń stepową balonowi Blanchard'a, puszczanemu z Mniszchów ogrodu. Jan Potocki, ubrany po arabsku, a obok Stanisław w paryskim fraku. Toż samo w umysłach było co na plecach: największa rozmaitość wyobrażeń, dobytych z zamkniętéj skrzyni tradycyi i przywiezionych sztafetą z nad Sekwany.

Sejm z całego kraju, z zagranicy ściągał czynnych, ciekawych, przyjaciół i klientów możnych domów, młodzież zabawy chciwa,

kobiéty pragnące się pokazać światu. Domy Radziwiłłów, Potockich, Lubomirskich, Czartoryskich stały otworem.

Na zamku, do koła króla, już znużonego ciężkiém panowaniem, goniącego ostatkami młodości, stała jego rodzina bliższa i dalsza. Na czele jéj wszechmocna pani Krakowska (Branicka) Zamoyska, Tyszkiewiczowie, Mniszchowa i wreszcie pani Jenerałowa Grabowska, pół-królowa.

StanisławAugust, wśród nieustannych ciężkich prób, na jakie był narażony, postradał już był reszty siły i samoistności; władały nim kobiéty, ambasador; teraz zaś poczynał, przeciwko wpływowi pani Krakowskiéj i Prymasa, rządzić Ignacy Potocki, stojący na czele patryotycznego, pruskiego obozu. Codzień krzyżowały się tu dwa prądy, ważyły wpływy dawne i nowe, król potajemnie szedł za jednym, jawnie za drugim, a słabego pana zawsze ostatecznie najsilniejszy chwilowo porywał i ciągnął z sobą.

Stronnictwo będące za utrzymaniem przymierza z Rosyą, do którego stale należał książę Michał Poniatowski Prymas, pani Krakowska, jenerałowa Grabowska, może z winy ambasadora Stackelberga znacznie było osłabło. Prymas, niezaprzeczenie największych zdolności z całéj rodziny, człek poważny, surowy, smutny, jasno-widzący położenie, popularnym nie był.

Wpływu téż nie miał; słowo przez niego wyrzeczone rychléj rozjątrzyło niż nawróciło. Drugi lont króla, książe Ex-Podkomorzy, bez żadnego znaczenia, płochy, lekkomyślny, próżny, zadłużony, rozrzutny, śmieszny, ciężarem był tylko rodzinie. Lubił król synowca kcia Stanisława, z którym poufale poprzyjaźnionym był Krasicki, człowieka szlachetnych dążeń i miłego w towarzystwie, ale politycznie znaczącego mało. Kochankiem dworu, kobiét i miasta był inny synowiec króla książę Józef, młodziuchny, piękny, wsławiony raną świeżo odniesioną, i szalenie lubiący się bawić. Stał on na czele młodzieży, zwanéj *tężyzną*, tak jak starszym hulaszczym panom przodował, nieustraszony, gorącéj krwi, wielkiego dowcipu, niemniejszéj zuchwałości Hetman Branicki.

Wpływ rodziny królewskiéj słabnął właśnie, nadwerężyła go siła wypadków, rwąca ku aliansowi pruskiemu, ku radykalnym reformom w samym organizmie rzeczypospolitéj.

Stronnictwo, które owo pruskie przymierze popierało, widomą swą głową miało Ignacego Potockiego, niegdy ucznia Konarskiego, przeznaczonego do duchownego stanu początkowo, męża zdolności wielkich i charakteru energicznego, ale téż zbytniego zaślepienia, które mu niebezpieczeństwa dostrzedz nie dozwalało.

Po za Ignacym Potockim stał rzeczywisty wódz reformatorów, potężnego umysłu, stworzony do odegrania roli jakiegoś Mirabeau jeżeli nie Dantona, znany już z reformy akademii krakowskiéj, ks. Hugo Kołłątaj. Przy nim się wszystko ogniskowało. Jako narzędzie Potockiego i jego, wielkich zdolności cudzoziemiec, ks. Piatoli pierwsze miejsce zajmował; za nim stał mniéj widoczny ks. Jezierski i kupka pomocników kryjąca się w mroku.

Ignacy Potocki i Kołłątaj wybrali sobie do współdziałania słynnego z prawości i ofiarności, szlachetnego umysłu, cnotliwego, ale zbyt ufającego wielkim wyrazom, Aristidesa polskiego, Stanisł. Małachowskiego. On był Marszałkiem Sejmu i szedł, zawierzywszy im zupełnie, z nimi razem w reformie widząc ocalenie kraju, z nimi ufając Prusom i odrodzeniu przez nie!! Obok niego postawiono, nieświadomego celu i drogi, gorącego temperamentu, zabawom oddanego, księcia Kazim. Sapiehę, słynącego łatwą i świetną wymową. Ten szedł raźno, śmiejąc się, do ostatniéj chwili nie wiedząc dokąd go zaprowadzić miano. Starczyło i jemu słowo brzmiące pięknie, a podniecone uczucie szlachetne. Pod lekkomyślną głową, biło w nim serce zacne.

Koło dyplomatów składało się na ówczas, ze stojącego dawniéj znaczeniem i wpływem na czele, ambasadora par exellence, Stachelberga, który już był ociężał, stał się mniéj czynnym, a otoczenie jego, zwane dwunastu apostołami, bawiło się więcéj niż pracowało. Stachelberg, niedawno jeszcze wszechmogący u dworu, czuł zmienione położenie, podkopane przez Prusy, gniewał się, ale radzić sobie nie umiał.

Sekretarz jego Koenigsfels, jak inni pomocnicy ambasadora którym on wprzód nie dozwalał nic robić bez siebie, teraz na swą rękę nic począć nie mogli.

Angielski poseł Hailes, milczący, dumny, obserwator złośliwy, stał na uboczu, nie mięszając się czynnie do niczego, choć najlepiéj znał położenie.

Bucholtz pruski, już zdawna zasiedziały w Warszawie, żonaty z córką Starosty Hamersztyńskiego Unruha, dyrektora Mennicy, (z którego ambasador zwykł się był dla zabawy, niemiłosiernie wyśmiewać)—Niemiec powolny i ociężały; popieranym być musiał przez dodanych mu z Berlina, Goltza naprzód, potém hrabiego Lucchesini.

Girolamo Lucchesini, Włoch w pruskich usługach, przybył tu z żoną, panią jeszcze młodą, pięknéj postawy, dosyć zalotną.

Najprzewrotniejszy z ludzi, choć o jedném oku, widział więcéj niż ci co ich mieli dwoje, szukał słabości ludzkich, aby je wyzyskać.

Żywy, zabiegły, zręczny, robił z łatwowiernymi co chciał, kłamstwo go nic nie kosztowało, zwrót w przekonaniach nie kłopotał. Pani Lucchesini potrafiła też zjednać sobie przyjaciół wśród młodzieży, między innymi gorącego, dowcipnego, wielkich nadziei posła inflanckiego Niemcewicza, przez którego i wiedzieć mogli Lucchesiniowie co się w Sejmie działo i patryotycznym obozem kierować.

Wspomnieć też należy w liczbie posłów, choć słowem, starego saskiego, zgryźliwego rezydenta, Essena, którego pedogra trzymała przykutym w domu, niecierpiącego Polaków a karmiącego się plotkami, które skrzętnie spisywał. Austryackim był nic nieznaczący De Caché, stojący na uboczu, który gdy raz ks. Czartoryskiego zagadnął o bezczynność stronnictwa austryackiego w Polsce, otrzymał charakterystyczną odpowiedź. Cóż chcesz, jest nas bardzo mało, ja, ty i mój piesek. W istocie Austrya nie starała się nigdy zjednać nikogo i nie miała więcéj nad to, przyjaciół.

Szwed Engeström, młody, przybywający z Wiednia dyplomata, ciałem i duszą był z Ignacym Potockim i młodymi.

Domów otwartych, w których posłowie znajdowali przyjęcie gościnne, stoły nakryte—było mnóstwo.

Na zamku przyjmował król i Marszałek Mniszech tych, których zwano „pieczeniarzami". W Niedzielę obiad bywał wielki u ambasadora, wieczorem przyjmował książę Prymas, gdzie honory domu robiła pani Oborska, w Poniedziałek bywało przyjęcie u króla i marszałka, we Wtorek u Małachowskiego, we Środy u księcia Adama Czartoryskiego, we Czwartki zrazu zapraszał Szczęsny Potocki, poseł bracławski, a po jego odjeździe inni, w Piątki Ignacy Potocki, przyjmowała też wybranych kółko wieczorami, słynna z dowcipu Kasztelanowa kamińska Kossakowska, pełna fantazyi i śmiałości księżna Dessau z domu Gozdzka, ks. marszałkowa Lubomirska i mnóstwo innych domów pomniejszych. U Hetmana Branickiego na wrzawliwe wieczory przy kieliszku, na śniadania przedsejmowe schodzili się jego stronnicy i przyjaciele, a często gospodarowała siostra księżna Wojewodzicowa Mścisławska.

Wspaniale też, po dorobkowiczowsku i bankiersku przyjmowali Tepperowie, zięć jego Szulc, piękną żonę mający pseudo—hrabia Tomatys, u którego przedewszystkiém grano i zgrywano się.

Któż zliczy zresztą wszystkie miejsca narad i zabawy? Sejm więcéj się bawił niż naradzał.

Na wybitnych i jaskrawych postaciach nie zbywało.

Z Ignacym Potockim szli, brat jego Stanisław, uczony dziwak Jan, pełen ognia, dowcipu, wychowanek Czartoryskich, poeta, po-

troszę artysta J. Ursyn Niemcewicz, zacny kolega jego Inflantski Wejssenhof, poseł poznański Zakrzewski, poseł lubelski Czartoryski, Działyński, Suchodolski, słonimski poseł Sołtan i wielu a wielu innych. Jednym z najżwawiéj czynnych był Niemcewicz, wymową, piórem, dowcipem i wpływem.

Przy Branickim i jego republikanach, broniących starej rzeczypospolitéj ze wszystkiemi jéj narościami, stał Rzewuski, dowcipny Benedykt Hulewicz, Moszczeński, dużo mniéj znanych i śmieszny, popędliwy, gardłujący Suchorzewski.

Nieszczęśliwego Suchorzewskiego popychano na pierwszy ogień, gdzie się narazić było potrzeba, bodaj na śmiech lub na krzyki. Nie zaląkł się niczego, a chciał grać rolę ważną, bądź co bądź. Drugim takim oryginałem, był Jezierski, kasztelan Łukowski, który niepomiarkowaną wymową i dziwnym sposobem wyrażania się izbę rozśmieszał.

Benedykt Hulewicz dowcipował. Od początku Sejmu ruch umysłów był nadzwyczajny, nawała pism, broszur, satyr, wierszy, niepoliczona. Pisali wszyscy, czytano ogromnie, a język dawniéj zaniedbany posługiwał jak mógł.

Dowcipny ks. Jezierski pisał na ówczas jeszcze o języku. „My naszego języka używaliśmy właśnie jak w odzieży używają kaftana. Kaftan jest suknią najbliższą ciała, insze odzienie służy dla okazałości i ozdoby, my języka narodowego zażywaliśmy na wewnętrzne potrzeby w życiu społecznem, nigdy go nie pokazując w potrzebach powszechnych towarzystwa, i dla tego kancelarye łacińskie, musztry regimentów niemieckie, mowy na obradach sejmowych na pół łacińskie i polskie, teatra po włosku lub po francusku, a zatém polak po łacinie się sądził, srokatym językiem radził, po niemiecku wojował, po włosku lub francusku się bawił, a dla ojczystego języka nie zostało nic więcéj tylko rozmowa jednego z drugim, i kazanie w kościele.“

Tak już teraz nie było, język powracał do praw swoich; a pism w nim taka się moc ukazywała, że ich, jak piszą współcześni, ani dokupić się, ani przeczytać wszystkich nie było podobna. Tysiące broszur wychodziło pod najdziwaczniejszemi, dla zwrócenia na się uwagi, tytułami: Polak w czui prawdą podszytéj—Cygan cnotliwy gandziarą prawdy nieład chłoszczący. Gandziara prawdy nielitościowego Cygana chłoszcząca. Ksiądz z kropidłem na Cygana z Gandziarą. Fajerka pełna ognia miłości ojczyzny na osuszenie zbyt mokrego kropidła. Postyljon warszawski z trąbką itd.

Wierszy i wierszyków krążyło tysiącami, rozrzucano je w Saskim ogrodzie, w izbie poselskiéj, po fiakrach. W formie zagadek charakterystyka wszystkich osób współczesnych latała po Warszawie. Zagadki te dorabiano, przerabiano, naprawiano i psuto. Były dowcipne, cyniczne i liche. Zebrało się ich kilkaset (1). Niemcewicz tak w nich scharakteryzował Hetmana Ogińskiego:

> Ma wiele cnót,
> Zimny jak lód,
> Z brylantem chodzi,
> Nie pomaga i nie szkodzi.

Zagadka królewska kończyła się słowy:

> Polacy króla nie mieli,
> Walniejszego do kądzieli.

Wśród czynnych piórem, oprócz Trembeckiego, który się czasem potężnym odzywał głosem, był młody Niemcewicz, który zbliżył się do księcia Biskupa i zawiązał z nim bliższe stosunki. Były to dwa charaktery i dwa talenta, które przystać do siebie musiały. Mało znany, a znakomicie obdarzony był pomocnik Kołłątaja, dowcipny ks. Jezierski i późniejszy przyjaciel Biskupa Dmochowski.

Jezierski w swoim słowniczku, niezmiernie dziś rzadkim, ma niekiedy postrzeżenia i powiedzenia nadzwyczaj dowcipne i trafne.

Oto mała próbka.

„Anglik rozgniewawszy się porywa krucicę, Hiszpan puginał, Polak batogiem każe orznąć, Turczyn do noża, a Włoch przysposobi truciznę i otruje. Moskal tnie z góry, Węgrzyn na odlew, Turczyn ku sobie, a Polak na krzyż macha szablą swoją.“

Jezierski, który zmarł w czasie Sejmu, mówił o nim smutnie: „Francya i Polska są dziś najpierwszemi aktorkami, bo pierwsza wyprawiła tragedyą, a druga się do komedyi przygotowała.“

Cały ten obóz zapalczywie idący naprzód, chcący obalić wszystko, nie mógł Krasickiemu, w którego charakterze było umiarkowanie, przypaść do smaku. Przerazić go musiał szczególniéj, właśnie z gwałtownością niesłychaną przeciwko arystokracyi i magnatom występujący w swych przestrogach Staszic. Krasicki, co do reformy w stosunkach z włościanami, dzielił jego przekonania, lecz wyrażał je z właściwą sobie miarą i oględnością.

---

(1) Mamy ich dwieście kilkadziesiąt.

Położenie jego w stolicy, dawne poufałe z królem stosunki, przyjaźń z ks. Stanisławem, zażyłość z panią Krakowską, a razem i z Branickim i ze Szczęsnym i z Ignacym Potockim, czyniły położenie w stolicy wielce trudném i delikatném. Musiał więc trzymać się neutralnie, w pośrodku, nie zrywając z nikim, nie zrażając nikogo, ale téż nie smakując w tym stanie gorączkowym, który przenikliwemu jego umysłowi dobrego końca nie zapowiadał.

Dogorywał naówczas ks. Podkanclerzy Garnysz, i zdaje się że miasto Biskupstw, o których myślał Krasicki, ofiarowano mu Podkanclerstwo, za które podziękował.

Téj podróży owocem są wierszem i prozą napisane—Organy, list datowany z Warszawy d. 1 Grudnia 1789. Chociaż drukowane współcześnie, nie wiele się one rozeszły, i Biskup (co treść tłómaczy) nie mógł się do ich autorstwa przyznawać, chociaż łatwo go w nich poznać, z właściwego mu dowcipu, toku wiersza, a nawet sądu o położeniu i proroctwie przyszłości.

Chcesz wiedzićć co są dzisiaj zgromadzone stany,
To słowem ci odpowiem, że to są organy,
Gdzie każdy klawisz tknięty swą powinność czyni,
Organistą zaś teraz na nich Lucchesini.
Miechy przyszłego szczęścia nadzieją odęte,
Kalkuje duma z zemstą za ręce ujęte.

Obraz sejmu jest skreślony bardzo trafnie, obozy jego i stronnictwa odmalowane wiernie. Szydzi po troszę Biskup z obwołanego impetycznie stutysięcznego wojska i narzuconego mu stroju. O komisyi wojskowéj powiada:

Ja nie widzę lepszości w tym układzie nowym,
Tamten bałwan był z drewna, a ten jest gipsowym.

Aljans pruski i nadzieje na nim pokładane, sądzi Krasicki, pomimo swych stosunków z dworem Berlińskim, surowo. Widać że, znając lepiéj usposobienia i myśli, wcale weń nie wierzy. Rzuca nawet straszliwą przepowiednię zgody powaśnionych, kosztem łatwowiernéj Rzeczypospolitéj. Smutne to, ale pełne znaczenia słowo:

Jak się dzielić nie mają, gdy się dzielim sami?

Organy dozwalają nam poniekąd odgadnąć z jak przykrém rozczarowaniem powrócić musiał do Heilsberga Krasicki. Nie ufał przyszłości, a co do osobistych spraw, wyjechał nakarmiony słodkiemi słowy, obietnicami ogólnemi, zapewnieniami przyjaźni, w którą także nie wiele wierzyć się nauczył.

Nieznany autor bardzo nędznym i bezmyślnym, ale oburzo-

nym wierszem odpowiedział na organy. Ledwie to warte wspomnienia.

Pobyt w Warszawie nie był dłuższy nad trzy tygodnie; w końcu Lipca Biskup już się w Heilsbergu znajdował.

Dnia 10 Sierpnia pisze do brata:

„Wiadomo już co się z Biskupstwem Krakowskiém stało, byle na dobro była rzecz obrócona, zmniejszy to żal duchowieństwa polskiego. To się wygodziło, że ci co nic albo mało co przedtém mieli, wyjdą z innymi w porównanie. Zagrodzi się przeto niepotrzebnym intrygom i każdy będzie siedział u siebie cicho."

Jest to sąd beznamiętny, spokojny i prawdziwą miłością kraju natchniony.

„Ubolewam", mówi dalej, „nad tém przedwiecznćm Urbarium (w Galicyi??) nigdy do skutku ani do zmniejszenia nieprzychodzącém.

„Co w téj mierze najnieznośniejszą rzeczą jest, zapewne nie co innego nad ustawiczną i bojaźń i niepewność jak się rzecz skończy.

„W Prusiech prawda iż razem niezmierny cios padł, ale też na tém się wszystko skończyło, a z czasem i uwagą lubo się cios sam z istoty nie zmniejszył, przyzwyczajenie zwolniło ciężaru, i nie tak się już zdaje przykrym, jako był odrazu.

„Powrót mój (z Warszawy) był bardzo miły, dla czasów pięknych, i dość prędki, gdyż własnemi końmi jadąc, czwartego dnia po południu, dosyć wcześnie stanąłem. Porzuciwszy warszawskie górności, zatrudniam się kapustą, marchwią i grochem, ile że bardzo miło się niemi zatrudniać, gdyż nadzwyczaj i obfite i piękne. Jejmości dziękuję za list osobny, a klnę tego bestyę niemca, pludrasa, szołdrę, takiego owakiego i psiajuchę, który zalał

Holenderskie wanny,
I domek pustelnika i kościół Dyanny..."

Na zimę wybierał się książę do Królewca, gdzie szukał sobie do najęcia pałacu jakiegoś, ale zdaje się że to do skutku nie przyszło.

Wyjątek z listu z Dubna, pana Macieja do pana Wojciecha (XXIV. Dmoch.) zdaje się odnosić do kontraktów r. 1790, o których doniesienia od brata były bardzo smutne.

„Nie dziwię się", pisze Biskup (29 Marca), „iż kontrakty były czcze, i w Ewangelii powiedziano: *nemo dat qui non habet.* Może

też téj sentencyi i nie ma w Ewangelii, gdziekolwiek jednak jest, jest to artykuł wiary, i godzien nim być, zacząwszy od Turek aż do Madagaskaru.

„Pewno się spodziewać trzeba, iż śmierć cesarza ulży ciężarów, ile gdy następca toż samo uczynić i względem innych krajów panowania swego zamyśla. Stało się zaś bardzo dobrze iżeście z pomiędzy siebie Delegatów z przełożeniem krzywd i uciążliwości wysłali.“

Dla wiadomości dołożym z tego listu co Krasicki sam o sobie pisze, iż „po hebrajsku czytać nie umie, a po grecku niedoskonale.“

Zajmowały go stosunki galicyjskie po zgonie Józefa II. i w Kwietniu (18) pisze do brata znowu: „Że nowy monarcha dobrze wyprawionych posłów przyjął, nie dziwię się temu. Niederland grzeczności nauczył, luboć o teraźniejszym zawżdy wieść była, iż nie był tak porywczym i ostrym, jak nieboszczyk brat jego, który miał myśli i dobre, a nie brał się do przyzwoitych sposobów, żeby je do skutku przyprowadzić. Już tedy nieśmiertelne Urbarium nie będzie i listów i rozmów galicyjskich ustawiczną, a bardzo nudną i dla słuchających i dla czytających materyą. Trzeba jednak aby posłowie nie przeskrobywali nadto wielkiemi żądzami, tak jak Prusacy w Królewcu uczynili, względem nowego Monarchy, który, urażony, iż powolności jego na złe użyli, zamiast łask, które im gotów był świadczyć, wyjechał z nieukontentowaniem i obmierził nieroztropnych żądaczów. Tak ja trzymam, iż instrukcye były stosowne do okoliczności krajowych i ściągające się przeto do uszczęśliwienia publicznego, nie zastanawiając się na żadną szczególność (??) słyszałem iż znaleźli się tak głupi Galicyanie, którzy się poselstwu temu sprzeciwiali, niegodni są, aby cząstką byli poćciwych i dobrze czujących obywatelów.

„U nas też tu coś na wojnę zanosi się, w gotowości wojska są i dyspozycye wszystkie takowe, jakie przodkować zwykły zaczęciom żwawym. Tak mniemają iż będzie obóz obserwacyjny nad granicą moskiewską, takiż sam jak myślą czynić od Czech z Morawii. Komendę najwyższą ma mieć książę panujący Brunswicki, dobrze świadom swego rzemiosła. Pod nim ma kawaleryą komenderować Jenerał Kalkreuter, częścią wojska Graf Henckel, letkiemi poczty Jenerał Fawrat, który w Brunsbergu ma garnizon.“

Aż do Października potém nie mamy wiadomości o życiu i pracach Biskupa. Wiemy tylko, iż się zawsze zajmował mocno swoim ogrodem i rodziną swych domowników, Mowińskiego, Karpińskiego, Grudzińskiego, których dzieci żenił, wyposażał, szukał im za-

trudnienia. Żenili się ogrodnicy, kucharze, kamerdynerowie, a za to wszystko dobry pan płacić musiał. Zakładano ananasarnią, sprowadzano drzewka, to była rozrywka jedyna.

„Z gazet wyczytujemy“, donosi w Październiku (17), „iż będzie komendantem wojsk galicyjskich sławny Wurmser, ma być człowiek grzeczny i ze wszech miar szacowny. O cesarzu teraźniejszym (austryackim) dobre są wieści, nadzieja więc dla galicyanów wzrasta dobrego rządu i pomyślnych czasów.“

W życiu Jana Śniadeckiego, podług jego notat i opowiadań, pracowicie ułożoném przez Michała Balińskiego, znajdujemy pod rokiem 1790, wzmiankę o zrobionéj przez sławnego astronoma z Biskupem znajomości, w początkach tego lata. O bytności Biskupa w tym czasie ponowionéj w Warszawie nie wiemy nic, zdaje się nam ona wątpliwą, i rzecz tę należałoby odnieść do ostatniéj podróży w r. 1789. Nie idzie tu jednak tyle o ścisłe oznaczenie chwili, a raczéj o wrażenie, jakie poeta uczynił na niełatwym do zjednania, chłodnym nieco i surowym sędzią ludzi, Śniadeckim:

„Poznał się z Krasickim“, pisze Baliński, „i potrafił sobie zjednać jego życzliwość. Znamienity ów pisarz, stojący wówczas na czele odrodzonéj u nas literatury, sprawił dziwnym powabem swojego dowcipu i towarzyskości, prawdziwy urok na Janie Śniadeckim. Nie mógł on nigdy zapomnieć opowiadając w starości przygody życia swojego, téj chwili kiedy pierwszy raz zobaczył zblizka Krasickiego. Jednego dnia po teatrze w Łazienkach, Śniadecki, który bywał u dworu zawsze, udał się do pałacu na wieczerzę. Same damy prócz króla siedziały przy stole. Krasicki zbliżył się i stanąwszy obok pani Krakowskiéj, z takim dowcipem zaczął rozmawiać (po francusku), że wszystkich zajmując, sam jeden przez długi czas bawił całe zgromadzenie; ani się mogli dosyć nasycić jego miłą rozmową. Sławny ten poeta, był bardzo przystojnym mężczyzną, słodkim i nader ujmującym w towarzystwie. Śniadecki wyszedł zachwycony jego przymiotami i dowcipem i wkrótce bardzo blizką z nim zabrał znajomość.“

Toż samo wrażenie wywierał Biskup na wszystkich. Śniadecki zachował dlań uwielbienie do zgonu i miał za złe późniéj, iż się tak znakomitemu pisarzowi o pomnik nie postarano.

Przypatrzmy się teraz bliżéj nieco, jak na starém zamczysku książąt Biskupów Warmii, życie, prawdziwie po książęcemu urządzone było.

Następca na téj katedrze po Dantyszku, Hozyuszu, Kromerze, kardynale Batorym, wziął po poprzedniku swoim Stanisławie Grabowskim, zamek obszerny, na nowo wyrestaurowany.

Opis rezydencyi, jeśli się nie mylimy, najlepszy jest ten, który Krasicki sam, w liście brata do siostry zostawił (Dmóchowski XXXIX).

> Między dwóma rzekami płynącemi blizko,
> Wznosi się staroświeckie obszerne zamczysko,
> Długim wieków przeciągiem te wspaniałe gmachy,
> Dziwią oczy patrzących wyniosłemi dachy.
> Co niegdyś budowali Goty i Krzyżaki,
> Tu jeszcze tego ślady i ogromne znaki;
> Baszt, wież, ganków i sklepień, ponura wspaniałość,
> Umieszcza z gruntownością dawną okazałość.

Uskarża się jednak Biskup, że więcéj tu piwnic znalazł i śpichlerzów niż pokojów, a izby te, komory, komnaty tak stawione były, że się w nich nie można było lękać, choćby trzęsienia ziemi. Okrywały je sklepienia, obejmowały mury grube tak, że „choć w oknie południe, zawsze wieczór w kącie.“

W wielkich izbach, wzmiankuje, kryte drzwi w podłogach do piwnic prowadzące, a w najgłówniejszéj z nich teraz umieszczoną galeryą obrazów. Obok starego zamczyska był połączony z nim zamek nowy, wygodniejszy i kształtniejszy.

Obie te obszerne budowy ledwie starczyły na pomieszczenie bardzo licznego otoczenia księcia Biskupa. Potrzebował dla serca i dla umysłu towarzystwa, któreby go odżywiało, podbudzało do pracy, po pracy orzeźwiało i zaspakajało mnogie potrzeby ducha i fantazyi. Dziécię niegdyś możnego domu, ze wspomnieniami wyniesionemi z rodzinnych zamków Krasiczyna i Dubiecka, Biskup zmuszonym był niejako żyć na stopie, jaka i jemu i książęcéj stolicy przystawała. Dochody jednego z najbogatszych biskupstw w Polsce, uszczuplone teraz, zaledwie mogły wszystkim potrzebom i zachceniom starczyć.

Heilsberg prawie zawsze pełen był gości, ukochana rodzina, brat Antoni, bratowa, bratanki, bracia młodsi, pokrewni, wychowańcy, jak młody Fredro, otaczali księcia Biskupa; młodzież, któréj dawał edukacyą, i przyszłość starał się zapewnić, starsze panie z dziatkami, oddaloną rodzinę przypominające, krewni potrzebujący protekcyi, na ostatek starzy, zasłużeni domu słudzy, których dzieci i wnuki książę wyposażał, chrzcił, mieścił.

Oprócz nich odwiedzali często starzy domu przyjaciele: jak wojewoda bełzki, hetman Ogiński i inni; przybywali z uszanowaniem

jenerałowie i wyżsi urzędnicy pruscy; ciekawość oglądania biblioteki, ogrodów, zbiorów ściągała damy, tak że stół zawsze na kilkadziesiąt osób zastawiany być musiał.

Ogromne zamczysko, w którém sam książę miał apartamenta zimowe i letnie, długie na ośmdziesiąt kilka kroków galerye dla przechadzki, zimowy ogród, oranżerye i trejbhauzy, mieścił w sobie zawsze kogoś z bliższych, hrabinę Antoniową z liczną jéj rodziną, panią Annę Charczewską z córką Urszulką, dwóch kanoników braci, ks. Sekretarza Kalnassego, bibliotekarza dwu księgozbiorów, polskiego i cudzoziemskiego, na górze i na dole i t. p. Bibliotekarz zawiadował razem bogatym zbiorem rycin i różnych osobliwości do historyi naturalnéj.

Mieściła się tu i sala portretowa Biskupów Warmińskich i galerye sławnych ludzi i jadalnie obszerne i teatr i kaplica domowa i mnogie gabinety, składy, apartamenta pomniejsze.

Zamczysko było tak obszerne, że w czasie konsystencyi wojsk książę mógł dla kasy hr. Schwerina i urzędników znaleść na niém pomieszczenie.

Zamiłowaniu swojemu w sztuce i rzeczach pięknych, mógł książę dogodzić. Było to dlań potrzebą życia. Sprowadzano mnóstwo gazet, ksiąg, rycin, nowości wszelkich, ściągano kopie portretów. Niemal co roku inaczéj przerabiano mieszkania, coraz je wygodniéj i piękniéj urządzając.

Przez długi czas bawił tu malarz Skuraszewski, zdobiąc wykwintnemi arabeskami i malaturami z antyków pokoje, w których zabytki herkulańskie, rysunki Michała Anioła, przypomnienia fresków starożytnych się rozpościerały. Pokój żółty przed kaplicą był w etruskach, pokój przed buduarem w arabeskach.

W sypialnym pokoju nad kominem odmalowana była „Clytie“ w stołowym nadedrzwiami na tle niebieskiém „L'Education de Bacchus d'après le cachet de Michel Ange.“ Tamże znajdowały się cztery obrazy Mirysa, reprezentujące dzieci.

Nawiasem powiedzmy, że w galeryi sławnych ludzi, w bibliotece, po pokojach, więcéj pono było sztychów angielskich w ramach za szkłem, niż obrazów, i że książę ograniczać się musiał wizerunkami przez Śliwickiego malowanemi z rysunków kuzynki, P. Charczewskiéj, przodków rodziny swéj i znakomitości narodowych. Nie wymagał więc wiele i wybrednym bardzo nie był.

Nie spotykamy też tu dużo marmurów, ale głównie gipsowe odlewy, wedle ówczesnego zwyczaju, farbowane na czarno i bronz reprezentujące

Gipsowy był też ów dar, który d. 18 Lutego 1791 roku powracająca z Warszawy pani Zielińska przywiozła od króla polskiego dla księcia. Było to popiersie Jana Kochanowskiego domniemane, jak się później okazało, brata jego „które król księciu Jegomości, jako wskrzesicielowi dzieł poety przysłał przez księdza Siarczyńskiego.“

„Głowa“, pisze jeden ze dworu Biskupa, „jest piękna, fizyognomia bystra (?), poważna, rozumna, włos na głowie kędzierzawy i gęsty. Nos jak u Wechenitza (?) potężny, wąs suty i bródka maleńka. Postawiono go w drugim pokoju księcia na stoliku pod zwierciadłem, a przy nim złożono, z biblioteki przyniesione dzieła Jana z Czarnolasu, które na przywitanie i uczczenie Biskup tam czytał na nowo.“

Zamiłowanie w sztuce, które naówczas było w klasach ukształconych powszechne, bo i król wielce się w dziełach jéj kochał i wszyscy co go otaczali, zbiérali obrazy, gromadzili sztychy, zamiłowanie w sztuce księcia było też wielkie, lecz, jak się zdaje, do zaspokojenia nietrudne; gdy je rysunki pani Charczewskiéj, malatury Skuraszewskiego, miniatury Śliwickiego na pargaminie do tabakierek zadowalały. Śliwicki malował tu księcia Biskupa, Kochanowskiego, Orzelskę, La Marchande d'amours i t. p.

Zbiór rycin był liczny i zapewne piękny, gdy go z zajęciem, przez dni kilka, zbieracz sam i znawca Jenerał Brühl oglądał. Wiemy, że były w nim szkoły malarstwa, dzieło Rembrandta, podróże malownicze, historya naturalna Buffona ilustrowana, dzieła o ogrodach i t. p.

P. Anna Charczewska rysowała dobrze, sztychowała aqua forti ze smakiem, musiała i rylca umiéć używać, bo wiemy, że na portrecie Karpińskiego, który się sztychował u Groella, kilka kresek dodała; była też i ilustratorką dzieł księcia, bo król Stanisław August zabawiał się jéj rysunkami do monachomachii, przy których okazywaniu, odnoszące się do nich miejsca odczytywano.

Znaczna część portretów, z kościołów i klasztorów galicyjskich pozbierana dla Heilsbergskiéj galeryi, była z jéj rysunków malowaną.

Oprócz wyżéj wzmiankowanego popiersia Kochanowskiego, inne podobne zdobiły pokoje, mianowicie pani de Sevigné (jeden z najlepszych) P. Gay i Sterna. Wszystkie naówczas malowano czarno. W ogrodzie też stały liczne posągi: „L'amour jouant, statua zimę reprezentująca i t. p. Sztuka starożytna, któréj wartość właśnie był Winkelman wykazał, wszędzie chrześciańską i religijną zastępowała. Nawet w archiprezbiteryalnym domu Skuraszewski nad

kominem Bachusa wymalował. Kilku w różnych miejscach ich robił.

Malarz ten później, ukończywszy w Heilsbergu pokoje, powędrował do Londynu, dokąd miał listy polecające do Bukatego. Tu jednak niedługo pogościwszy wrócił do Warszawy, i król mu z łaski, nie dając żadnego zajęcia, wyznaczył pensyą miesięczną, dukatów dziesięć.

Z bronzów wiemy tylko o jakichś włoskich Caffieri'ego.

Nie same tylko sztuki plastyczne gościły na Heilsbergskim zamku; przygrywała muzyka wieczorami. Popisywali się soliści często, flotrowersista Grabowiecki, doskonały skrzypek Lolly, basetlista Walirath z Heilsberga rodem, który miał grać pięknie, ale przy graniu brzydkie miny robił. Przejeżdżający muzycy popisywali się także: Winterfeld, Putzmacher i mały Giuseppe, malarz Skuraszewski jako amator grywał z innemi. Muzyka przybywała po obiedzie, wracała wieczorem.

Nad wszystko jednak, nad malarstwo, teatr, muzykę, zajmowały księcia ogrody. Była to jego słabość, fantazya, upodobanie główne, namiętność niemal, dla którój łożył i poświęcał wiele. Możnaby się tego już domyślać z listów o ogrodach, z podstolego, w którym ciągle do nich powraca, z licznych w dziełach napomknień, ale mieć wyobrażenia do jakiego stopnia książę się zajmował swemi ogrodami, drzewami, owocami, różami niepodobna, nie sięgnąwszy do korespondencyi.

Mieniali się ciągle, sprowadzani z zagranicy ogrodnicy cudzoziemcy, wypisywano tysiącami cebule z Holandyi, kupowano drzewa i nasiona. W wielkich oranżeryach i trejbhauzach dojrzewały pomarańcze, z których dla dworu biszof ulubiony robiono, ananasarnia była ogromna. Z tych zakładów szły na stół owoce w porze dla nich niezwyczajnéj, szparagi w Styczniu, śliwki i wiśnie, gdy jeszcze na dworze śnieg leżał.

Kwiatów było tysiącami. Pod oknami apartamentu księcia, jak pisze jeden z przybocznych, mieściła się cała encyklopedya (sic) drzew.

Ogrody w Heilsbergu i angielski fundowany w Smolanach, jak zamek nieustannie przerabiano, ozdabiano, wycinano, przeistaczano coraz nowym gustem. Były w nich obeliski, altany, statuy, kaskady i wodotryski.

W r. 1791, pisze X. Bibliotekarz, szpalery w dawnym ogrodzie, otaczające promenadę angielską, przecięto na górze pod oranżeryą, kilka tylko dużych drzew zostawując, a z atlanki na wzgórzu, prospekt się otworzył na górę na przeciw Ś. Krzyża.

W listach księcia do rodziny wspomnienia są nieustanne o ogrodach, krzewach, kwiatach, któremi się zajmował z pasją i znał się na nich doskonale. Słynął też z gustu i umiejętności w tym względzie, dawał plany na ogrody, troszczył się niemi w Dubiecku i po dobrach familii, zasilając je nasionami i cebulami; odbywał podróże dla zwiedzania sławniejszych w tym rodzaju plantacyj w Oliwie pod Gdańskiem i w Dessau. Śmiało powiedzieć można, iż go z potocznych spraw nic tak żywo nie obchodziło, jak ogrodnictwo; chociaż rozrywał się chętnie każdym życia widokiem i nic mu nie było obojętném, aż do manewrów wojskowych.

Ogrody jednak szły przedewszystkiém, dla nich sprowadzano Romanów i Eckhardów z Berlina, a wykwitłemi hyacyntami cieszył się Biskup i pysznił.

Do rozrywek należało także i polowanie, któremu jeździł się chętnie przypatrywać. Psiarnia, myśliwstwo, konie utrzymywały się liczne, a powodzeniem łowów interesował się książę, równie jak łowieniem ryb, któremu na brzegach stawu Wesgilskiego często asystował.

Nareszcie, choć podrzędną zapewne, niemałą jednak w tém życiu pańskiém i stół grał rolę, nader wykwintny i obfity. Kuchmistrz i kucharzów było kilku, nie licząc cukiernika, do polskich potraw sprowadzał się osobny artysta. Nowalie na stole ukazywały się ciągle. Wiemy o kilku mistrzach gastronomii, Bachu, Albertsie, Müllerze i dla barszczu a zup polskich sprowadzonym z Warszawy domorosłym jakimś.

Zastawa stołu, w dni uroczystsze była pyszna, z taflami zwierciadlanemi, figurami porcelanowemi, piramidami i kwiatami. Poczta przywoziła ostrygi, poczta niosła (1791) Strachino di Milano, nad którém smakosze kanonicy unosili się wielce.

W Styczniu zwykle przychodziły już na stół ogromne półmiski szparagów, szczawiu, grzyby świéże. Pierwsze ostrygi, których tu pochłaniano moc niezmierną, dostawano w Grudniu. Łososie, pstrągi mieniały się codzień z kunsztownie tuszonemi szczupakami.

Con amore opisują dworacy książęcy co jedli na Nowy Rok 1791 „indyki, sarny, zające, dziki, pstrągi, szparagi, bażanty czeskie, gęsi starogrodzkie, kawior. Grochowski kucharz popisał się z wetami i lodami cytrynowemi, owoców było ośm gatunków, a oprócz tego konfitur domowych i marsylskich mnóstwo.

Wina też musiały odpowiadać potrawom; sprowadzał je książę beczkami z Węgier, a oprócz tego, ulubionego naówczas burgunda i już bardzo wchodzące u nas w modę szampańskie. Wieczorami przymawiano się często o biszof na burgundskiém winie i

puncz angielski. Jako trofeum z polowania figuruje raz na stole głowa dzika, olbrzymia, któréj wagę przesadzoną podał w liście ks. Fox, co sam Biskup rektyfikuje. „Już to jednak dobry być musiał dzik“, dopisuje donoszący, „gdy go Bahr z Hawkem niosąc tylko przez podwórze, kilka razy odpoczywać musieli.“

Na zamku dla ciągłych gości i licznego dworu, oprócz codziennych tych uczt, muzyki i innych zabaw, w karnawale teatr grywano (między innemi grano księcia komedyą). Po modnemu: (Krosienka). Bywały i bale, nawet maskowe. Na jednym z nich, oprócz innych maszkar pociesznych, był Szulmajster niemiec, but tańcujący, żyd, którego wybornie reprezentował p. Smetny, panie jakieś (z familii) poprzebiérane za kozaczki, Skuraszewski malarz pomalowany za murzyna, a Śliwicki jako niemiec garbaty.

Zwykłemi wieczorami zabawiano się w „*bella conversazione*“ w rozmaite gry, loteryjkę, Lombra, Medyatora, Maryasza, Wista, Kallabraka, Halbezwelwe, a nawet Faraona. Ale gra tu nigdy nie przechodziła w namiętność, grano na dydki, i tylko dla rozrywki.

Służba naturalnie musiała być liczna, oprócz Michała Mowińskiego, który już stary był, chodzili około pana domu, Karpiński i Grudzyński, pomniejszych wielu.

Życie się tu wiodło bardzo wesoło i można powiedzieć szczęśliwie, gdyby tak znaczny dwór, tak wielkie wydatki, nie sprowadzały ciągłych pieniężnych trosk i zachodów.

Rzadko spotykamy wzmianki o obowiązkach pasterskich i religijnych księcia, chociaż te zaniedbane nie były; objeżdżał diecezyą, wizytował kościoły, bierzmował tysiącami. Mało też w listach wspomnień o zajęciach literackich Biskupa, z których się on niechętnie zwierzał profanom. Otoczony po większéj części cudzoziemcami, lub na pół spolszczonymi ludźmi, jak ks. Kalnassy, Hutyński, Markwart, Fox, książę nie miał właściwie towarzystwa, w któremby o literaturze, zwłaszcza polskiéj, mógł co mówić. Sam więc się nią zajmował, rzadko nawet rodzinie przyznając się do tego nad czém pracował, więcéj tając się niż popisując z dziełami swemi.

W r. 1791 czytano wiele i rozprawiano o nowinach, które dzienniki z Francyi przynosiły. Obchodziły one żywo wszystkich, chwytano je, przepisywano, równie jak Gazetę Narodową, którą Niemcewicz przysyłał. Do biblioteki płynęły ciągle broszury i nowości od Grölla.

Niezmiernie rzadko z listów familijnych dowiedzieć się coś można o zajęciach księcia Biskupa. On sam wspomina, pisząc do

brata o tém tylko co już wyszło z pod prasy, aby sobie z Warszawy sprowadził.

Wyjątkowo ks. bibliotekarz w liście z 31 Paźdz. 1790 pisze o wierszu: „nie pozwalam" co następuje: „Książe Jegomość przeczytał nam z łaski swojéj, wiersze co wczoraj był napisał z okazyi wierszy odebranych z Warszawy. Ściągają się one do sejmu teraźniejszego i tytuł ich jest: „*nie pozwalam*". Nie zastanawia się w nich, ks. JMość, jak to sobie już imaginować można, nad jaką czynnością albo rezolucyą szczególną sejmu, ale rzecz biorąc w zgłąb, idzie prosto do samego początku złego i tam odkrywając jedno źródło po drugiém, z których ono wypływa, mówi za każdem: „Nie pozwalam." Żałuję bardzo że się niemi P. Dobr. przysłużyć nie mogę, bo książę nie chce, żeby się rozeszły, a to dla tego, że są mocne *et que les assertions generales sont susceptibles de toutes sortes d'interpretations, toutafais contraires, meme aux sentiments intimes de l'auteur, sur tout de la part des ceux qui ne sont pas bien instruits* (i że ogólne takie twierdzenia ulegają najrozmaitszym wykładom, zupełnie przeciwnym wewnętrznym przekonaniom autora, zwłaszcza ze strony tych, którzy dobrze informowani nie są.")

Z powodu tego wiersza, przy wieczornéj rozmowie opowiadał ktoś anegdotę, zacytowaną w liście o szlachcicu, którego spojono, namawiając aby do innego przeszedł obozu. Szlachcic padł w ulicy, a gdy przechodzący pies go polizał, zawołał — całuj, nie całuj—nie pozwalam!!

Wiersz „*nie pozwalam*" o ile wiemy, znanym nie jest.

Jak się tam czas dzielił, iż go stawało na wszystko, nawet na takie zmudne prace jak Zbiór Wiadomości i Komentarz do herbarza Niesieckiego, jest dla nas zagadką. Książę na pokojach często do jedenastéj i dłużéj się zabawiał, z rana w kaplicy bywał na mszy, mnodzy potém zawsze nachodzili go przyjezdni, następowały ogrodowe zajęcia, obiad długi, muzyka, gra, wieczerza, nie licząc obfitéj korespondencyi.

Prawda, że chwilki nie tracił książę, ani w domu, ani w podróży, czytając, pisząc, notując ciągle. W powozie miewał zawsze książki, na popasach i noclegach pisał lub dyktował, słowem nie spróżnował ani minuty. A miał też tę niezmierną łatwość pracy, którą daje i talent i wielka w niéj wprawa.

Zamek zawsze prawie był pełen, ściągali się i mnodzy duchowni z diecezyi, zabiegając o odkrywające się wakanse i beneficya, rodziny ich, arystokracya niemiecka, wojskowi, którzy wiedząc że książę dobrze był położony u Dworu w Berlinie przyjmo-

wali go z wielkiemi honorami i honory mu wyrządzali w przyjęciach uroczystych i jeździli się submitować. Obiady, bale. wycieczki częste do Frauenburga, Gutstadtu, Królewca, Oliwy, Smolan i różnych w okolicy probostw, zabierały też wiele czasu.

Heilsberga nikt nie mijał nie wstąpiwszy.

Tu jednak w Heilsbergu najwięcéj się dzieł narodziło. Jest to przywilejem takich natur i temperamentów jak Krasickiego, że starczą na wszystko. Nigdy prawie w listach i dziennikach nie spotyka się wzmianki o złym jakim humorze księcia, wesół jest i swobodny zawsze, nawet gdy mu spodziewane biskupstwo krakowskie z rąk się wyślizga. Uprzejmy nieskończenie dla każdego, pamięta o najmniejszych, obdarza, karmi, poi, rozsyła przysmaczki, myśli o miłych niespodziankach. Żartuje ze swojego wychudłego worka i prosi tylko myśli swobodnéj, aby go nie opuszczała.

Rodzina, słudzy są ciągłéj opieki jego przedmiotem; nie ma tygodnia prawie, żeby któś ze sług nie żenił się, nie chrzcił, nie swatał, nie chorował. Książę, lub jego dobroczynna ręka, jest wszędzie; obecnością swą zaszczyca ich wesela, daje śluby, nawiedza chorych, chrzci dzieci, młodym każe tańcować, a w podróży nie zapomina o tém, ażeby zawsze spragniony dwór miał się czém pokrzepić.

Ta wielka szczodrobliwość księcia, o któréj Bartoszewicz wspomina czasu pierwszego pobytu w Warszawie, cale się nie zmienia, choć intraty się zmniejszyły.

Łatwo już przewidzieć jéj skutki, musiały się zwiększać i rosnąć ciężary kłopotliwe, dla których zbycia się, starano w Warszawie o opactwo lub koadjutoryą nadaremnie. Ale że zawsze świeciły jakieś nadzieje, wierzyciele nie byli natrętni, zmiana trybu życia prawie niepodobną, musiało się to ciągnąć z dnia na dzień i ciągnęło szczęśliwie.

Zdrowie księciu służyło wybornie, rzadko jest wzmianka o fluxyi lub katarze, o jakiémś prawdopodobieństwie pedogry i reumatyzmu. Ratowało Biskupa, iż się ciągle ruszał. Odbywał podróże wielkie, szybko, w różnych roku porach, nie uskarżając się prawie. Jednego dnia w Seeburgu 1532 osób bierzmował, drugiego był na polowaniu, a powróciwszy do Heilsberga, stał nad ogrodnikami. Do korespondencyi rzadko cudzéj pomocy używał, mało się kim wyręczał, a pisał wiele.

W r. 1791 (13 Lutego) „winszuje Biskup pierwszego wnuka bratu. Syn to był Ignacego urodzony z Bielskiéj, młodo zmarły, dziadowskie imię noszący Antoni.

„Niech go Bóg błogosławi.
A w życzeniach to ma być przyzwoitém sądzę,
Niech ma wziętość Krasickich, a Bielskich pieniądze.

„Karnawał u nas huczny, u mnie we Wtorek bal solenny, co czwartek u Jenerała Grafa Schwerina, co niedziela w Gutstadzie w Jeneralnéj kwaterze wojska pod komendą Jenerała Usedom.“

Schwerin dawał obiad *in gratiam* urodzin księcia.

W Lipcu (d. 28) zapraszał braterstwo do siebie na zimę, obiecując im pomieszczenie wygodne.

W zamku samym jest sporządzona szklarnia, a jak Niemcy mówią, Trephauz, długość jego ma 92 stóp, tak będzie wielki, albo i większy może, niż galerya wielka w zamku, gdzie są obrazy. I podczas zimy więc zażywać z wszelką wygodą ogrodu można i jadać przysmaczki.“

Młodego pana Jana ściągał też, aby się cudzoziemskim wojskom przypatrzył.

„Wszystko teraz ku pokojowi zmierza i wojska po większéj części do zwyczajnych legowisk swoich powróciły, a ja przy téj okazyi utraciłem Jenerała Grafa Schwerina i Brühl, który tu jest jeszcze, wkrótce do Bydgoszczy wyjedzie.“

W Sierpniu, chociaż się uskarżał na ból w prawym boku, ruszył oglądać ogrody w Oliwie.

„Po długiém przewłóczeniu, znalazłszy porę wyjechałem do Gdańska i Oliwy, bawiłem tam przez tydzień. Ogród w Oliwie, dawniéj wspaniały, znacznie i rozprzestrzenił i ozdobił ks. Biskup chełmiński. Oglądałem także i okolice Gdańska nierównie jeszcze piękniejsze niż przedtém były. Będąc w Oliwie przypomniałem sobie ów sławny obiad w oktawie Ś. Ignacego, kiedy nas grad i stłuczone okna z sali jadalnéj wypędziły. Celebrował gospodarz oktawę Ś. Ignacego i był ogród dość pięknie illuminowany. Ale co téż to ja za nieuważny! o swoich imieninach piszę, a tu Ś. Róża nadchodzi. Biorę się więc pod boki i odkaślnąwszy, tak powiadam:

Jaśnie Wielmożna hrabino!
Niech ci lata szczęsne płyną,
A do wszelkiéj szczęśliwości,
Niech płyną i Jegomości,
A do szczęśliwości trzeciéj,
Niechaj płyną i dla dzieci!

„Udało mi się. Odpocząwszy więc nieco po tak wielkiéj pracy, odzywam się do WPana, dziękując za przypisanie do listu Jejmościnego i za oznajmienie iżeś się WPan upił w Krakowcu z panem

Potockim i za połajanie, że mnie bok boli. Co do ostatniego tego punktu jużem więcéj o tym boku pisał. Jeżeli tenże i WPana bolał, proszę mi powiedziéć coś z nim uczynił, żeby nie bolał. Moja żółtaczka już to drugi raz była u mnie, gdyż w Rzymie będąc na nią chorowałem, a w ten czas nie miałem zgryzot, i tu, lubo się bez nich nie obeszło, przecież nie były tak gwałtowne, żeby na nie stękać.

„Żeś się WPan z p. Potockim upił i potém chorował, nie musiało być wino dobre, albo téż nie piło się w dobrym humorze, albo téż bardzo się miarę przebrało. Źle ją przebiérać, a zwłaszcza gdyś się WPan od tego odzwyczaił. Ks. Marcin zaś powiedziałby, że od tak pięknego nałogu odzwyczajać się szkoda, ale téż trzeba mieć żelazną naturę tego prałata, który im więcéj wypije do poduszki, tém raźniejszy nazajutrz."

W Grudniu (1791) „Winszuję powrotu z polowania, chociaż ja nie polowałem, jednakowo dziki zjadam, bo mam dobrych strzelców. Wyjechałbym i sam, ale czasy są bardzo złe i droga zupełnie zepsuta.

„Cieszę się z dobrego zdrowia WPaństwa, że mniszki dokuczają to niewielka słabość, i mnie niekiedy mój bok naprzykrza się, ale jużem się do tego przyzwyczaił, nie wiele mnie to obchodzi. Radzę wód zażywać, może w przyszłém lecie obydwa razem wody jakie nawiedzimy, uda się WPan w podróż zagranicę, czyli to do Czech czyli do Spa lub Pirmontu, a powrócilibyśmy po téj objazdce do Dubiecka. Ale jest jeszcze na to czasu dosyć i będziemy te planty układać pospołu w Heilsbergu, kiedy się państwo do niego zbierzecie; bo ja jeszcze wątpię, żeby się chciało delicye domowe porzucać.

„W zimie zła droga, na wiosnę roboty ogrodowe i polne, w lecie żniwo, w jesieni polowanie.

„Zgoła w każdéj porze znajdzie się pretext, żeby z domu nie ruszyć.

„Czytałem list pisany do Tydego, bardzo by się dobrze stało, żeby Hohenzollern dowiódł do skutku to co przyobiecał. Jak tylko od niego będę miał wiadomość, iż mu się udało, zaraz WPana ostrzegę, i życzyłbym naówczas jak najśpieszniéj tu przyjeżdżać, gdyż skoroby tylko dług WPana był przez króla zapewniony, zarazby się znalazły piéniądze na całą sumę ryczałtem, którebym ja sam dał z kapitałów kościelnych, których mam dyspozycyą do lokacyi, przeszło na czterykroć sto tysięcy talarów.

„Spokojność u nas zupełna, ale wojska nie rozpuszczają, bo na nie wystarczy. Król nie tylko nic nie winien, ale ma miliony

w gotowiźnie. Bodaj to po Fryderyku Wielkim nastawać, ale takich Fenixów (!) nierychło świat ujrzy.“

O wypadkach sejmowych nie ma najmniejszéj w listach wzmianki, tu jednak przypada ów Hymn na rocznicę, d. 3 Maja napisany, na żądanie króla, który w dziełach Krasickiego się mieści.

Mało w ogóle zajmowała go polityka; z pierwszych miesięcy r. 1792 listów braknie prawie, w Lutym śpiesznie powołał brata dla interesu, o którym wzmianka była w liście poprzedzającym. „Co się tyczy podróży do wód“, dodaje, „ja ją odprawię na końcu Czerwca, bo to jest pora do wyjazdu.“ Bratu, gdy nie widział potrzeby dla zdrowia, jechać nie życzył.

Prawdopodobnie podróż do Karlsbadu odbyć musiał i do niéj się odnosi znany wiersz Węgierskiego „na studnią Neubrun,“ gdzie pił wody ks. Krasicki B. W.

> Ten co kastalskie zdroje czerpał gdy był młody,
> Czerpał dziś z tego źródła Karlsbadzkie wody.
> O wody! bądźcie mu tak jak tamte skuteczne,
> Dajcie mu życie długie, bo z tamtych ma wieczne.

W zgodnym chórze powszechnych dla Krasickiego uwielbień, znajdujemy wszystkich owego czasu poetów, pisarzy, statystów, cały, w najrozleglejszém znaczeniu wyrazu, ogół. Nie ma prawie nieprzyjaciół, niechętnych w żadnym z obozów wielu, na które kraj się dzielił. Wyjątkiem jest odpowiedź na Organy, z któréjby nieledwie wnosić można, że autor jéj nie wiedział z kim miał do czynienia. Do tego tak powszechnego uznania, oprócz niezaprzeczonych zasług pisarza, przyczynia się wielce i to, że się trzymał zawsze zdala od zawikłań politycznych, od stronnictw, od namiętnych porywów i stał pod tym względem na neutralnym gruncie.

Możnaby to wziąć za rodzaj oziębłości i zobojętnienia, gdyby poufne listy nie przekonywały jak mocno czuł nieszczęścia krajowe, na które nie widział ratunku.

We Wrześniu, pocieszając brata, pisze w liście (d. 6 Września) „Chwała Bogu u nas tu i wesoło i zdrowo i już suknie rozpuszczać muszę, a z doktorem tylko cośmy się wczoraj nie upili.“

Ku końcowi 1792 roku Biskup znajdował się w Galicyi, odwiedził swój rodzinny Dubieck i czas jakiś bawił we Lwowie.

Coś tu się składało dla pana Jana (syna Antoniego) o czém (d. 4 Grudnia) donosi książę w sposób humorystyczny.

„Byłem wczoraj u księżnéj Kalikstowéj (Barbary z Lubomirskich Ponińskiéj) na jéj imieniny, solennie przyjmowany, pieszczo-

ny, wielbiony i t. d. Sama zaczęła o córce, ja w koperczaki, o szacunku Pana Jana, ja w uśmiechy—o szacunku osoby mojéj książęcéj—ja w powagi; o nieprzeciwieniu się mojém—ja w ukłony; o życzeniu aby to jak najprędzéj doszło—ja w pokory; o błogosławieństwie mojém—ja klap plackiem! A źle??“.

Styczeń 1793 roku spędził jeszcze Biskup między Dubieckiem a Lwowem; w Lutym już był w swym Heilsbergu, wśród swoich kwiatów i dworu. „Ja“, pisze d. 23 Lutego, „w moim zimowym apartamencie czas zimowy trawię, a mam się gdzie przechodzić, gdy wciąż ośmdziesiąt sześć kroków uczynić mogę. —

„W przyszły Czwartek sprawię Czomber i cały Heilsberg tańcować będzie.

„Ogródek mój zimowy bardzo się pięknie popisuje, już śliwki niezadługo rumienić się i dojrzewać będą. Zwierzyny radbym udzielił, bo sarn i dzików bardzo wiele mam, a kto z nas lepszy myśliwy?“.

Z tegoż czasu jest list dłuższy bez daty, ale późniejszy od poprzedzającego, w którym o niedoszłym interesie z Hohenzollernem i o familijnych sprawach, sporo.

„Czerniechowski, oczywisty świadek, uwiadomił mnie o ogromnéj cyrkumferencyi WP., winszuję, ale widzę nie dogonię, a choćbym mógł nie chcę *atenta calamitate temporum*, bo by na suknie zbyt wielki był wydatek.“

Interes niedoszły innych nie wzbudza w Biskupie utyskiwań nad tych kilka wyrazów:

„Czy to dla mnie zarobek czy strata, ja sam nie wiém, ale kiedy się stało, ja mówię jak mój stary Mowiński—*Dobrze jest*.

„W przechwalonéj Galicyi deszcz, śnieg, wiatr, zimno, a u nas od czterech niedziel pięknie, chędogo, zielono, słońce świeci jakby je kto najął, synogarlica jęczy a gołąbek grucha, a skowronki aż ochrypły.

„Pani Charczewska pojechała do Królewca tańcować i używać dobrych czasów. Ma dwie niedziele zabawić i wiele sprawunków czynić, osobliwie kupować futra, bo i przednie i bardzo tanie, a odbytu na nie niewiele. Są téż Damy Emigrantki, ciekawa była je poznać. Tak się tu one wloką, jak dzikie gęsi. Wszystka ta mnogość do Moskwy się ciśnie, gdzie mają w udzielonym sobie kraju osiadać.

„Powiadają u nas i gazety głoszą, iż macie być bardzo hojni i grzeczni w dobrowolnych dla dworu składkach, każdy podobno i w dwójnasób dał, byleby się pożądanego pokoju dokupił, ale długo zdaje się czekać nim łby zapalone ostygną, a tymczasem raz

w raz nowe ciężary znosić trzeba. U nas tu jeszcze o tém nic nie słychać, ale też Imperium wojsko nasze opłacać musi, bo macie waćpanowie wiedzieć, że my się bijemy dobrze, ale nie chcemy się bić *gratis*. Piękna rzecz sława, ale na ten wexel nikt pieniędzy nie da. Odwołuję się w téj mierze do JM. Pana Arędarza WPana.

„I ja radbym był widzieć w moim domu młodych Krasickich, ale oni rozumieją, że Warmia o cztery mile za Kamczatką i że Prusacy ludzi jedzą.

„Ja, około Ś. Jana przejadę się po kraju, będę może w Berlinie i w Hamburgu, a powrócę na Drezno, a jak się tak rozmacham, kto wié czy się aż w Rzymie nie oprę. Proszę do Wiednia, zabiorę z sobą.

„Sed debes mixtaces deponere et accipere perukam et sztyblos niemieckos."

„D. 29 Sierpnia 1793—*Tandem* w Heilsbergu. Od Wiednia samego byłem leniwy, bom już o domu zaczął myśléć, stanąwszy nimem się wyspał, nimem się wyciągnął, nimem się rozpatrzył, kilku dni potrzeba było.

„Właśnie dnia wczorajszego przyjechał Czerniechowski, dobrze byłby zrobił, gdyby był z sobą wziął sukę strzelca, która się w Dubiecku została i która mnie tu potrzebna do pola. Bardzo proszę przysłać przez pierwszą okazyą.

„Ja z łaski Bożéj zdrów jestem, droga mi dobrze służyła, a Heilsberg zastałem i grzeczny i piękny. W niebytności mojéj wiele dobrych rzeczy narobiło się."

W tym czasie rozpoczął Krasicki obszerną pracę swą, o rymotwórstwie i rymotwórcach, co poświadcza dopisek do listu pani Charczewskiéj „(D. 3 Października 1793 r.)

„Książę się ślicznie bawi, pisze wiele, dzieło bardzo *zabawne* (?) rozpoczął, życia poetów sławnych wszystkich krajów; przytém próby ich dzieł najprzedziwniéj, najdokładniéj wierszami tłómaczone. Nie będzie człowieka cokolwiek uczonego, coby tego dzieła nie kupił."

Sam Biskup, jak się zdaje, do tego dzieła wielką przywiązywał wagę. Nie jest to rzeczą bezprzykładną, że autor ceniąc czy umysłowy trud, czy czas jaki go dzieło kosztowało, wreszcie może i odniesione nad sobą w tworzeniu zwycięstwo, ceni te z pism swoich najwyżéj, które rzeczywiście najmniéj mają wartości.

Zdaje się, że tak i Krasicki przeceniał do zbytku obszerny zbiór, któremu dał tytuł o Rymotwórstwie i rymotwórcach.

Już samo przyjęte tu nazwanie poezyi rymotwórstwem, niewłaściwością uderza. Wiadomości o poetach poprzedza niby teorya

sztuki, ogólne prawidła poezyi, za niemi idzie wyliczenie, na narodowości podzielone i przy znaczniejszéj części poetów wyjątki z pism ich w przekładach własnych autora, Dmochowskiego, Trembeckiego i kilku innych.

Wszystko to razem wiele pracy kosztować musiało, w tych latach późniejszych było rozrywką dla niemogącego spocząć Biskupa, ale wartości wielkiéj zbiór nie ma.

Prawidła i określenia rodzajów poezyi są nader ogólnikowe i nie sięgają głęboko w naturę twórczości poetycznéj, po większéj części formą się ograniczają, powierzchownie ujętą. Poezya dla Krasickiego, jak dla innych prawodawców z téj epoki, nie była płodem koniecznym czasu i kraju, ale owocem pewnego usposobienia i ukształcenia, przychodzącym sporadycznie, zjawiającym się tu i owdzie, bez ścisłego związku z epoką, ziemią i powietrzem, które go zrodziły. Ztąd téż niepewne a niejasne określenie rodzajów, a pomięszanie z sobą tak różnorodnych produkcyj jak Ilias Homera z Voltairowską Henriadą.

Część ta teoretyczna nie ma już dziś wartości żadnéj, a świadczy o ubóstwie pojęć czasu, czasu, który gdy sam tworzył co z jego natury płynęło miał pewną siłę sobie właściwą, gdy tłómaczyć chciał choćby swą własną twórczość, okrutnie bałamucił. Gdy szedł za natchnieniem i Krasicki w Bajce i Satyrze tworzył rzeczy doskonałe, gdy na wzór i pod strażą źle pojętych prawideł silił się na Wojnę Chocimską, dawał dowód niemocy.

Po wstępie mdłym idą rymotwórcy greccy, króciuchno wspomnieni, a głównych z nich próby poezyi.

Nie można mieć za złe Krasickiemu, że Hymn do Apollina przyznaje Homerowi, gdyż współczesna krytyka jeszcze mu go nie odjęła.

Tłómaczenia własne Biskupa wszystkie noszą na sobie cechę raczéj tłómacza niż oryginału, podobne są tonem, językiem, barwą. Wiersz gładki i zręczny, ścisłość nie wielka. Za grekami idą łacinnicy, w przekładach Dmochowskiego, Trembeckiego, Choinowskiego, Molskiego, Wiśniewskiego i t. p. Poeci łacińscy aż do Sydonyusza Apollinarisa i Prudencyusza doprowadzeni.

Za tymi następują polscy, dział to ciekawy, bo do pewnego stopnia daje miarę erudycyi Krasickiego w tym przedmiocie, która na swój czas była wcale nie zwyczajną. Począwszy od Bogarodzicy ale po łacinie Sarbiewskiego, idą Krzycki, Dantyszek, poprzednik Krasickiego na katedrze Warmińskiéj (którego list z rękopismów w Heilsbergu przywodzi); Janicki, Klonowicz, Samborczyk, Treter, Rej (wypisany tu rodzaj satyry jego na marnotrawcę i ską-

pca; wybór dobry), Kochanowski Jan, Piotr, Jędrzéj i Mikołaj, Szymonowicz, Sarbiewski, Otwinowski, Kochowski, Twardowski (oba krótko), Ustrzycki, Grochowski, Bardziński, Potocki (napomknięty), Morsztynowie, Lubomirski Stanisław, Zimowicz, Gawiński, Chrościński (ceniony przez Krasickiego), Zawadzki, Jabłonowski, Załuski, Konarski (wiersz łaciński), Poniński, Leśniowski, Drużbacka, Skop, Rzewuski, Minasowicz, Korotyński i Naruszewicz.

Dla czego obok niego nie znalazł się Trembecki, trudno rozwiązać. Jest to jednak skazówka oceny współczesnéj. Łacińsko-polska poezya wielce podniesiona, o wielu poetów umieszczonych i opuszczonych, upominaćby się można. Sądy są nader zwięzłe i niewiele mówiące, niekiedy brak ich całkiem.

Za Polakami idą Włosi, którym Dantes (sic) przoduje, wyliczeni aż do bardzo poślednich, Francuzi, Niemcy (gdzie Fryderykowi dano miejsce, choć tylko po francusku pisał), Anglicy i Hiszpanie, poeci wschodni i Chińczycy nawet.

Rzecz to poważna a traktowana lekko, swojego czasu nawet nie miała wielkiego rozgłosu i nie przyniosła pożytku. Możnaby się w niéj domyślać natchnienia, tak jak widać współpracownictwo Dmochowskiego. Zawarto tu jego tłómaczenia, czuć duch i manierę jego.

Zdaje się, że w tym samym czasie i latach następnych, tłómaczył Krasicki wiele. Na czele tych przekładów stoi Ossjan, w którego autentyczność zupełnie wierzył i ten mu wielce do serca przypadał. Mglistość poety, ton jego smętny, patetyczny, deklamacyjny, podobały się wielce Krasickiemu, który go „z pośpiechem“ (powiada Dmochowski) przełożył, ale nie bardzo wiernie. Nad tą pracą, równie jak nad innemi tłómaczeniami i przerabianiami, nie widzimy potrzeby rozpisywać się.

Były to rozrywki, gdy już czas i okoliczności do Bajek i Satyr nie dostarczały treści, a smutek okrążający kazał szukać w pracy ulżenia. Tłómaczenie Plutarcha, dokonane z przekładu łacińskiego, bo sam Krasicki do niedostatecznéj znajomości języka greckiego się przyznaje, nie ubiega się nawet o przelanie form oryginału. Czyta się ono dobrze równie jak Lucjan. Podziwiać potrzeba pracowitość człowieka nieznużonego, który ciągle czémś zajmować się musiał, może aby o czasach obecnych módz zapomnieć.

W końcu tego roku, w liście do brata (d. 18 Grudnia 1793): „Zapewne pan J. będzie w Łancucie (u księżnéj Barbary Lubomirskiéj Marszałkowéj). Proszę i bardzo proszę, żebyś sam WPan pojechał i mojém imieniem nawiedził a pozdrowił księżnę i powiedział jéj, że to musi być jakiś czarnoksiężnik, który nie pozwala nam się

widzieć i że ja wsiądę na hypogryfa albo na końcu w Ballon, żebym koniecznie tego dokazał, iżbym się z nią mógł widzieć. Oglądaj WPan ciekawie wszystkie piękności Łańcuta i o wszystkiém relacyą uczyń. Jak będziesz przysmaki jadł i nowalie, jednę zjedz za siebie drugą za mnie, toż samo wypijaj, a opowiadaj jak ja zazdroszczę i żałuję, że tego wypełnić nie mogę.

„Ja z łaski Pana Boga zdrów, wesół i czerstwy, reumatyzmy nie równie mniejsze a bólów w boku już nie słychać.“

Z listu pani Charczewskiéj dowiadujemy się, że (Czerwiec) gazety polskie w Prusiech, w r. 1794 były zakazane i listy nawet nie dochodziły; wiadomości więc z Warszawy tak jak nie miano w Heilsbergu. Książę się dla zdrowia do wód wybiérał. „Zdrów jestem a jadę (pisze 1794. 10 Czerwca), bo mi podróż zabawna i zdrowa, a że reumatyzmom pomocna, które mam honor mieć raz w raz, od lat podobno pięćdziesięciu, więc może gdzie będę brał kąpiele. Gdyby można było w Bachurcu, ale cóż kiedy jesteście za światem.

„Wyjeżdżam za tydzień, 16 Iunii. Wprzódy d. 13. (Ś. Antoni) wypijemy za zdrowie pańskie kielich wielki duszkiem, do ostatniéj kropli—wytrząść ją na dłoń i chłysnę.

„Może będę zimował w Berlinie, może w Królewcu, proszę do mnie pisać do Heilsberga.

„W mojéj podróży Hamburg odwiedzę, gdzie stolica kwiatów, drzew. Co ja ztamtąd przywiozę! Co to ja zasadzę! Co to ja będę mógł dać! Co to ja będę miał pokazywać! Co to ja będę szczepił! Co to ja będę sadził! Co to ja będę—Rybejko! straszna rzecz.“

Nie sprawdziło się co pisze, że miał wyruszyć w Czerwcu, w Lipcu jeszcze przyjmował u siebie owego excentrycznego autora Rękopismu znalezionego w Saragossie, Jana Potockiego, a wyjechać miał dopiéro d. 10 Sierpnia do Karlsbadu.

W liście, w którym o tém donosi z Berlina d. 10 Lipca, wyrywa mu się mimowoli wyraz boleści i smutku, natychmiast przytłumiony zwykłą, jakby obowiązkową wesołością.

„Co się téż to na świecie dzieje!

„Daj Boże ażeby się złe skończyło, a jeżeli zupełnie nie może niechże przynajmniéj mniéj będzie złego niż jest. Co daj Boże, Amen. A my jednakże będziemy weseli, na złość temu wszystkiemu co się dziać będzie.“

We Wrześniu z Berlina donosi: (1794 1 Wrześn.) „W miejscu kwiatów, drzew, gustu odpisuję, powróciwszy z Werlitz, najpiękniejszego ogrodu Niemiec, a może przewyższającego wszystkie angielskie. Przeciąg jego więcéj jak cztery mile, zgoła kraj cały w naj-

przedziwniejszéj ozdobie, nad rzeką Elbą. Gospodarz mój ulubiony przyjaciel ks. Anhalt-Dessau, przez ośm dni dawał mi przepyszne festyny i widowiska. Ah! JW. Hrabio!

„Co to tam za polowanie! Pędziłem dwakroć jelenie. Psów angielskich co nie miara. A-ja-ja A-ja-ja Alali-a-la-li! A tu Waldhorny, a one trąby, a one klarynety, a strzelców, pikierów, myśliwców bez końca, a wszystko z galonami. A dopieroż konie—au! au! au (zmazany wiersz).

„Rybejko, straszna rzecz, czy kaci nadali tego Niemca. Powiadam panu mości panie, że to taka rzecz, przysięgam panu Bogu, że już niepodobna!————„Jam zdrów z łaski Boga, ubolewam nad słabością umysłu brata, ale kto ma honor mieć pedogrę, nie powinien się skarżyć na jéj nawiedziny. Wszędzie biéda i ucisk.

Cóż czynić kiedy się Los dla nas wspaczy
I smutną grozi koleją,
Czyli się srogiéj poddać rozpaczy,
Czyli się wzmagać nadzieją?
Płynący w fali, kiedy maszt pryśnie,
Widzi iż łódka ma zginąć,
Niechże pogody promyk zabłyśnie,
Sili się brzegów dopłynąć.
Straszy zdaleka uprawne role,
Wzmagająca się ulewa.
Idzie starowny oracz na pole,
I co uprawił, zasiewa.
Nie wie czy zbierze na co pracuje,
Nie wie czy zyska pogodę,
Jednakże słodycz nadziei czuje,
I wróży sobie nagrodę."

Znane są następstwa jakie za sobą rok 1794 pociągnął, zmieniło się położenie, kraje rzeczypospolitéj w których leżało Arcybiskupstwo gnieźnieńskie miały przejść pod panowanie pruskie. Niegdyś Prymasowska stolica opróżnioną właśnie była. Dziwny skład okoliczności dawał ją teraz niemal w ręce Biskupowi Warmińskiemu, ale w jakże smutnych dniach żałoby! Stosunki z Berlinem, położenie u dworu, znany charakter łagodny Biskupa, ułatwiały nominacyą na to niegdyś najwyższe dostojeństwo polskiego kościoła.

Widzimy go w początku roku 1795 w Berlinie, gdzie zapewne powołanym był z powodu arcybiskupstwa. Dnia 15 Lutego 1795 r. w liście do brata nie ma jeszcze wspomnienia o nominacyi, która musiała nastąpić dnia 16 Lutego. Krasicki pisze pod tą datą do p. Antoniego.

„Ja tu (Berlin) siedzę spokojnie i z daleka się, *po mojemu*, na rzeczy patrzę, coraz powtarzając z Kochanowskim:

Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję.

„Niemasz nic innego do czynienia w tych czasach niespokojnych, gdzie tylko tego żądać należy, ażeby przecie odpocząć i być dla siebie.

„Słodką się nadzieją cieszę i uprzedzam przyszłe użycie, które przecież kiedykolwiek nastąpić musi. Wszyscy powtarzać powinniśmy kościelną modlitwę: Da pacem Domine in diebus nostris. Większa część tych dni w ustawicznych odgłosach zamięszania przeszła, niechże przynajmniéj reszta, spokojność przyniesie. Używajcie jéj, tego i sobie i swoim życzę."

We dwa dni po tym liście, w sposób oryginalny uwiadamia brata (D. 17 Luty).—„Zgadnij WP. co jest za przyczyna jeszcze insza pisania mojego, oto ta, iż mi potrzeba węgierskiego wina.

„Proszę bardzo takiego, któreby było stołowe, białe brzoskwinowate, choćby miała beczka kosztować 25 albo 30 czerw. złł. zamówić dla mnie beczek sześć. I antałków choćby jeszcze lepszego ze dwa albo ze trzy.

„Oprócz tego zaś starego, wytrawionego, drjakwią pachnącego, choćby i sto czerwonych złotych kosztowało, beczkę lub dwa antały. Konieczna tego potrzeba. A to dla czego? Oto dla tego, iż prosi o to *Książę Nominat Arcybiskup Gnieźnieński*, z serca kochający brat."

Otrzymawszy bullę papiezką, wyruszył Arcybiskup najprzód do Łowicza, gdzie stanął d. 11 Sierpnia. Gazeta Warszawska tak o tém donosi: „JO. Książe JM. Krasicki Arc. G. bytnością swoją miasto Łowicz, stolicę całego księstwa, w dniu dzisiejszym udarować raczył. Jak upragnione były chęci obywatelów miasta tego w oczekiwaniu przybycia kcia pana swego, tak głos radości odezwał się w ich sercach, skoro jego ujrzeli osobę." Tym stylem donosi, iż magistrat powitał przybywającego mową p. Urbańskiego Radzcy; i szumnym panegirykiem szczęśliwą przyszłość dla miasta i archidiecezyi zwiastuje.

W Październiku, jeździł się już rozglądać w Skierniewicach, zkąd miał ruszyć do Gniezna i tam czekać na brata. Z listów wi-

dać niezmierne zajęcie, pośpiech i zaprzątnienie. W Gnieźnie znalazł go w istocie, pilno powołany brat Antoni, i pisząc ztąd do żony, cieszy się przyjęciem, jakiego doznał wszędzie Arcybiskup.

„Książę nasz dosyć zdrów i bardzo czynny, kraj go cały adoruje, kapituła, sławna wiekami z zuchwałości, bo z panów samych złożona, nie tylko że księcia kocha, ale stara się uprzedzać jego rozkazy i oślep idzie na jego zawołanie. Dziwić się prawdziwie należy jak książę umié ich do siebie przywiązać i najpiękniejszemi przykładami zachowuje ich w obowiązkach powołania swego.“

Z Gniezna, wyruszył Nominat do Poznania, na dni kilka, zkąd udał się do Berlina, gdzie d. 24 Listopada po południu przybył. „Z nowin tutejszych,“ pisze, „niezawodnie potwierdzam panu iż podług ukończonych układów, król JMość Pruski odbiera Warszawę. Więc ja tam wyjeżdżam, do mego przepysznego pałacu, ale nie zaraz, bo zimno, a katar i reumatyzm takiż sam w pozłacanych pokojach, jako i w karczmie.

Kiedy się nie wie kiedy jak i jako boli,
Lepiéj sobie spoczywać zletka i powoli.

„Powoli więc i zletka do Warszawskich świętéj pamięci wspaniałości wybierać się przyjdzie, gdzie da Bóg gdy się osiędzie, lepsza ozdoba nad pozłoty i marmoryzowane mozaiki będzie JWPan Hrabia mój wielce miłościwy pan i brat, a co większa rodzony.“

(d. 2 Grudnia 1795 Berlin) „Skarżyłeś się WPan, że ja nie pisuję często (co, za pozwoleniem WPana, była nieprawda), więc ten list umyślnie piszę, w cztery dni po pierwszym napisanym i pytam się go jak się podróż odprawiła. Wiele razy upiliście się z Czechowskim? w jakim stanie Janowiec był znaleziony? Kiedy się przybyło do Dubiecka? Jak tam był WPan przyjęty? Czy pili za zdrowie kcia JMości? Czy moje taranty, wino dobre do Skierniewic przywiozą? Czy mam się spodziewać ananasowego wina i innych wytrawionych dobrych starych i JWpańskich? Czy się JMości koronki podobały? Czy panna Leonora kontenta z Łowickiego jarmarku? a nadewszystko czyli cała JW. procedencya, syny, córki, wnuki i wnuczki zdrowi? A choć to przeciw respektowi JW. familii czyli krowy, byki, cielęta sławnego folwarku JWPani w dobrym są stanie? Ja z łaski Bożéj zdrów i odpoczywam.

J. Ksiądz Pleban“

D. 19 Grudnia, opowiada w liście o Frankfurckim jarmarku, który w podróży pod koniec nawiedził. „Nie kupiłem nic, oprócz mniemanéj tabaki francuzkiéj, na któréj oszukaliśmy się wszyscy.

„Ja tu (Berlin) dawnym zwyczajem, użyczam się niekiedy wspaniałościom stołecznym, a ile możności spokojnie sobie w domu odpoczywam.

„Zaczynamy karnawał, który będzie bardzo wspaniały i huczny. Bawi to drugich, ale mało tego, któremu się to już wszystko (jak mówią) przejadło.

„Moskale z Warszawy wychodzą, już w moim pałacu gotowy dla WPana apartament i wcześnie zapraszam. Nie będzie Warszawa tak wspaniała jak była, jednakże u mnie zabawić się będzie można.“

Dnia 26 Marca 1796 wyszedł, drukowany w Berlinie, List Pasterski do archidiecezyi przy objęciu jéj, na którym Krasicki pisze się: Ignacy z Siecina i Krasiczyna s. p. r. hrabia Krasicki z Bożéj i apostolskiéj łaski Arcybiskup Gnieźnieński, Książe, Legatus natus itd.

W tym roku przewożenie się z Heilsberga do Skierniewic, urządzanie na nowo, rozmieszczenie galeryi, biblioteki, zbiorów, rozpoznanie się na miejscu w Łowiczu i Skierniewicach, sprawy archidiecezyi, uregulowanie różnych zaległości w Warmii, nie dozwoliły pojechać do Karlsbadu. Książę pił w domu wody egierskie i wybierał się tylko do Krzeszowic, które, od niedawna na wzór wód zagranicznych urządzone, zasłynęły.

W Styczniu musiał być Biskup w Berlinie, ztąd następujący list, dowodzący dobrego zawsze humoru, słał do brata. (Dnia 6 Stycz. 1796).

„Diarjusz prozą i wierszem prawdziwe mi przyniósł ukontentowanie, znać że pan odpoczywając przy ciepłym kominku i piwko pieniste łykając w dobrym humorze pisał. Niech ten raz, raz wraz trwa, to najistotniejsza szczęśliwość, a zatém jéj w długi czas życzę.

„A nie mówił że ja, że ta nieszczęśliwa kolasica figiel jaki wyrządzi. Oddaj WPan tę kalekę do szpitala, zbądź, zamieniaj jako tako, żeby znowu zawodu nie zrobiła. Ową moję paradną, także najprzewielebniejszego ojca Dangla, już trzy razy naprawiano.

Powiadano to zawsze, powiadano wszędzie,
Co było nie do rzeczy, niedorzeczy będzie,

„Wracając się do rzeczy od *niedorzeczy*, ostrzegam jak najuroczyściéj.

Iż jeżeli gdzie oko potrzeba mieć czułe,
Pierwsza czułość na żonę, druga na szkatułę.

„Jaśnie Wielmożną WP. Dobrodziejkę przepraszam, iż mi się to wypsnęło, ale nie ja to powiedział, nauczyłem się tego na jarmarku w Łowiczu w wigilją Ś. Mateusza apostoła.

„Wracając się tedy od Ś. Mateusza apostoła do szkatuły, rozumiem iż starożytnością swoją zasłużyła względy i może w niéj umieszczona zostanie szacowna od złota, srebra aż do miedzi kollekcya JWPani dobrodziejki.

Zbierać rzeczy szacowne piękna jest robota,
Najszacowniejsza jednak od srebra i złota.

„Jak to powiedział nieboszczyk P. Bobrykiewicz, panie świeć nad duszą jego.

„Zdaje mi się, że kto do sklepu idzie, pierwéj worek odwiedzić powinien.

Gdyby się to wtenczas stało
Gdy się w Opactwo wjeżdżało.
Nie było by ambarasu:
Bo gdy pustki w worku czują,
I żydowie posponują.

„Chwałaż Bogu, iż się szkoda znalazła, bo już nie wiedziałem jak się z Opactwa wydostać.

Więc już nie jestem przelękły.
Kiedy trzy butelki pękły.

„Lepiéj to niż worek, s. pamięci pani Bobrykiewiczowa raz wraz powtarzała synom, wnuczkom, prawnuczkom swoim:

Dzieci szanujcie piéniądze.
To za rzecz istotną sądzę.
Dobre są wszelkie tytuły,
Lecz gdy tytuł bez szkatuły,
I Jaśnie Wielmożność zgaśnie,
Zgaśnie dzieci, a tak właśnie,
Jako knotek gdy bez łoju.

„A póki to tych wierszów? Rozszalało się pióro, nie wiem sam zkąd mi się biorą. A dali Bóg i to wiersze. Więc prozą ściskam, Nowego Roku winszując.

Ojcu, matce, córkom, synom,
I księdzu proboszczowi i wszystkim parafianom.
Dość na mnie staruszka."

W Lutym (19) jest jeszcze w Berlinie i pisze: „Kiedy kto staremu urodzin winszuje—przymawia. Ale że nie młody staremu tę grzeczność wyrządził, nie ma miejsca przymówka, a wreście gdyśmy już dziady, pozwólmy młodszym, żeby nam jeszcze przez lat dwadzieścia z okładem przymawiali.

„Król mi dał *annum gratiae*, to jest intratę jeszcze roczną Arcybiskupstwa po mojéj śmierci. To prezencik nieszpetny. Niebyłbym go pragnął dla siebie, ale dla WP. i dzieci dogodny, bo jest fundusz na opłatę długów, które, gdy odstąpicie procenta, zarazem uspokojone będą, a więc jest to toż samo, jak gdybym Ruską wieś darował, (wieś granicząca z Dubieckiem). Jestem w negocyacyi wynalezienia kapitału, ażebym WP. i innych od razu na fundamencie téj już pewnéj hipoteki zaspokoił. Można to przeczytawszy wypić kielich za moje zdrowie.

„Wyzwałeś mnie WPan na wiersze, odstrzeliłem wyzywającemu, teraz gotuję coś nakształt Monitorów i co niegdyś tygodniowe pisma wychodziły z Warszawy, będą się teraz drukować z Łowicza. A że to aż na przyszły rok, kiedy się drukarnia wyporządzi.“

Wydawszy list pasterski, Arcybiskup po W. Nocy miał wyruszyć z Berlina i w połowie Kwietnia być w Skierniewicach. Za bulle z Rzymu, zwykle bardzo kosztowne, ustąpiono znaczną część opłat. W Marcu miał się dobrze i donosi bratu (8 Marca). „Kto pisał WPanu żem chorował, zełgał, kaszlałem tak, jak cały Berlin przez kilka dni i na tém się skończyło.“

Pismo mające się drukować w Łowiczu, o którém już zamyślał Arcybiskup, wychodziło później przez czas krótki, pod tytułem, „Co tydzień“; wspomnimy o nim niżéj.

Wyjazd z Berlina nastąpił w oznaczonéj porze; w Skierniewicach spodziewał się Arcybiskup odwiedzin hrabiego Hoyma, który miał zjechać na jaki dzień dla wypoczynku po trudach Warszawskich kilko tygodniowych.

Zaledwie stanąwszy w nowéj swéj rezydencyi, o drukarni w Łowiczu a ogrodzie w Skierniewicach już myślał, starając się o ogrodnika. Ztąd robił wycieczki do Warszawy na krótko. Zdrowie zapewne i znużenie sprawiło, że pierwszych dni Czerwca wyjazd do Wrocławia i do wód został przyśpieszony.

Przy nowosiedlinach i zupełnie zmienionym trybie życia Arcybiskupa, dłuższe pisma do rodziny, pisywane z Heilsberga, ustają. Zastępują je czasem już dyktowane, zawsze znacznie krótsze.

W r. 1797 w Lutym bawił Krasicki w Berlinie, zakłopotany swemi finansami, których Arcybiskupie dochody zdaje się nie polepszyły. Wydatki się zmieniły, ale nie zmniejszyły. Cztery tarantowate konie zamówione w Galicyi przez brata, jak się okazuje, na prezent dla Hoyma były przeznaczone. Tymczasem książę ofiarował mu coś innego, równie kosztownego, i tarantów już niepotrzebo-

wał; każąc się nie śpieszyć z niemi. „My tu,“ pisze, „po uszy w plejzyrach, i gdy kończę, idę na bankiet do zamku.“

Weselszy nieco jest list Marcowy (D. 16. M. 1797) z Berlina jeszcze: „Na samém wsiadaniu na mój koń dereszowaty (ten sam com go kupił w Birczy na jarmarku od pana Rzepeckiego), na samém więc wsiadaniu odebrałem list pański, dość prędko doszły, bo 6 Marca pisany,

„Wyjeżdżam z Berlina tą drogą, tym sposobem, tym kształtem, jako dnia onegdajszego już namieniłem.

„Grzecznie by to było, gdyby i ojciec i syn odwiedzili i mnie i króla i Carewiczów, którzy mają być w Warszawie. Nie sztuka to dławić dziki, konać żubry, pędzić jelenie, ale:

„Rzuciwszy w kniejach zniszczone zwierzęta, oglądać wojska króla i książęta.

„To mi to połów i godne umysłu wspaniałego widowisko.

„To wyraziwszy jestem—dziś w Berlinie a jutro w karczmie.“

Na Maj zjechał Krasicki do Skierniewic, gdzie już ogród „jak ciasto na drożdżach rosnął,“ dzieląc się między Warszawą, a wiejską rezydencyą, ztąd, gdy ogromne upały nieco ustały, ruszył, jak zwykle co roku do Karlsbadu. Wyjechawszy d. 6. Sierpnia ze Skierniewic potrzebował dni czterech do Wrocławia. Tu miał tylko przenocować, ale na usilne nalegania ministra Hoyma, musiał parę dni z nim zostać. Z Wrocławia, w porę bardzo brzydką, złemi, kamienistami drogami ciasnemi, dostał się ledwie do Pragi z kłopotem wielkim, bo i Landara Danglowska w końcu się złamała. Przesiadłszy się do kocza, nie czekając na jéj naprawę, Arcybiskup pojechał oglądać starą czeską stolicę.

Być by bardzo mogło, że się tu z nim spotkał profesor Meisner, którego powiastka schodzi się tak dziwnie z Dziekanem w Badajoz Krasickiego.

Podróż do Karlsbadu trwała od 6 do 21 Sierpnia. Zdrowie księcia, jak donosił sekretarz jego Michalski wcale było nie złe, humor, jak zwykle, wesoły i wyborny. Na wody się nie gniewał. Gości w Karlsbadzie w tym roku mniéj było, ale Polaków dużo, między innymi księżna Maciejowa Jabłonowska, Starościna Olbromska, Hrabina Olędzka z mężem, Jenerał Raczyński z Poznańskiego, Gajewski itd. Krasicki po jednemu, po dwóch, ściągał do siebie na obiady.

Plan już na resztę roku był ściśle obrachowany. Do dnia 11 Września trwała kuracya karlsbadzka, potém dni kilka egerskie wody, i pośpieszny powrót na Drezno do Berlina, gdzie koniecznie

stanąć było potrzeba na imieniny królewskie. Tu zabawiwszy dni kilkanaście na zimę wybierał się do Skierniewic i Warszawy.

W Październiku jednak jeszcze go znajdujemy w Berlinie, zkąd pisze: „Winszuję pokoju, ze wszech miar miłym będzie, tak jest pożądanym całemu narodowi ludzkiemu. Miłym zaś będzie wam galicyanom, témbardziéj, ile że zmniejszy ciężary podatków i furażów. Ja musiałem się tu zabawić przez ten miesiąc, przeciągnę jednak siedzenie przez następujący, aż się zima zupełnie wzmoże. Czasy mamy piękne i ostryg używamy w obfitości. Zabawy się niedługo rozpoczną“. „Prawdzi się na mnie dawne przysłowie, pisze w Listopadzie (d. 28). *Homo proponit.* Śmierć króla zatrzymała mnie i zatrzyma w Berlinie dłużéj niż sobie ułożyłem. W Marcu więc, albo na początku Kwietnia, do domu wrócę.

„Pierwiastki nowego króla obiecują szczęśliwe panowanie. Młody ten król ma stary rozum. Nowość panowania, ciekawość, rozmaite szczególnych zamiary i powszechne okoliczności, wielką liczbę ściągają tu i swoich i cudzoziemców. Ja, według mego zwyczaju, wśród zgrai siedzę samotny i powtarzam z Kochanowskim:

Niech drudzy za łby chodzą, a ja się dziwuję.

„Dobra duchownym odbiérają, ja przy Skierniewicach utrzymanym będę, a jeszcze kwota pieniężna nie ze wszystkiém uregulowana. Mniéj będzie niż było, trzeba téż mniéj wydawać niż się wydawało, a tak co los ujmie, oszczędność przyda. Zdechł mi jeden z moich tarantów, proszę mi na wiosnę ze dwóch przyprowadzić, ale pamiętać, żeby były równéj miary, dla większego zaś bezpieczeństwa, każ WPan napisać do Tydego, żeby miarę najwyższego i najmniejszego z pozostałych przysłał.

„W Styczniu 1798 r. jeszcze Arcybiskup jest w Berlinie i pisze do brata: (D. 6.) „po przeszłym, bardzo zwyczajnym, lepszego się przecież roku spodziéwać należy, a raczéj życzyć i sobie i drugim, bo rodzaj ludzki tak zgłupiał (uczciwszy uszy), iż ledwo spodziéwać się może, iż by przyszedł do rozumu, aczkolwiek bądź:

(Powtarza po raz trzeci ów ulubiony wiersz Kochanowskiego: niech drudzy za łby chodzą).

„My sobie w kącie dziwujmy się, a jednakże miejmy się na ostrożności, iżby nas w ukryciu nie znaleziono. Ja siedzę na wielkim świecie, bo mnie zima napadła, skoro skowronki śpiewać zaczną, zabiorę się do Skierniewic, żeby przecież na wolném powietrzu odetchnąć.

„Rasztadskie konferencye wszystkich zastanawiają, musi się to przecież na czémś zakończyć, a jak się zakończy, daj nam panie Boże użyć spokojności.“

Odkładając tak powrót, dla zimna i złéj drogi, dla straszącéj zdaleka pedogry („chociażem ja na sejmach i sejmikach nie bywał, kulikami nie jeździł“) zasiedział się Arcybiskup w Berlinie do pierwszych dni Kwietnia.

Karnawał téż w tym roku się przedłużał i d. 2 Kwietnia jeszcze był bal u hr. Arnima, na którym chciał, a raczéj musiał się znajdować dla pożegnania królowéj i rodziny królewskiéj. Król już był w Potsdamie.

Zatrzymawszy się krótko w Poznaniu i Gnieźnie, około dziesiątego stanął Krasicki w Skierniewicach. „Już ci co w Skierniewicach to w Skierniewicach—pisze do brata—ale nimem się do nich dostał przekląłem podróż najniegodziwszą w świecie. Od samego Berlina miałem ustawiczny deszcz, śnieg, wiatr a błota po uszy. Zgoła tak się gniewam, iż muszę przestać, bo gdybym się daléj zapomniał, na témby się skończyło, żebym list podarł.

„Jeszcze się dotąd z domem poznać nie mogę, a zwłaszcza że czasy zimne nie bardzo pozwalają wychodzić. Zakrzątają się ludzie jednak około ogrodu i już zaczyna być u nas zielono, o czém wątpię pod Karpatami u was siedzących, za parawanem od południa.

„Jeszczem się z Nieborowem nie widział, książę Radziwiłł wojewoda (Michał, wojewoda wileński ostatni, zmarły 1813 r. żonaty z Przezdziecką) siedzi w Litwie, gdzie znaczne dobra pupilla! (Dominika syna Hieronima podkom. lit. z księżną Turn et Taxis, zmarłego z rany otrzymanéj pod Ułanowem 1813 r. d. 11 Listopada w Lauternach. Żonę miał Teofilę Morawską, która rozwiódłszy się poszła za Starzeńskiego. Córka za ks. Witgensteinem). Znaczne dobra pupilla od kredytorów wydobył w głębokiéj Litwie od Birżów, włości niezmiernéj, gdzie posesorowie dawniéj ledwo nie corocznie odbiérali z zastawu sumy swoje a dziedzic łapę lizał.

„Dawno nie miałem listu od WPana, może mnie goni który z Berlina, a ciekawy jestem bardzo wiedziéć o czynnościach szczególnych kontraktowych. Kto co kupił a kto co sprzedał, kto oszukał—śmieje się, a kto głupi, oszukanym został i płacze.

„O wojewodzie bełzkim co robi, jak się ma i Starośc. Urzędowskiéj, jaki teraz stan i powodzenie. Powiadali nam tu, że się Marszałek Potocki z księżną Wirtembergską żeni. Ja to biorę za romans, ale w teraźniejszym czasie, można wszystkiemu wierzyć i nie wierzyć. A pan Jan jak raz w Wiedniu zasnął, tak śpi sobie spokojnie “

Zdaje się, że w tym roku i zajęcia i może uszczuplone znowu dochody podróżować nie dozwoliły. Przyczyniło się zapewne do

tego, że śmierć króla pruskiego i wstąpienie na tron Fryderyka Wilhelma III zmuszało jechać dla hołdu do Królewca, gdzie Arcybiskup na znak łaski order Orła czerwonego otrzymał.

Z dworem królewskim potém wrócił do Warszawy, asystując uroczystościom, jakie z tego powodu odbywały się tu w Czerwcu. Parę listów datowane są ze Skierniewic.

W Lipcu (28) kończy pismo do brata: „że pan Maciéj bez wiadomości rodziców do wojska oddany, tego chwalić nie można, ale jeżeli ma chęć do wojowania, przeszkadzać mu nie należy. Prawda, iż to rzemiosło niebezpieczne, ale w tych okolicznościach jedyna to prawie droga zostaje młodzieży do usłania sobie karyery, do sławy i do szczęścia. Starsi nią szli a jednakowoż je p. Bóg zachował, żeby i dawniéj młodzież polska tak myślała, nie bylibyśmy tém czém jesteśmy.“

W Październiku p. Antoni odwiedził brata w Skierniewicach i między innemi, pisze do żony. „Byłem w Warszawie trzy dni dla pożegnania się z księżną Sułkowską. Zastałem zdrową, lubo mówiła że chora, ale tego nie znać było i po twarzy i po chodzie i po mowie. Wyprawiła do Krakowca trzy bryki roślin, drzew i kwiatów, które Au, sławny warszawski botanista, przywiózł z Anglii.

„Samo pakowanie, jak mi powiadała, kosztowało złotych 400. Między innemi były tam drzewa cynamonowe i gwoździkowe, a zatém musiały być i muskatołowe gałki, bo i to specyał nieposledni. Księżna Radziwiłłowa, która, będąc w Warszawie, odwiedzała te osobliwości, opowiadała drogość niezmierną onych specyałów; z tych niektóre miały oznaczoną wartość do 40 czerw. złotych. Uczciwszy uszy wszystkich botaników, wolałbym ja krowę niż taki kwiatek.

„Jak byłem w Warszawie powiadano, że kasztelanowa Kamińska miała wolę tam przybyć i mieszkać. Wątpię ja o tém, chciałbym się jednak prawdy dowiedzieć, proszę więc dać mi w téj mierze informacyą.“

W Grudniu musiał być Arcybiskup, wedle zwyczaju w Berlinie, bo ztamtąd datowane są listy brata, który mu towarzyszył. Na karnawał spodziewano się zjazdu bardzo licznego, synów króla angielskiego Augusta i Adolfa. Z Polaków wzmiankuje Jenerała Bronikowskiego, żonatego z Krasińską, bogatą z Galicyi jedynaczką, która pierwsza z Paryża „tamtejsze mody przezroczyste przywiozła.“

W r. 1799 w Sierpniu Arcybiskup, rzadziéj teraz pisujący, odzywa się do brata (14 Sierpnia).

„Od dni kilku w Nieborowie księżna Jenerałowa, księżna Wirtembergska bawią i zapewne wraz z gospodynią czynią plany jak najbardziéj jeszcze ogrody zdobić, ruiny stawiać, kioski kształcić, botanikę zwiększać a worek wypróżniać.“

„Na tę zimę zamyślam w Warszawie osiąść, bo mi się zbyt długa a niewygodna podróż do Berlina uprzykrzyła. Jeszcze nie mam najętego domu, i dla tego sam na kilka dni odwiedzę to świętéj pamięci stołeczne miasto. Nigdyby się spodziéwać tego nie można, żeby było jeszcze tak ludne i żywe, osobliwie w zimie. Zewsząd się zjeżdżają i dość wesoło a prawie ze zbytkiem żyją.“

W liście z Października są wspomnienia ulubionego mu Dubiecka, w którym dla Xawerząt, Leoncząt, Maciucząt, Józefiąt, radził oficyny rozszerzyć.

„Mamy jesień bardzo piękną, a ja zasadziłem drzew, tak cudzoziemskich jak swojskich moc niezliczoną. Teraz, gdy to piszę, kręcę się na stołku cały obsypany bąblami, a doktór śpiewa Te Deum Laudamus, a ja go łaję, bo się drapię jak żyd. Że on się jednak lepiéj na tém zna niż ja i powiada że to bardzo dobrze i pięknie, toć i ja toż samo, jak sroka, za nim potakiwać muszę.“

List to ostatni.

Bartoszewicz, w swéj biografii Krasickiego, maluje go nam, po przeniesieniu się do Skierniewic i Warszawy, jako człowieka złamanego, przybitego, żyjącego już tylko wspomnieniami, zamiast dawnych dowcipnych poezyj tłómaczącego Plutarcha i Lucyana, zbierającego materyały do wielkiego dzieła o Rymotwórstwie i Rymotwórcach. Co do tego ostatniego widzieliśmy, że je w Heilsbergu jeszcze rozpoczął.

Wiek i smutne kraju położenie musiały zapewne wpłynąć na przyćmienie wesołości dawnéj i dowcipu, kłopoty osobiste nie mało się do tego przyczyniały, lecz, jak widzieliśmy z listów ostatnich, Arcybiskup miał zawsze humor dobry i ze stoicyzmem znosił cokolwiek go spotkało. W charakterze jego było godzić się z każdém położeniem, nie opuszczać rąk nigdy, umieć się zastosować do konieczności jakie los narzucał. W Warszawie i Skierniewicach widzimy go, prawie do ostatnich chwil życia, niezmiernie czynnym, radującym się ogrodowi skierniewickiemu, który rośnie jak na drożdżach, zakładającym już drukarnię w Łowiczu i tygodniowe pismo

mające z niéj wychodzić. Nie widać w tém złamanego niedolą człowieka.

Smętne wspomnienia króla, zamku opustoszałego, w którym się z nim tyle chwil wesołych przebyło, przesuwały się jak obłoki po tém czole pogodném, po umyśle mężnym, do zgonu czynnym, na pozór lekkim a na raz obranéj drodze trzymającym się z żelaznéni wytrwaniem.

Ówczesna społeczność warszawska, bardzo liczna, z wielce rozmaitych złożona żywiołów, ożywiona i zabawiająca się aż do zbytku, szalejąca po troszę, przyjmowała z wielką czcią i współczuciem księcia poetów, z pięknego gmachu dawnego pozostałą kolumnę. Krasicki téż wcale od niéj nie stronił. Znajdował tu dawnych przyjaciół, znajomych, znalazł i współpracowników. Miał na myśli rozbudzić tu życie literackie, do naukowych prac zachęcić. Pomagał mu do tego Dmochowski, którego wielce polubił i który się stał powiernikiem jego i pomocnikiem. Dopomógł mu Arcybiskup do powrotu do kraju.

Z nim razem i kilką jeszcze współpracownikami, rozpoczął drukować w Łowiczu zapowiedziane „Co Tydzień“ w rodzaju Monitora, na którego wstępie powiada:

„Jest nas pięciu, którzy myślimy, dwóch którzy gadamy, a jeden co pisze.“

Tym jednym był sam Arcybiskup, znać tu jego pióro i dowcip, a wstęp tak żywo jest stylizowany, jak za najlepszych czasów.

W dalszym ciągu rozwlekła nieco gawęda przypomina wprawdzie Monitora, lecz do tygodniowego pisemka jest jéj za wiele. Przeplatają uwagi, bajki i powiastki.

Ma to pewien wdzięk naiwny, a jest świadectwem życia z tego czasu, gdy się ono całe w czcze i puste szały zabaw przelało.

Zasługą jest Arcybiskupa, że chciał je na inną wprowadzić drogę. Nie przestając na tém, dopomagał Dmochowskiemu do wydawnictwa Nowego Pamiętnika Naukowego i czynnie się krzątał, chcąc około siebie skupić ludzi zdolnych, tworząc w dawnéj stolicy nowe ognisko światła.

Szczątki Stanisławowskiéj epoki, rozbitki rozproszone, garnęły się około księcia.

Ówczesna społeczność warszawska na poły rozłamana, gromadziła się w części około pałacu pod Blachą, około księcia Józefa Poniatowskiego i pani de Vauban, w części około poważniejszego grona, z którego francuska emigracya i jéj przyjaciele szydzili. Wątpimy bardzo, ażeby Arcybiskup mógł bywać pod Blachą

i przypominał się małéj znajomości z ks. Józefem, do którego się nigdy nie zbliżał. Charakter towarzystwa, które go otaczało, dwuznaczne położenie pani domu pod Blachą, którą rzadko pani Tyszkiewiczowa wyręczała, nie dopuszczało bliższych stosunków.

Z jednym ks. Stanisławem Poniatowskim był Krasicki poufałym i poprzyjaźnionym, a tego w Warszawie nie było.

Sposób życia dogorywającego tu księcia Ex podkomorzego, około którego do najpóźniejszéj starości jakieś damy się kręciły, nie dopuszczał téż Arcybiskupowi uczcić w nim brata króla.

Nie wiemy czy bywał u Pani Tyszkiewiczowéj i u Jenerałowéj Grabowskiéj, zamieszkałéj naówczas w Warszawie, lecz odwiedzał często panią Maryą ze Świdzińskich Lanckorońską, kasztelanowę połaniecką, czcigodną staruszkę, i wielopolską starościnę krakowską, bywał z upodobaniem w domu Ex-podstolego Koronnego Stanisława Sołtyka, gdzie się poważniejsi ludzie zbiérali. Tu się spotykał z Chreptowiczem, z Aristidesem Małachowskim, z Tadeuszem Czackim, z Albertrandim, dawno sobie przyjaznym.

Z tego kółka wyszła pierwsza myśl założenia Towarzystwa Przyjaciół Nauk, któreby nigdy do skutku nie przyszło, gdyby Arcybiskup całą siłą wpływu swojego nie poparł go w Berlinie i nie wyrobił potwierdzenia.

Faktem tém jest, iż ono winno było swój byt Krasickiemu, który do najpierwszych członków jego należał.

W Skierniewicach, w Łowiczu, w Warszawie, gdziekolwiek przebywał, pomimo ciężkich czasów, dla samego dostojeństwa swego trzymać musiał dwór pański, książęcy. Zbiérano się na obiady, wieczory, na naukowe rozprawy. Krasicki zawsze, jak pisze Wdz. Nakwaska, trochę zalotny, dowcipny, żywy mimo wieku swojego (w 1799, miał lat 64) rej wiódł i powagą dostojeństwa i sławą, która imię jego otaczała, i znaczeniem i niewyczerpaną umysłu siłą nieopuszczającą go nigdy.

Między wszystkimi literatami ówczesnymi Dmochowski, niegdyś duchowny, niegdy przyjaciel i pomocnik Kołłątaja, był jego ulubieńcem, powiernikiem w pracach, prawą ręką. Możnaby się zdziwić, znając przeszłość jego, iż Arcybiskup mógł się tak zbliżyć do niego i wybrać go za przyjaciela; ale to właśnie było cechą charakteru Krasickiego, że był wyrozumiałym, pobłażającym, że się ludzi nie obawiał, rachując na wpływ, jaki na nich wywierał, i nie wątpił że każdego nawrócić, jednając go sobie, potrafi.

Pomimo wszystkich klęsk jakie na kraj spadły, w Warszawie nie czuć i nie widać było zwątpienia i upadku. Miasto się poruszało i było przepełnione.

Bawili się szalenie jedni, pracowali drudzy, krzątało się co żyło, młodzież dokazywała do zbytku. Pruskie władze przez szpary patrzały na to życie, szafujące się dosyć pusto, dość bezużytecznie. Nie tamowały tego wyczerpującego, gorączkowego ruchu. System wynaradawiania, już w Galicyi za zasadę przyjęty, tu jeszcze był nie nastał, a raczéj objawić się czynnie nie miał czasu. Położenie Krasickiego u dworu w Berlinie, stosunki poufałe z całą rodziną królewską, od czasów Fryderyka II utrzymywane, dawały mu tu wyjątkowe znaczenie, mogące nieraz wpłynąć na łagodniejsze obchodzenie się i wyrozumiałość.

Podnosimy ten moment ostatni życia Arcybiskupa, bo on jest dla nas probierzem jego charakteru. Nic to nie znaczy, że w listach do rodziny jest zawsze żartobliwym, wesołym i na pozór lekko rzeczy biorącym; było całego jego życia cechą, że z myśli i prac poważniejszych, z uczuć głębszych nie spowiadał się przed nikim. Okrywał się tą pozorną obojętnością, tą żartobliwością, aby nikt nie zajrzał co się w duszy jego działo. Pospolity człowiek w podobném położeniu czułby się złamanym, rozstrojonym, zniechęconym do wszelkiego w pracy udziału, byłby spoczął na dawnych laurach; Krasicki dawał przykład krzątania się w granicach możliwych, granice te wpływem swym rozszerzać się starając. Najwyższa to zasługa, że w tym momencie, gdy pod Blachą czas marnowano na bałamutne trzpiotanie się, on inny kierunek nadawał umysłom i, skupiając ludzi czynu, torował drogę do pracy możliwéj a pożytecznéj.

Nie widzimy go ani złamanym, ani bezsilnym. Wprawdzie na te lata ostatnie przypadają dzieła, więcéj wymagające trudu niż natchnienia. Plutarch, Lucyan, Ossyan, rzecz o Rymotwórstwie, Niesiecki, lecz na starość nie mógł się czém inném zajmować. Plutarch ów był także ulubioném czytaniem króla Poniatowskiego, zastawano go nad nim w chwilach gdy najbardziéj działać było potrzeba (1792), gdy największe zdawały się grozić niebezpieczeństwa (1794) i dla Krasickiego te obrazy przeszłości ludzkiéj, losów przemiennych stanowiły niejaką pociechę. Lucyan był dlań rozrywką, rozmowy umarłych w formie dramatycznéj tłómaczyły myśli jego, zbaczające z historyi starożytnéj ku własnéj. Mamy w nich zdanie o Kazimierzu Wielkim (w żywotach także), o Zamoyskim, o Sarbiewskim. Kazimierza porównywał w paralellach z Alfredem angielskim; Sarbiewskiego z Horacym; Zamoyskiego z Pawłem Emilyuszem.

Pracowała myśl jego ciągle.

Prawda, że już mu ów wiersz dawny, leciuchny, iskrzący się żywy, barwny nie tak płynął jak niegdyś, ale wiek ma prawa swoje.

Chociaż w listach żadnéj o tém wzmianki nie znajdujemy, wiemy z innych źródeł, że już w r. 1798 arcybiskup zmuszonym był trudne swe i zawikłane interesa począć regulować i układać tak, aby spokojnie życia mógł dokonać.

Heilsbergski pobyt, dwór zbyt liczny, podróże, wydatki na zbiory w których się kochał, obrazy, książki, ogrody, zmusiły go do zaciągania długów, które w końcu dokuczliwemi i niepokojącemi się stały. Dla spłacenia ich gotów był arcybiskup ograniczyć jak najściśléj swe wydatki i zażądał, jak się zdaje, pośrednictwa króla pruskiego, który dekretem d. 25 Lipca 1798 roku naznaczył komisyą do uporządkowania długów.

W Sierpniu rozpoczęła ona swe czynności, a kanonik Siegl, jako pełnomocnik wyznaczony przez Krasickiego, ofiarował wszelkie dochody arcybiskupstwa na rzecz wierzycieli, excypując tylko 24.000 talarów na utrzymanie domu. W tymże roku, ku końcowi, wezwano wierzycieli do wykazania pretensyj swych, które wyniosły przeszło 169.000 talarów; kanonik Siegl podwyższył kompetencyą dla Arcybiskupa do 41.454 talarów.

Nie wchodząc w drobne szczegóły téj likwidacyi, która się przeciągnęła po za kres życia Arcybiskupa, powiemy tylko, że za wdaniem się króla w 1799 r., bank berliński obowiązał się część należności wypłacić, z których wierzyciele dobrowolnie ustąpili od ćwierci do połowy.

Tymczasem Arcybiskup zamieszkiwał w Skierniewicach i Warszawie na przemiany, znacznie zmniejszywszy dwór swój i sposób życia. Zdaje się, że zwykłym trybem na zimę, w roku 1800, wyruszył do Berlina, chcąc się dworowi przypomnieć.

Tu na kilka dni przed śmiercią dokończył Listy o Ogrodach i umarł, jak pisze Dmochowski, niemal z piórem w ręku.

Zasłabł w początkach 1801 r., i śmierć go zaskoczyła d. 14 Marca. Szczegółów zgonu nie mamy. Ciało tymczasowo złożone zostało w kościele Ś. Jadwigi.

Spoczywało ono tutaj do r. 1829, i dopiéro ks. Arcybiskup Wolicki, przy pomocy ks. Antoniego Radziwiłła Namiestnika W. ks. Poznańskiego, przeprowadził je do kościoła katedralnego gnieźnień-

skiego, gdzie uroczyście przy obchodzie żałobnym złożone zostało.

Stratę znakomitego męża, uczuł kraj mocno; dla Warszawy szczególniéj była ona dotkliwą, bo tu go nikt nie mógł zastąpić. Zostało po nim jako ostatnia spuścizna Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które było jego dziełem, i którego on w początkach był duszą.

Na posiedzeniu jego d. 12 Grudnia 1801 r. Franc. Dmochowski pierwszy w pochwalnéj, obszernéj mowie podniósł znaczenie Krasickiego w literaturze i zasługi jego jako pisarza. Był on spadkobiercą rękopismów po zmarłym, które późniéj w zbiorowém ogólném dzieł wydaniu ogłosił.

W téj mowie wspomniał Dmochowski o udziale Arcybiskupa w założeniu towarzystwa: „Należy się od tego zgromadzenia najwyższa wdzięczność zmarłemu, że imię swoje w regestr jego najskwapliwiéj zapisał, że w początkach zaraz, największą gorliwość, względem jego ustanowienia, *utwierdzenia* i skutków okazał.“

Charakterystyka, którą w pochwale swéj skreślił Dmochowski, jest w ogóle trafną i wierną, tam gdzie mówi o nim jako o człowieku, panegiryczną nieco gdy sądzi pisarza.

W r. 1802 na posiedzeniu 16 Listopada, Molski czytał odę na śmierć Krasickiego, która z innemi jego pismami w niepamięć poszłą.

Jeszcze spoczywało ciało poety w podziemiach kościoła Ś. Jadwigi, gdy w r. 1810 Jan Śniadecki pisał do Staszica.

„Myśląc o Koperniku, który nic nie potrzebuje do swéj sławy, trzeba żebyście panowie pomyśleli o Krasickim, najpiękniejszym dowcipie swojego narodu, a wedle mego zdania, swego wieku. Im częściéj czytam jego dzieła, tém więcéj zajęty jestem podziwianiem dla tak pysznego talentu. Są podobno jeszcze niewydane jego pisma, któreby trzeba z wielkim staraniem zebrać i ogłosić. Familia wystawiła mu nikczemny nagrobek w katedrze krakowskiéj, ale naród winien mu wspaniały monument, jako człowiekowi, który stworzył w Polakach gust i zrobił szczęśliwą rewolucyą w myślach i sposobie pisania. Dmochowski napisał piękną jego pochwałę, ale nie powiedział w niéj wszystkiego, co o tym wielkim człowieku i pisarzu powiedzieć można.“

Najlepszą i najtroskliwiéj ułożoną biografią Krasickiego, winniśmy nieodżałowanemu Bartoszewiczowi. (1)

---

(1) Biblioteka po Krasickim wcielona została do Uniwersyteckiéj w Warszawie; ze sprzedaży pozostałości w Berlinie zebrano (okrągło) 4.478 tal. Za obrazy w Skierniewicach 2.382 t. meble i drobiazgi 7.546, malowidła, biusty i bronzy 13.682 tal.

Rozpatrując się pilniéj w literaturze Stanisławowskiéj epoki, musimy w końcu uznać, iż na żadne wielkie, monumentalne dzieło, wysokiéj artystycznéj, wiekowéj wartości się nie zdobyła.

Nie było to jéj zadaniem i przechodziło siły.

Epoki jak ta nie budują, burzą tylko, a co najwięcéj jeśli gruz uporządkują. Moralne i materyalne warunki nie dopuszczały jéj nic stworzyć. Najdzielniejsze też umysły, pojmujące posłannictwo wieku, zmuszone były iść na plac i wywracać, częstokroć to nawet co za fundament nowéj budowy posłużyć mogło.

W umysłach nie ma nic coby do tworzenia usposabiało. Niepokój ogarniał społeczeństwo i tę jego część, co po walącéj się budowie płakała i co do ruiny miała przyłożyć rękę. Waliło się wszystko: podkopano starą wiarę, instytucye dogorywały skoszlawione i wypaczone, sam byt był zagrożony.

Z zachodu wiał silny prąd destrukcyjny; wszystkie klasy społeczeństwa czuły się na swych stanowiskach zagrożonemi; król niepewnym na tronie, senat na krzesłach, Sejm na ławach, wojsko w przestarzałym rynsztunku, który trzeba było porzucić i rycerstwo żołnierzem zastąpić. Własność kraju, starostwa i królewszczyzny, *panis bene merentium*, stawszy się przedmiotem frymarku i marnotrawstwa, musiały zmienić naturę i przeznaczenie. Właściciele ziemi drżeli, zaniepokojeni będącą w powietrzu reformą stosunku patryarchalnego z włościanami, klasztory się chwiały, miasta domagały się praw.

Wszystkie stare węzły pękały. Literatura czynna, posłuszna swemu zadaniu, cała musiała utonąć w teraźniejszości. Nie miała téj swobody, która dozwala duchowi lecieć i bujać w świecie ideałów; cisnęła ją rzeczywistość i trzymała przykutą do ziemi.

Całe też piśmiennictwo epoki jest młotem co rozwala ruinę, poezya nawet musi się stać sługą téj idei; wszystkie pisma są jéj narzędziami. Trembecki, Naruszewicz, nadewszystko Krasicki są ludźmi swojego wieku, a gdy znużeni przestają być nimi, gdy książę biskup chce opiewać wojnę Chocimską, brak mu głosu i siły. Naruszewicz tłómaczy Tacyta i dziwi się, że go nikt nie czyta. Mógł że kto napawać się stylem dziejopisa, gdy szło o życie?

W chwili gdy walka przychodzi do kulminującego punktu i samopoznania, w czasie czteroletniego Sejmu, okolicznościowe pisma sypią się gradem, spadają ćmą niepoliczoną. Skarży się na pismaków Trembecki, drwi z téj gawiedzi Węgierski, wołając „piszą kasztelany!“ ale to nic nie pomaga, piszą nawet ci co pisać nie umieją, kamienie krzyczą.

Rodzajem poezyi, do którego natura i usposobienie pociągały

Krasickiego, był wiersz lekki, dowcipny, humorystyczny, ironią słodką zaprawny, napastujący głównie przywary i wady wieku.

Poważnym, wzniosłym, uroczystym nie umiał być, a ile razy próbował zanucić z tego tonu, stawał się prawie zawsze chłodnym, wymuszonym, niezręcznym. Pierwszemi pewnie próbami poezyi, któremi go młodzieńcza muza natchnęła, musiały być bajki i listy; pierwsze szczególniéj, w których jest częstokroć nieporównanym. Czterowierszowa jego bajeczka zwięzła, wyrzeźbiona, skończona, jest całym poematem. Nic ująć, nic dodać.

Myśl bywa powszednia, stara, zużyta, bo na znalezienie jéj nie silił się umysł, biorąc ze skarbnicy doświadczenia wieków; kunszt poety nadaje jéj świeżość, barwę i wdzięk.

W nich nawet język, który w pisarzach wszystkich Stanisławowskiéj epoki zdradza zerwane tradycye i wskrzeszanie umarłego, jest niemal żywy, śliczny i niewyszukany.

W mnogich dziełach Krasickiego rozróżnić potrzeba co ma wartość historyczną i artystyczną, co pozostanie w literaturze, od tego co dla potrzeb i gustu chwili napisane, dziś straciło dla nas urok i znaczenie, będąc pamiątką tylko języka i stylu.

Bajki i Satyry niezaprzeczenie stoją na czele, stanowią najdroższy klejnot w téj spuściźnie. Obok nich niektóre poezye, nieokreślonego rodzaju, zawsze nieco satyryczne. Po za temi daleko idzie Myszeis, Monachomachja, a w ostatku chybiona wojna Chocimska, tłómaczenie poetów itp. Na czele pism prozą stoi pan Podstoli, jeśli nie formą to treścią i wybornemi obrazkami, które go zdobią. Daléj Doświadczyński, Historya i powieści mniejsze, między któremi są bardzo ładne.

Wiersze z prozą, rzecz o rymotwórcach, rozmowy umarłych, żywoty na wzór Plutarcha, komedye, inne prace erudycyi kończą ten spis długi. Gdyby z całéj téj pozostałości zostały tylko bajki, satyry i Podstoli, jużby Krasicki niemi pierwsze, przyznane mu miejsce między pisarzami Stanisławowskiéj epoki utrzymał. Reszta jest tym balastem życia, wedle wyrażenia Goethego, potrzebnym aby się utrzymać na falach. Nie mógł być bezczynnym poeta i szukał zajęcia w pracy powszedniéj, dla zatrudnienia umysłu. Sam jednak, w liście do Bełżanina przyznaje, iż wiek mu odjął siłę.

Gdy wiek rześki władał piórem,
Szły te rzeczy nie oporem,
Była jazda i dość żywa,
Teraz Pegaz odpoczywa.

A spoczywający ów Pegaz pasł się na historykach, herbarzach i zielonych łąkach poezyi Ossyana. Godna uwagi, że rozpocząwszy

artykułami Monitora, skończył wielce do nich podobnemi w pisemku: *Co tydzień.* Z pozostałych po nim rękopismów, wiele pono z różnych względów drukowanemi nie było. Niektóre z nich potrącały o osoby i wypadki, których tykać albo nie było można, lub nie wypadało.

Nie szukajmy w Krasickim ani głębokiéj filozofii, ani jasnowidzenia przyszłości, ani zaciekania się w te prawdy zdobyte wiedzą badawczą, które ponad ziemię i życie podnoszą. Krasicki idzie po ziemi zawsze, jest dziecięciem swego wieku, nie opóźnia się i nie zostaje w tyle po za ruchem jego, ani go wyprzedza, równo z nim mierzonym postępuje krokiem, posłuszny temu jedynemu zadaniu pisarzy narodowych, przeznaczonych aby wywierali wpływ ogromny na współczesnych—zadaniu być wiernym tłómaczem idei wieku, pragnień i prądów swojego czasu.

Nie jest to ani Rabelais, ani Montaigne, ani wiekuiście i wszędzie wielki Shakespeare; człowiek w Krasickim jest wcieleniem epoki, maluje to co zna, pisze co czuł i przeżył, jest ciągle w żywym związku z żywym światem, ma jego ton, poślubia jego mowę, przybiera lekkość, stroi się w dowcip, który był bronią per exellentiam XVIII w. Spełnia doskonale swe zadanie, spełnia je prawie bezwiednie, z naiwnością i posłuszeństwem tych tworów natury, które z ziemi, powietrza, słońca otaczającego rosną całe, oddając co z nich wzięły, nie zmieniwszy ani w truciznę, ani w excentryczne jakieś tajemnicze pierwiastki.

Powtarzamy raz jeszcze, człowiek to swojego wieku, tłómacz swojego czasu, reprezentant swéj epoki; to czyni go tém, czém był, pisarzem niezmiernego znaczenia, choćby się ono nam, dziś nie zdawało usprawiedliwioném. W téj zgodności pisarza z epoką leży cała tajemnica popularności, wpływu i trwałego znaczenia w literaturze. Sam sobą, on przedstawia w pełni koniec XVIII w. w literaturze naszéj. Żaden z jemu współczesnych mierzyć się z nim nie może.

Naruszewicza czuć celą zakonną, z któréj wyszedł: obcy jest światu, zna historyą i książki, widział trochę ludzi, ale w nim pulsa żywotne całego społeczeństwa nie biją.

Trembecki przedstawia nie czas swój, ale typ swój i siebie; mistrz we władaniu językiem, nie ma w sobie myśli i woli coby ten język zużytkowała, natchnienie dlań zastępuje gniew, oburzenie, wola pańska, dworacza usłużność, fantazya, chwilowy kaprys. Uwielbia i pluje naprzemiany, nie ma ani poczucia teraźniejszości, ani jasnego pojęcia celu i drogi. Wszystko mu obojętne.

O innych zaledwie przy Krasickim wspomnieć się godzi. Karpiński jest to tęskliwy kochanek Justyny, liryk bolejący nad sobą, który ze światem ani się godzi, ani go rozumie. Śpiewa wdzięcznie małym głosem, drobne serca zeschłego dzieje. Kniaźnin ma też coś z jego natury chorobliwéj, ale bujniéj na gruncie puławskim urosłéj, ma nadewszystko zmysł artystyczny więcéj rozwinięty niż talent, któremu on służy. Węgierski bawi się poezyą, ale jéj nie bierze na seryo, kładnie ją jak żabot i fryzurę aby mu się na ulicy dziwowano, jest ona dla niego rozrywką, popisem, narzędziem pomsty, może środkiem uprzyjemnienia życia. Krasicki jeden czuje, rozumie i spełnia swe powołanie pisarza. Pracuje życie całe, na każde niemal pytanie swego czasu znajdując odpowiedź w głębi ducha. Wszystkie wielkie zagadnienia epoki, jeśli nie są rozwiązane u niego, to przynajmniéj dotknięte i wskazane; począwszy od emancypacyi włościan, od otrzęśnienia się z fanatyzmu i ciemnoty, aż do kwestyi stroju i mody.

Ta encyklopedyczność Krasickiego płynie z przejęcia się swém posłannictwem. Nic mu nie jest obcém, radby rolne gospodarstwo równie zreformować jak klasztory, wychowanie jak ogrody, szlacheckie dwory i szlacheckie zarybione sadzawki.

Dręczy go ta żądza podołania wszystkiemu. Jest ona przyczyną może, iż zbyt często jest powierzchownym, ale porusza rolę odłogującą, trzebi zagony, zdziera darnie z instynktową wiarą, że na nie przyjdzie ziarno i zejść musi.

W całém znaczeniu wyrazu jest to pisarz świadek swéj epoki, pisarz przedewszystkiém, więcéj nawet niż biskup i duchowny, więcéj niż poeta. Kończy na rewizyi szlacheckiego herbarza, na encyklopedyi i kalendarzu, bo wszystkiego dotknąć musi, nic nie chce zostawić nieporuszoném. Pisze od pierwszéj młodości do ostatnich dni życia, pisze w Sans-Souçi i Heilsbergu, w Berlinie, w Skierniewicach, w Dubiecku, dzień i noc, na wszelki sposób, wierszem i prozą, jak człowiek, który się do tego urodził i wziął na siebie posłannictwo. Niezmordowany, nieznużony, chwili nie jest bezczynnym, ustać nie może, znużyć go niepodobna, śmierć dopiéro z ręki mu pióro wytrąca.

Wszystko co pisze—a znak to jest wielki—echem szerokiém odbija się w sercach i umysłach. Między nim a czytelnikami istnieje ten tajemniczy związek, który nie zawsze nawet łączy geniusze ze światem.

Cała społeczność czuje w nim siebie, i on się czuje w całém społeczeństwie swojém; żaden typ jego epoki obcym mu nie jest, jakiéjbykolwiek płci był i wieku. Dość spojrzeć na karty Podstolego.

Po dwóchset latach pustki i milczenia, Krasicki znowu tworzy tę całość jaka istniała za czasów Kochanowskiego, gdy śpiewak i naród jednóm byli; gdy między społeczeństwem wykształconém a poetą z łona jego wyszłym serdeczny trwał związek, gdy nad przywiezionemi z zagranicy wierszami Kochanowskiego stary Rej z radości płakał, a gromada mu przyklaskiwała. Około książki Krasickiego kupi się nie jedna klasa, ale wszystkie stany. Mówi językiem dostępnym, rozumieją go wszyscy, i ci co nigdy nie bywali w świecie myśli, w ślad za nim doń wkraczają ze swobodą i łatwością, któréj się dziwią sami.

Po dwóchset latach naród i pisarz znowu sobie podają dłonie, jedno serce w ich piersiach bije. Wielkie to zaprawdę posłannictwo zbudzić do życia, a kto je spełnił tak godnie, temu się imię wielkiego należy.

WYSTAWA PARYZKA.

(KORESPONDENCYA).

I.

Ponieważ wystawa na akt urzędowego otwarcia w dniu 1 Maja wcale gotową nie była, a dział maszyn, mający być głównym przedmiotem tych listów, wiele do życzenia pozostawiał, opóźniłem się z wysłaniem rękopismu o dni kilkanaście, by przy wykończaniu méj pracy mieć przed oczami mniéj więcéj uporządkowane galerye i aneksa, mówię mniéj więcéj, bo o właściwém przerwaniu prac na placu Marsowym przed 15 Czerwca mowy nawet być nie może.

Dla ludzi znających akuratność przedsiębierców i fabrykantów francuskich, podobne opóźnienie, szkodzące w każdym razie ogólnemu efektowi, a nawet specyalnym studyom, może się zdawać lekceważeniem zobowiązań przyjętych w obec Europy, względem gości i wystawców, ale w gruncie rzeczy było ono nieuniknionym skutkiem sytuacyi politycznéj, tak w całym świecie, jako téż w łonie saméj Francyi. Po sedańskim pogromie i postrachu komuny, kraj długi czas zajęty był organizacyą wewnętrzną, i wystawa mogła mu przyjść na myśl dopiéro wtedy, gdy się z pożyczką i podniesieniem handlu a przemysłu załatwił. Chociaż expozycya ma za najbliższy cel, po za podniesieniem uroku Francyi i pokazaniem jéj bogactw, ożywienie handlu detalicznego, ruchu osobowego na drogach żelaznych, zwiększenie odbytu w restauracyach, teatrach i hotelach Paryża, to przecież w nadziei spodziéwanych zysków, których część dopiéro późniéj w formie podatków pośrednich do kas państwa wpłynie, skarb musiał ryzykować znaczne sumy, a i dziś

przyznaje kredyta na reprezentacye dla ministrów i innych dygnitarzy, kredyta, które razem na miliony się liczą. Projekt tedy urządzenia wystawy powszechnéj zrodził się dość późno, i roboty około gmachu niebywałych rozmiarów rozpoczęły się ledwo przed półtora rokiem, gdy expozycyą z 1867 roku przeszło dwa lata budowano. Z drugiéj strony tyleż samo, a może i więcéj, winni są sami wystawcy, którzy straszeni widmem wojny i niepokojeni niechęcią, jaką dla spraw wystawy okazywało poprzednie ministeryum francuskie, zalegli z przygotowaniem okazów i dziś dopiéro takowe nadsyłają i ustawiają.

Jakiekolwiek zresztą były przyczyny zwłoki, w obec codziennego postępu robót luki widocznie się zmniejszają i publiczność na pierwszy rzut oka nie umiałaby powiedzieć czego na wystawie brakuje, gdyby nie aneksa, vel pawilony specyalne, koło których kręcą się jeszcze mularze i cieśle, słychać zgrzyt pił i stuk młotów.

Nie zważając jednak na taką dystrakcyą, zaczniemy naszą wędrówkę po galeryi maszyn, a zaczniemy ją od zaznaczenia nowości w dziale maszyn parowych. Otóż pomysłów, świeżych prawdziwie nie spotkaliśmy tu wcale tak przy lokomobilach, lokomotywach i machinach stałych jak i przy kotłach; choć z drugiéj strony przyznać wypada, że budowa samych motorów i konstrukcya generatorów pary w ostatnich latach niemałe zrobiła postępy. I w jednym przecież i w drugim kierunku co do zasad budowy fabrykanci zwrócili się ku przeszłości, podnosząc i ulepszając zarzucone przez czas jakiś pomysły.

Oto w machinach stałych powrócono do dawnéj teoryi skomplikowanych cylindrów Ewansa, dającéj zupełniejsze zużycie pary, która, wyszedłszy z pod tłoka pierwszego cylindra, idzie do cylindra drugiego, a czasem i do trzeciego i w którym resztę siły tłokowi przekazuje. Tego rodzaju manipulacya, dająca często do 100% oszczędności na paliwie, jest niezmiernéj wagi w marynarce, pozwala bowiem zmniejszyć zapas węgla zabiéranego na statki, a w jego miejsce ładować towary, lub pasażerów. Drugim zwrotem do dawnych urządzeń jest przywrócenie przy przesełaniu pary do cylindrów, klap i kranów, które w obec szuflad dają oszczędność na parze, mniéj takowéj marnując. Ta skłonność do oszczędzenia siły przez zmniejszenie strat w parze i tarciu objawia się coraz staranniejszém wykorygowaniem części składowych maszyn i wprowadzeniem na szeroką skalę wielkich maszyn systemu Corliss'a, które właśnie taką starannością się odznaczają i zastosowaniem klap i kranów. W konstrukcyi znowu kotłów wspomnieć trzeba wrócenie się do kotłów rurowych obu systemów, t. j. kotłów, w których woda

krąży w rurach umieszczonych w ognisku i takich, przy których rury puste zanurzone są w wodzie i jednym końcem wchodzą w ognisko a drugim w lufta ciągowe. Przy systemacie pierwszym kotły dzisiejsze tak są zbudowane, że mieszczą niezmiernie mało wody; rury więc grzeją się prawie na sucho i tylko parę w sobie zawierają. System ów ma tę główną zaletę, że daje parę w wybornym gatunku, bezwodną, więc niezanieczyszczającą pakunków i t. d. a przedewszystkiém, że ochrania kotły od eksplozyi, bo wody tak jest w nich mało, że nawet przy gwałtownym wytwarzaniu się pary ciśnienie nie może się tak podnieść by kocieł rozsadziło. Gdyby nawet która z rur pękła, a próbowane bywają na 25 atmosfer, wypadek jest nic nieznaczący. Na téj zasadzie zbudowane są prezentowane na wystawie kotły „nieeksplodujące" Belevill'a. Wreszcie ten rodzaj generatorów pary nadaje się tylko do fabryk, potrzebujących ciągle jednakowéj ilości siły. W cukrowniach zaś, gdzie raz więcéj pary się zużywa, drugi raz mniéj, byłby on marnotrawstwem opału, bo kocieł jest tu za mały, by mógł parę na zapas pomieścić i tylko na bieżącą potrzebę produkować ją może. Fabryki znowu te nawet, które przy dawnych kotłach pozostają, nie potrzebują się już obawiać pęknięcia z powodu braku wody w kotle, bo dziś przyrządy ostrzegające o tém braku wody bardzo są udoskonalone; a na saméj wystawie spotykamy pływak pana Chandre, 150 franków kosztujący a pokazujący stan wody w kotle ruchem skazówek na cyferblacie zégarowym, zdala widzialnym. Wypadek zaś osadzenia grubych warstw kotłowca, a następnie wytwarzania pary w stanie sferoidalnym jest niedoprzewidzenia raz dla tego, że dziś każda przyzwoita fabryka ma kocieł jeden zapasowy, więc kolejno kotły czyścić i osad z nich usuwać może, a daléj z powodu wynalezienia kilku środków, zapobiegających nadmienionemu tworzeniu się kotłowego kamienia. Na wystawie, dom braci Dulac prezentuje aparaty Tartivores, które zapobiegają tworzeniu się osadu, że o różnych środkach chemicznych dodawanych w tym celu do wody nie wspomnimy. Konstrukcya drugiego rodzaju kotłów, a mianowicie takich, których płomień w rury wchodzi, uległa ulepszeniu, w tém mianowicie, że dziś wszystkie owe rury płomienne powiązane w wiązki dadzą się z kotła wysunąć, i w skutek tego oczyszczenie rur, ścian kotła niezmiernie ułatwioném zostaje. Przy tém płomień, przebiegłszy rury, jeszcze powierzchnię kotła obejmuje, co ilość paliwa, lubo niewiele, zmniejsza.

Przechodząc od wielkich machin parowych do motorów mniejszéj siły, wspomnieć tu musimy maszyny parowe wertykalne, choćby Hermann'a Lachapelle, zabiérające niezmiernie mało miejsca, niewy-

magające specyalnych kominów i mogące, że tak powiemy, służyć zamiast pieca do ogrzewania warsztatów, w których pracują. Maszyny takie o sile od 1 do 12 koni, a nawet mniejsze, znajdują się na wystawie w wielkim wyborze i stanowią jakby przejście do lokomobil z horyzontalnym lub wertykalnym kotłem, osadzonych na 4, albo i na 2 kołach (dwukołowe mają podpórki, które maszynie dają równowagę stałą w czasie pracy) a przeznaczonych przeważnie na posługi rolnictwa.

Dla fabryk bowiem, choćby najmniejszych, i warsztatów, lokomobila będzie zawsze nieszczególnym nabytkiem, jako przyrząd zużywający niezmiernie dużo opałowego materyału. W téj grupie odznaczają się szczególną taniością lokomobile z fabryki Levasseur, a mianowicie sztuki o czterech koniach siły z ceną niską, bo po 3.000 franków za sztukę, co przy normalnym kursie naszych pieniędzy, już po obliczeniu procentu na transport, ażio i zysk komisanta, przedstawiałoby sumę około 1.200 rubli. Lokomobile powyższe tém się odznaczają, że ich produkta spalenia przed ujściem w komin okrążają zewnętrzną powierzchnię kotła i oddają mu część cieplika, usuwając przytém stratę przez promieniowanie ścian kotła, która w krajach zimnych dość bywa znaczną. Wspomniawszy na zakończenie o niewielkiéj, ale bardzo dokładnie wykonanéj machince parowéj z fabryki Szolcego i Rephana, przenosim się do oddziału przyrządów cukrowniczych, między któremi znajduje się poważnych rozmiarów prasa hidrauliczna z karuzelą i szybrem wyrobu firmy Lilpopa, Raua i Lewensteina.

Przejście tém przyjemniejsze, że cukrownictwo nasze pokazało się na wystawie wcale godnie na punkcie produktu i produkcyi, a bliższe informacye ze źródeł specyalnych poczerpnięte pozwalają mi twierdzić, że w przeróbce buraków na rafinadę nie ustępujemy ani Francuzom, ani innym krajom. Nie idzie zatém by między sposobem roboty, używanym w okolicach Kutna a procesem stosowanym w północnéj i wschodniéj Francyi, nie zachodziły pewne różnice. Owszem, różnice te istnieją i objawiają się w konstrukcyi odnośnych przyrządów, ale są tylko wynikiem zastosowania sposobu fabrykacyi do miejscowych warunków. U nas, gdzie podatek płaci się ostatecznie od ilości przerobionych buraków, od pierwszéj przeróbki fabrykant myśléć musi o tém: jak największą ilość cukru z produktu surowego wydobyć, mniej nawet zwracając uwagę na okoliczność, że posunięte do ostateczności wyzyskiwanie miazgi buraczanéj znaczne pociąga koszta. Ztąd też cukrowarowie nasi używają nader silnych pras do wyciskania soku, a wytłoczyny macerują jeszcze; ztąd rzucili się do dyfuzyj jak tylko zobaczyli, że w ten sposób wię-

céj cukru z jednostki wagi buraka dostać mogą; ztąd próbują dziś osmozenów, by zawartą w melasie słodycz choć w części wyzyskać. I tutejsze fabryki płacą większy znacznie podatek, ale go płacą od ilości wyrobionego cukru, idzie im tedy głównie, by ów cukier jak najtaniéj z buraka wydostać. Ponieważ zaś niewielkie ilości wyrobionego soku zawarte w burakach podnoszą znacznie ich wartość jako paszy, więc skombinowawszy oba warunki, technicy francuzcy nie macerują już wytłoczyn, a nawet do ich wyciskania używają nieraz walców zamiast prasy, bo te nie tak dokładną, ale szybszą robotę dają. Fabrykacya w ten sposób prowadzona jest często na olbrzymią skalę, więc bywają cukrownie, które obok głównéj fabryki mają do pomocy kilka filij, trących jedynie i prasujących buraki a przesyłających sok zaprawny nieco wapnem do fabryki głównéj, przy pomocy rur podziemnych, na kilka wiorst nieraz długich. Uwzględniając tedy tutejszy sposób roboty, francuzcy fabrykanci maszyn wystawili walce do miazgi i centrofugi Caila z osią osadzoną w górnym końcu a wolną w dolnym, co pozwala szybko i łatwo usunąć jéj zawartość przez dno dolne, rodzaj turbiny, do czyszczenia soku od włóknika. Ten ostatni przyrząd, dość drogi, bo kosztujący parę tysięcy franków, ustąpić musi przed stosowanym w naszych fabrykach, do tego samego celu służącym aparatem Zebińskiego, który i tańszy jest i prostszy w zastosowaniu. Z nowości w cukrowniczym dziale wymienimy bateryą dyfuzyjną Rustona z Pragi, zbudowaną w ten sposób, że aparata dyfuzyjne ustawione są koło wspólnéj osi i na wspólnéj tarczy poruszyć się dającéj niewielką siłą. Przy takiém urządzeniu, krajanica umieszczona na górze dostarcza ładunków do wszystkich ogniw bateryj, które kolejno pod jéj otwór podchodzą. Obok téj inowacyi baterya owa ma bardzo dobre wymiary, wysładza jednakowo wszystkie warstwy ładunku i łatwo się opróżniać daje. Pomiędzy krajanicami jest także jedna ulepszona w tém mianowicie, że kluby, w których osadzone są noże, w zwykłych krajankach umocowane na szruby, tutaj wsuwają się tylko, co naturalnie na pośpiech w robocie wpływa. Potrąciliśmy przed chwilą o osmozen; tu dodać wypada z okazyi niewielkiego aparatu tego rodzaju wystawionego także przez Rowa, że osmozeny pozwalają wydobyć prawie połowę cukru uwięzionego w melasie, na téj mianowicie zasadzie, że sole zawarte w soku buraków wiążą po krystalizacyj o wiele większą ilość cukru niż ich waga wynosi, a przy przesiąkaniu roztworów melasy przez błony z pergaminu roślinnego zależność ta ustaje, i jeden z płynów tak się w cukier wzbogaca, iż z niego część tegoż cukru da się wykrystalizować. Zyskana w ten sposób ilość produktu, przy znacznych trudnościach prze-

róbki melasy na spirytus i przy niezmiernie niskiéj cenie spirytusu po za akcyzą opłaca zupełnie koszta manipulacyi, niezmiernie zresztą prostéj, i duże przynosi korzyści.

Od aparatów cukierniczych, przedstawiających już przemysł w pełnym rozwoju i procentujących się znakomicie, przejdziemy na chwilę do innego przyrządu, który, o ile nam się zdaje, jest dopiéro laboratoryjną próbą na szerszą skalę. Chcemy tu mówić o komplecie maszyn do wyrobu piwa wedle metody Pasteu'ra. Uczony ten, wziąwszy, pod uwagę częste kwaśnienie i psucie się napojów fermentowanych oraz okoliczność, że zapobieganie temu psuciu się przez zagotowanie wyrobionego już i zbutelkowanego lub w większe naczynia ściągniętego płynu nietylko jest ambarasowne, ale psuje często smak napoju, przerywając razem z innemi i alkoholową fermentacyą, potrzebną do wytwarzania kwasu węglanego, który piwu przyjemny smak i orzeźwiające własności nadaje, zaproponował piwowarom taki aparat, w którymby piwo aż do chwili konsumpcyi zabezpieczone było od zetknięcia się z zarodkami, mogącemi wywołać fermentacyą octową i inne psujące smak i zapach produkta, a mimo to ulegało ciągle działaniu drożdży i fermentacyi alkoholowéj. Czy jednak aparat ów modelowy będzie mógł być zastosowany na wielką skalę i pozwoli panom piwowarom produkować Gambrynusowy napój przez całe 12 miesięcy roku, przyszłość to pokaże i następne wystawy.

Tymczasem wspomnieć wypada o przyrządach do wytwarzania lodu i chłodzenia mąki, wystawionych przez firmę Toulet (z Albers.) Lód otrzymuje się w nich na wielką skalę przy działaniu motora parowego i metody dawniéj już znanéj przez zagęszczanie powietrza nad powierzchnią płynu mającego się ochłodzić, które to powietrze, wracając do równowagi z ciśnieniem atmosferycznem, cieplik płynowi onemu odbiéra. Aspiratory téjże fabryki, wprowadzające ciągły strumień powietrza w pudło zawierające parę młyńskich kamieni, mają być zupełnie wystarczające do zapobiegania grzaniu się mąki, które psuje jéj własności i trwałość.

Obok onego przyrządu produkującego sztuczny lód na wielką skalę, przyrządu, który bądź co bądź niewielkiego jest dla naszego kraju znaczenia, bo lód robiony zawsze drożéj kosztować będzie od naturalnego, którego w klimacie warszawskim rzadko brakuje — wspomnieć mi wypada o aparatach podręcznych do wytwarzania lodu w ilościach do gospodarstwa domowego potrzebnych. W aparacikach tych, zbudowanych przez Jana Carré, parowanie wody wywołane działaniem pompki pneumatycznéj, sprowadzającéj ciśnienie

do paru milimetrów, kombinuje się z działaniem preparatów silnie chłonących wilgoć, powstałą z parowania wody w próżni, jak kwas siarczany—węglan potasu, chlorek wapna itp. Zamrożenie następuje szybko, ale zużywa 1 kilogram kwasu na 10 kilogramów zamrozić się mającéj wody, więc przy naszych cenach przetworów chemicznych, lód wypadłby po parę groszy funt, co do wielu użytków jest za drogo. Zważywszy jednak, że machina Carré'go, małego formatu, zdolna jednak zamrozić karafkę wody w przeciągu 5-ciu minut, kosztuje 200 franków, sądzimy, że systemat powyższy mógłby znaleść zastosowanie w zamożniejszych domach prywatnych itp. Do tych samych użytków służyć jeszcze może lodownia pokojowa Tosellego, mrożąca wodę w czasie rozpuszczania się w wodzie azotanu amonii, która to sól daje się następnie przez parowanie roztworu onego wyzyskać i do następnéj użyć operacyi.

Od lodu do konserwacyi mięsa przy pomocy zimna krok jeden tylko, robimy go téż, by czytelnikowi „Ateneum" powiedziéć, że kompania transatlantycka transportu mięsa, które bite bydło z południowéj Ameryki do portów francuskich sprowadza, wystawiła model swoich statków. Na statkach owych mięso złożono w całych sztukach, oczyszczonych odpowiednio, utrzymywane jest w temperaturze niżéj zera przy pomocy zimna wytworzonego przez parowanie eteru siarczanego. Naturalnie jedna doza eteru ulatnia się, a następnie przy pomocy odpowiedniego przyrządu kondensuje, i gdyby niekonieczne w takich razach ubytki z niedokładności konstrukcyi aparatów wynikające, eter jeden i ten sam służyłby wiecznie. Że transport wołów z okolic Kijowa i Podola mniejszych by nakładów i mniéj ambarasu wymagał od przewózki ze sfer podzwrotnikowych nie ulega kwestyi, a jednak my nie prędko się chyba zdobędziemy na podobne przedsiębierstwo.

Za to Ameryka grozić zaczyna choćby Warszawie zalaniem jéj nietylko powodzią maszyn do szycia i żniwiarek, ale najzwyczajniejszą konkurencyą w wyrobie butów i trzewików. Wprawdzie na wystawie, maszyny do krajania i szycia obówia w niepełnym są komplecie, bo Francya i Belgja, które najbliżéj placu Marsowego leżą i najwięcéj naturalnie okazów przysłały, posługują się przy robocie butów, ciżm i pantofli maszynami, przypuśćmy że Hovego i ręką ludzką; ale Amerykanie przysłali paki gotowe obówia jak najwidoczniéj z fabrycznéj mechanicznéj produkcyi pochodzącego, a ceny prób nadesłanych każą się na seryo obawiać, że najprzód wielkie dostawy dla wojsk, nowoyorkscy liweranci zagarną, a potém zaczną nam lakierowane i zwykłe kamasze przysyłać, ruble i talary za nie wywożąc.

W ogóle nietylko dla Warszawiaków biédnych i nieradnych, ale i dla więcéj w kulturze posuniętych narodów studyowanie postępów mechaniki na polu konstrukcyi tak zwanych maszyn—narzędzi, niezmiernego jest interesu. Przyrządy do mechanicznéj obróbki metali i drzewa—piły tarczowe i taśmowe, wiertarnie, heblarnie, przybory do fugowania, sztorcowania itp. rodzą się teraz jak grzyby po deszczu, a często bardzo są dowcipnie pomyślane i pożyteczne. Stawiając obok siebie niezmierne ilości czasu i siły ludzkiéj, potrzebne np. do usunięcia warstwy metalu na pół cala grubéj, z metra kwadratowego powierzchni odlewu i szybkością, z jaką tę pracę mechaniczna heblarka wykona, przyznać musimy, że krok najpierwszy już zrobiony i pierwsze trudności przełamane zostały. Daleko wprawdzie jeszcze do chwili, w któréj rzemieślnik będzie tylko dozorcą i konduktorem machin i przyborów, motorem parowym lub innym w ruch puszczonych, w któréj praca fizyczna uważać się zacznie za lżejszą od pracy umysłowéj i biurowéj, bo téj maszyny nie zastąpią; ale patrząc na stolarskie przybory, przez fabryki francuskie dostarczone, przestajemy się dziwić zagranicy, że stolarszczyznę budowlaną i meblową taniéj od nas produkuje, albo zyskom jakiechoćby nasze fabryki wagonów z przedsiębierstwa onego ciągną, zaopatrzywszy się w przyrządy do wyprawiania dużych sztuk drzewa i do drobniejszéj koło niego roboty. Wprowadzenie do warsztatów większéj niż dotąd liczby przyrządów mechanicznych wywołuje pytanie, czy fabryki zaopatrzone w wybór doskonałych narzędzi nie zabiją ostatecznie właściwego rękodzielnictwa i nie dadzą jeszcze większéj jak dotąd przewagi kapitałowi nad pracą.

Przewidywanie podobnego obrotu sprawy niepokoi ekonomistów, a mechanikom każe szukać silnika, któryby był dostępny dla warsztatów małego rozmiaru. Machinki parowe, choćby najmniejsze, są tutaj jeszcze za kosztowne i za silne, i próby odbywają się głównie nad motorami, poruszanemi siłą z eksplozyi przy spaleniu mieszaniny gazu oświetlającego z powietrzem atmosferyczném powstałéj; po mniéj więcéj nieudolnych próbach kwestya zdaje się być rozwiązaną, jeżeli maleńkie przyrządy wielkości takiéj jak samowar, służące na wystawie do wprowadzenia w ruch 10 sztuk maszyn do szycia, okażą się w dłuższém użyciu tak praktyczne jak są na próbie. Machinki te, zaprodukowane przez Mignona i Ronarta, działają bez hałasu, przerwanie roboty odbywa się za przyciśnięciem pedału, a konsumpcya gazu wcale w nich umiarkowana. Wystawca powiada, że maszynka jego, siły jednego człowieka, zużywa na godzinę gazu za 10 centimów, a ruch maszyny na $1/3$ konia, to jest pracujący za 4 ludzi, kosztować ma 25 centimów na godzinę. Niedale-

ko od téj miniaturowej maszynki z siłą kilku ludzi pracują innych konstrukcyj, ale tym samym motorem obsługiwane maszyny leżące Hugona i stojące Longena, siły połowy parowego konia, bo 57 kilogramów, a używające na godzinę metr sześcienny gazu. Maszynki te o ruchu spokojnym 1.000 franków kosztują. Przenosząc się przecież na grunt swojski, zaznaczyć musimy, że u nas dopiéro parę miast ma oświetlenie gazowe, a daléj, że gaz tutejszy o połowę jest od naszego tańszy, więc działanie machinek podobnych na warszawskim bruku drogo wypadnie.

Nieopodal od gazowych rozsiadły się motory wodne, używające wody z drugiéj ręki, to jest z rezerwoarów miejskich. Naturalnie, gdzie woda sprowadzona jest do miasta działaniem machiny parowéj, podobny motor nie może być ekonomicznym, chyba w warsztacie takim jak piekarski, lub w innym zakładzie używającym dużo wody na własną potrzebę, który to warsztat na odebraniu onéj wodzie siły spadkowéj nic nie traci. Tam przecież, gdzie woda kanałami z gór sąsiednich sprowadzona i gdzie ona w skutek tego jest tańsza, dla małych przemysłów i nie ciągle większéj potrzebujących siły, zalecićby można machinkę Poppa tłokową, działającą najlepiéj przy ciśnieniu 4 atmosfer wody, więc przy kolumnie 40 metrów wysokiéj. Maszynki téj konstrukcyi bardzo łatwo dają się regulować i im mniejszą robotę wykonywają, tém mniéj zużywają wody. Wydatek obliczony na cenę przeciętną wody w miastach większych Niemiec, z doliczeniem kosztów smarowania i amortyzacyi, wynosi przy nich 30 centów, czyli 40 groszy na siłę $^1/_{10}$ konia parowego przez godzin 12 pracującą.

Jest to praca robotnika dorosłego, o tyle wygodniéj podana, że robotnik mechaniczny nie próżnuje i nie odpoczywa, a jak w tym razie nie używa wcale silnika w chwilach nakazanéj mu bezczynności. Zanim jednak kiedyś, a może w niedalekiéj przyszłości, każdy szewc, stolarz, krawiec będzie mógł korzystać z motoru gazowego, z siły wodociągowemi lub powietrznemi rurami do mieszkania dostarczonéj, zanim później jeszcze elektryczność—płynny amonjak, albo dzisiejsze materyały wybuchowe, nitrogliceryna, nitrometalina, dynamit etc. odpowiednio zmodyfikowane dadzą tani a posłuszny motor—chcemy pomówić słów parę o innym a dawno znanym motorze, który bez zaprzeczenia najtańszym jest ze wszystkich—o wietrze. Motor ten, poruszający tysiące statków żaglowych i tysiące wiatraków, ma pewne swoje niedogodności, a mianowicie: jest kapryśny. Kaprysy te zamykają się przecież w pewnych granicach, określonych z góry rachunkiem prawdopodobieństwa, a prościéj mówiąc rezultatami doświadczenia, i mniéj znaczą na lądzie gdzie

idzie o to tylko byle wiatr mieć, niż na morzu kędy wiatr przeciwny zawadą nam jest a nie pomocą.

Widzimy téż, że młyny wietrzne w całym cywilizowanym egzystują świecie, a rezultaty przeciętnéj rocznéj pracy skrzydeł danéj powierzchni znajdzie łaskawy czytelnik w niejednym podręczniku, dla inżynierów—mechaników przeznaczonym. Porównywając jednak zyski materyalne młynarstwa parowego i wodnego z młynarstwem na wiatrakach prowadzoném, niejeden obserwator dochodzi do przekonania, że młyn parowy, płacący za zużytą siłę, daje przeciętnie lepsze rezultaty od wiatraków, mających motor darmy. Na podobny obrót rzeczy, któremu przeczyć nie myślimy, wpływają jedynie dwie okoliczności, a mianowicie: młyn wietrzny jako bądź co bądź zależny od kaprysu aury nie może ręczyć za terminowe wykończenie roboty, a daléj siła, jaką prądy powietrzne dać mogą, za małą jest by mogła zapracować na utrzymanie dostatnie rodziny młynarza, który tak samo pilnować musi jednéj pary kamieni na wiatraku jak dwóch lub trzech par w młynie wodnym i cały swój czas dozorowaniu ich poświęcać.

Inaczéj się jednak rzecz przedstawia, jeśli wiatrom polecamy robotę mniéj terminową i niepotrzebującą doglądania, np. pompowanie wody ze studni lub rowów. Boreasz i jego dzieci sprawiają się wtedy dobrze i niemałe napędzają zyski do kieszeni pomysłowego przedsiębiercy. Tak przynajmniéj powiadają Holendrzy, u których co krok można spotkać się z wiatraczkiem, pracującym nad osuszeniem lub nawodnieniem pola i łąki. Przy ciągłém zastosowaniu konstrukcyi wiatraków w onym kraju doprowadzono je do wysokiéj doskonałości tak na punkcie rozmiarów i kształtu skrzydeł, jako téż prostoty mechanizmu ruch przesełającego. Najprostsze z onych wiatraków mają skrzydła 4 tak jak nasze wiatraki zwyczajne i tak samo wypierzające się przez wyjęcie lub podniesienie deszczułek poprzecznych. Trochę lepsza konstrukcya ma łopatki gęstsze, osadzone promienisto na osi środkowéj. Inna znów forma skrzydeł przedstawia rodzaj ciągłéj prawie tarczy tak urządzonéj, że łopatki same się odpowiednio nastawiają pod wpływem wiatru i dają jednakową ilość pracy, czy wiatr mocniejszy jest czy słabszy; dodawszy do tego rodzaj steru umieszczonego prostopadle do osi a wykręcającego wiatrak pod wiatr bez pomocy ręki ludzkiéj, mieć będziemy przyrząd, który nastawiony funkcyonuje bez niczyjéj opieki, byle tylko od czasu do czasu tryby ruch przenoszące oczyścić i posmarować. Że przy nieprzerwanéj pracy, wynosić mogącéj przeciętnie 12 godzin na dobę, nawet maleńki wiatraczek siły $^1/_{10}$ konia parowe-

go dość wody i na znaczną wysokość podniesie, dowodzić tego nie potrzebuję.

Ponieważ jednak pomimo obecności takich wiatraczków na wszystkich kolejnych wystawach powszechnych, na wielu ekspozycyach specyalnych rolniczych, nie przyjęły się one w naszym kraju, i o ile wiemy jeden tylko Ciechocinek posiada, a przynajmniéj do niedawna posiadał dwa wiatraki podnoszące solankę na tężnie. Obojętność naszych rolników musi mieć swoje powody, a między niemi kładziemy na pierwszém miejscu konserwatyzm warszawskich składników maszyn, którzy nie probują wprowadzenia przytoczonych nowości, i warunki handlowe, sprawiające, że za każden przyrząd, kosztujący tutaj 500 franków, co przy bogactwie krajowém i cenach pieniędzy wcale niewielką jest sumą, reprezentującą np. cenę 12 korcy pszenicy, my musimy zapłacić rs. 300, czyli cenę 40 korcy. Jedynym tedy ratunkiem w tém jak w wielu podobnych razach byłoby sprowadzenie do kraju modelów jak najprostszéj konstrukcyi i wykonywanie ich w miejscowych fabrykach, a o ile się da u wiejskiego kowala i stelmacha. Tutejsze stosunki, pozwalające na częste wystawy prowincyonalne, uproszczają jeszcze i taką robotę, bo każdy rękodzielnik na prowincyi zamieszkały znajduje sposobność obznajmienia się z konstrukcyą świéżo do przemysłu wprowadzonych narzędzi i maszyn na podobnéj nieopodal jego mieszkania urządzonéj wystawie.

Ponieważ jednak radzić sobie trzeba w każdym wypadku, pytamy: dla czegoby Warszawskie Muzeum Przemysłowe nie miało od czasu do czasu ziemianinom i rzemieślnikom oddać podobnéj usługi sprowadzeniem modelu, obliczeniem kosztów jego wykonania na miejscu i podaniem do publicznéj wiadomości o dokonanym nabytku, która to forma przypominania o sobie ogółowi zachowana być winna dopóty, dopóki sale Muzeum nie zostaną dla zwiedzających otwarte urzędownie, a zwiedzający nie przekonają się z doświadczenia, że w lokalu Muzeum znaléść zawsze można jaką pożyteczną a praktyczną nowość. Zdaje się, że za sprowadzenie modelu wiatraczka swą wdzięczność okazaliby najpierwsi ogrodnicy z Mokotowa, Czystego, Woli i innych okolic Warszawy, którzy dziś niemałe ponoszą trudy i wydatki na podlewanie roślin okopowych i kwiatów w skwarne dni lata. Urządzenie rezerwoaru w samym ogrodzie i to odpowiednio wysoko, by rynnami wodę rozprowadzać można po kwaterach, nie jest wcale kosztowną rzeczą, a maleńki nawet wiatraczek napompowałby dziennie kilkadziesiąt beczek wody, jeśli zbiornik zrobimy dość duży, by za magazyn na czas ciszy atmosferycznéj służył.

Spodziewam się, że ten mój skromny projekt zostanie wysłuchany w sferach właściwych, przynajmniéj o ile to wiatraka się tyczy, i już na conto spodziewanéj taniości i lepszych urodzajów sałaty i innéj włoszczyzny wybieram się napisać kilka słów o użyteczności prasy... drukarskiéj p. Marignona wystawowéj, która, użyta do odbijania tutejszego kuryerka „Petit Journal,“ wytłacza go około 20 tysięcy egzemplarzy a to w przeciągu niewielu godzin.

Przyrząd jest tak urządzony, że papiér niecięty, tylko wprost z ról rozwijany, dostaje się między dwa walce, na których nawinięte są dwie strony dziennika, i w ten sposób jednocześnie z dwóch stron się zadrukowuje.

Naturalnie składanie czcionek odbywa się w sposób zwyczajny; dopiéro po skończeniu korekt zdejmuje się z kolumn odcisk steorotypowy, takowemu nadaje odpowiednią krzywiznę i z niego odlew w metalu otrzymuje. Obok niezmiernego pośpiechu w samym odbijaniu, sposób ów, stosowany z małemi zmianami w drukarniach poczytnych dzienników Ameryki, Francyi i Niemiec, ma jeszcze i tę korzyść, że daje druk wyraźny, czcionki bowiem nigdy nie są zbite. Obok onéj prasy funkcyonującéj ku uciesze widzów, ale bez użycia masy drukarskiéj, więc tylko na pokaz, ta sama firma mieściła prasy litograficzne do pospiesznéj roboty z zastosowaniem zarówno ręcznéj siły jak i transmissyj. Maszyny te tak do drukowania widoków i deseniów na tkaninach jako téż do zwyczajnéj na papiérze roboty we wszelkich formatach, a więc i cenach, przenajrozmaitszéj są konstrukcyi, od zwykłych, w których się ręką i walcem kolor nadaje, do skomplikowanych nader a służących do odbijania olejo druków i procentowych papiérów.

Użycie aparatów fotograficznych do otrzymania jak najwierniejszych kopij, podobizn, rysunków i deseni, oraz zastosowanie galwanoplastyki przy kopiowaniu powierzchni wypukłych stoi już na wyżynie sztuki i dużego użytku, zacząwszy od upowszechniających się w Warszawie, a w Paryżu i Wiedniu należycie już udoskonalonych sposobów trawienia kwasami rysunków, na cynku wykonanych, po uprzedniém przeniesieniu tegoż rysunku sposobem fotograficznym na ową płytę cynkową, odpowiednio spreparowaną, aż do zwykłéj fotodrukarskiéj roboty, przy któréj z kliszy na szkle pokrytéj odpowiedniemi chemikaliami kopiujemy sztychy, autografy, rysunki do artystycznego i technicznego użytku przy pomocy prasy litograficznéj i zwykłą wiecznietrwałą farbą drukarską i do fotografij węglowych niepełznących pod wpływem światła, wystawa posiada okazy wszystkiego gatunku robót światłodrukarskich, między któremi odznaczyć wypada przesyłkę Jaffego z Wiednia, złożoną tak z

klisz trawionych jako téż z odbić, światłodrukarskim sposobem dokonanych, między któremi wyróżnimy kopie koronek czarnych na tkaninie jedwabnéj czy lnianéj, tak dokładną, że do złudzenia pierwowzór naśladuje. Jako ogólną uwagę przypomniéć tu musimy okoliczność, że dotychczas fotografie, pod klisze do trawienia, zdejmowane być musiały z rysunków, czyli z drugiéj ręki, bo przy kopiowaniu z natury ginęły wszystkie półtony; obecnie tedy usiłowania fotografów—chemików zwrócone są do tego, by wynaléść preparat, któryby warstwę pokrywającą blachę cynkową na półtony wrażliwą uczynił.

Udoskonalenie galwanoplastyki doprowadziło już od lat wielu do taniéj produkcyi kopij z klisz drzeworytniczych, co naturalnie pozwala z jednego drzeworytu nieskończoną liczbę egzemplarzy drukować i dało możność rozpowszechnienia takich ilustracyj jak ilustracye Dorrego do Biblii. Galwanoplastyka dała również sposób do zaopatrzenia mniéj zasobnych muzeów numizmatycznych w nader wierne, i tylko *patyną* od oryginałów różniących się, kolekcye monet, pieczęci i medalów, a dzisiaj zajmują się głównie przygotowaniem kopij arcydzieł rzeźby i cyzelerstwa dawnego w różnych formatach, a po cenie przystępnéj. Jedną z najładniejszych kolekcyj galwanicznych na miedzi, żelazie i t. p. przedstawiły fabryki Christofla i Dafresna. Obok nich popisują się z galwanoplastyką instytucye państwowe fabrykacyj biletów kredytowych, zmuszone do stosowania téj sztuki przy produkcyi klisz do druku obiegowych znaków. Wielkiego rozmiaru kopie galwaniczne spotykamy głównie we francuskim i belgijskim oddziale, a stykające się z jednéj strony z odlewami w gipsie brązem pokrytemi, a czasem jak np. z fabryki Casinus de la Drome dokładnemi bardzo, a z drugiéj z kompozycyami artystycznéj i utylitarnéj natury, wykonanemi w cynku i tanich aljażach. Odlewy te cyzelowane bardzo dokładnie i doskonale, warstwą brązu powleczone, stanowią jeden z najważniejszych artykułów w dziale umeblowania, a w ogólnym ich tonie spotykać się daje powrót do polychromii, która dziś stała się modą niejako.

Z chwilą gdy archeologia z historyą sztuki za ręce się wziąwszy uczyć nas poczęły, że starzy Grecy kolumny swoich świątyń i szaty, a może i twarze posągów złotem i barwami pokrywali, że sklepienia katedr gotyckich także niebieską miały powłokę gwiazdami złotemi zasianą, że wreszcie brązowe nawet pomniki ulane były z dziwnym kunsztem z metalu różnych odcieni, artyści współcześni nam zaczęli próbować czy się nie da powrócić do owéj starogreckiéj maniery, mianowicie w kwestyi brązu różnych odcieni. Co się bowiem marmuru tycze, ten zostawiają jeszcze niepokalanym

farbą, a w razie potrzeby twarz z innego a draperya z innego kują się kamienia. Jak powiedzieliśmy, na wystawie spotkać można wiele objawów tego zwrotu, bądź w posągach, mających draperye ciemne oliwkowe, a twarze jaśniejsze i odwrotnie, bądź wreszcie w rozwielmożnieniu się ceramiki, któréj chcąc się przypatrzéć, rzućmy okiem na kafle różnokolorowe, arabeskami i widokami pokryte. Zastosowanie tego rodzaju płyt w architekturze na tak szeroką skalę jakiéj używali Arabowie w Sycylii widzimy na gmachach i aneksach wystawy mających odrzwia z kafli rysunkami pokrytych, kaflowe posadzki wzorzyste i kaflowe krajobrazy w ścianę wprawione, z fabryki np. Boulengera lub Vicilarda. Dodawszy do tego kominki z kafli i podobneż stoliki i stołeczki, mieć możemy cały pokój gliną wyłożony i ubrany, bo naturalnie i wspominać nie potrzebuję o roli, jaką terracotta w nowoczesnéj rzeźbie odgrywa. Od téj więc artystycznéj wycieczki, w któréj mi się imiona Fibijasza, Delta, Rolia i Pallizego przy ceramice pod pióro cisnęły, wracam między maszyny, a mianowicie do salonu dróg żelaznych.

Kompanie i fabryki z całego świata, ale głównie belgijskie, i francuskie, wystąpiły tu dość zasobnie i naturalnie ku powszechnemu zadowolnieniu. Amerykanie przyzwyczajeni do długich, ale wygodnych podróży, cieszą się wagonem sypialnym, przedstawionym w modelu, a przeznaczonym na drogę żelazną między oceanami Atlantyckim i Spokojnym. Wagon ten niezmiernéj długości ma osie ruchome i 6 par kół, z których trzy pary na jednym a trzy pary na drugim umieszczono końcu. Urządzenie takie pozwoliło zbudować ruchomy hotel o kilkudziesięciu łóżkach z tualetą i innemi wygodami; podróżnych zabezpiecza on o ile możności od nieprzyjemnego trzęsienia, jakie siedzący nad kołami wagonu najwięcéj uczuwają. System zaś osi ruchomych zabezpiecza od wykolejenia na łukach, któreby z pewnością na pierwszym zakręcie nastąpiło, gdybyśmy wagon takiéj długości na zwykłych nieruchomych osiach osadzić chcieli. Na pociechę innych podróżnych kompania drogi północnéj francuskiéj wystawiła przyrząd pneumatyczny do automatycznego dawania alarmu i hamowania wagonów za najmniejszém niebezpieczeństwem, które się nieregularnością w biegu, odczepieniem wagonu i t. p. wypadkiem zapowiada. Drogi austryackie okolic górzystych prezentują się znowu z lokomotywą niewielką i do powolnéj jazdy przeznaczoną, a mogącą chodzić po łukach nader małych, bo o promieniu 150 metrowém, a za to po nader wielkich spadkach, dochodzących do 10 na 100, to jest trzy razy większych jak spadki zachowywane na średnio dobrych drogach bitych. Naturalnie przy spadkach jeszcze większych, np. na drodze przez górę Cenis lub na

wierzchołek Rigi prowadzącéj, używają się lokomotywy specyalnéj konstrukcyi, i droga inaczéj się buduje. Szwajcarska fabryka w Oran wystawiła właśnie taką lokomotywę i położyła kilka metrów szyn, po których owa lokomotywa chodzi. Droga owa ma po bokach szyny zwykłe, a środkiem pas żelazny jak maglownica wyglądający, to jest powycinany w zęby prostopadłe do podstawy, którą jest na podkładach osadzony. Lokomotywa znowu w środku samym pod spodem osadzone ma ruchome koło zębate o szerokim kręgu, które to koło palcami chwyta zęby środkowego pasa szyn i w ten sposób lokomotywę i przyczepione do niéj wagony pod górę ciągnie. Taż sama firma wystawiła obok lokomotywę drożną, do obsługi tramwayów przeznaczoną, co da nam sposobność powiedzenia słów paru o kolejowych omnibusach na wystawie sprezentowanych. Omnibusy te różnią się od używanych w Warszawie lżejszą konstrukcyą i to nie tylko przy belgijskich omnibusach jednokonnych, ale i przy paryskich na 40 osób przeznaczonych.

Te ostatnie, z siedzeniami na wierzchu, zbudowane są w sposób taki, że omnibus zawraca na stacyi na odpowiednio urządzonéj zwrotnicy, bardzo prostéj konstrukcyi. Przy takim zwrocie nie trzeba żadnéj ubocznéj pomocy, i woźnica sam wjeżdża na szyny ułożone po okręgu koła w dwie linie tak, że przy zakręcie tylne koła ich idą po innéj parze szyn a przednie po innéj. Tego rodzaju urządzenie pozwoliło na zbudowanie wygodnych schodów, po których nawet kobiéty swobodnie się na wierzch omnibusu dostają. Największą ilość omnibusów wystawionych, obsługiwanych jest przez konie, są jednak i okazy motorów parowych oraz motoru atmosferycznego. Motory te parowe rozpadają się na dwa działy i są albo zwykłą lokomobilą. albo téż mechanizmem poruszającym; a mianowicie cylindrem z transmissyą, ale bez kotła, którego miejsce zastępuje skrzynia stalowa z przegrzaną wodą, mającą temperaturę około 180 stopni, która to woda w parę się potrochu zamienia i cieplik swój na pracę poruszającą koła przetwarza.

Motor atmosferyczny tak samo jest urządzony, z tą zmianą, że zamiast skrzyni z wrzącą wodą omnibus na stacyi zabiéra skrzynię ze zgęszczoném powietrzem. Ze względu przecież na ciągłe ulepszenia w konstrukcyi lokomobil, na ogniska zupełnie dym pochłaniające, dziś przy nich stosowane, wątpić wypada by motor pneumatyczny i z przegrzaną parą zdołały wytrzymać konkurencyą ze zwykłą lokomobilą, która także niewielkiéj wymaga obsługi a pozwala stacye same urządzić takie jakie dla konnych omnibusów, to jest bez żadnych specyalnych zabudowań, maszyn i obsługi. Od lokomotyw miniaturowych, do ciągnienia omnibusów przeznaczonych,

przejdziemy wreszcie do małych maszynek parowych, przeznaczonych na usługę strażom ogniowym.

Specyalność konstrukcyi sikawek parowych głównie na tém zależy, że kiedy w lokomobilach idzie o oszczędność opału, w sikawkach głównie ma się na uwadze szybkość, z jaką wodę w kotle zagotować i parę wytworzyć można. Sikawek tych i w ogóle sikawek (a między niemi i Troecerowskie z Warszawy wcale pokaźne trzymają miejsce) wystawiono dwie. Postęp widoczny przy parowych w urządzeniu ogniska, a we wszystkich—w zredukowaniu rozmiarów sikawki i zaopatrzeniu jéj w przyrządy dodatkowe, jak rękawy do przenoszenia działania w punkta odległe i do czerpania wody z sadzawek i studni. O wiele nowiéj prezentują się drabiny, sięgające do 4 i 5 piętra, rozsuwane i mieszczące się na małym dwu lub czterokołowym wozie, który i w najciaśniejszą uliczkę da się wprowadzić. Drabiny takie z drzewa i prętów żelaznych wystawili między innemi Portas z Medyolanu, a firma brukselska Valania, która przysłała składające się jak parawan rusztowanie z pomostami, arkadę ruchomą na szczycie umieszczoną do ratowania ludzi i wszelkiego rodzaju ruchomości zagrożonych pożarem służącą. Ta sama firma produkuje się z piecem cukierniczym przenośnym. Piec ten żelazny gazem ogrzewany, a ciasto i wyrosnąć i upiec się w niém może. Nowość ta, o ile się zdaje, będzie praktyczna dla zakładów, które w pewne dni roku znacznie swą produkcyą powiększyć potrzebuję, a nawet dla bufetów dróg żelaznych i t. p.

Zarządy dróg żelaznych, wydające znaczne sumy na oświetlenie warsztatów, remiz i peronów, mogłyby teraz zwrócić uwagę na oświetlenie elektryczne, które z dziedziny teoryj i doświadczeń weszło obecnie na drogę praktycznego zastosowania, a to dzięki nowym maszynom elektrycznym, które przy pomocy pary dostarczają żądane i ciągle jedne ilości płynu elektrycznego. Machinę podobną Grama widzieliśmy na wystawie: zbudowano ją do obsługiwania latarni morskiéj i do użytków wojennych. Mieści się ona na niewielkim wozie i może być w ruch wprawiona przez lokomobilę, albo siłę ludzkich ramion. Maszynka ta, wagi 1.000 kilogramów, wytwarza światła tyle co 2.500 lamp olejnych zwykłych lub naftowych. W fabrykach i zakładach, posługujących się siłą pary, do innych użytków oświetlenie elektryczne mogłoby być o połowę taniéj produkowane, a w każdym razie wypada ono ekonomiczniéj niż oświetlenie gazowe. Jednym z powodów małego rozpowszechnienia onego oświetlenia była dotychczas jego własność nierozpraszania się, w skutek czego tylko na zupełnie pustych przestrzeniach słońca elektryczne funkcyonowały dobrze, w miejscowościach zaś pozastawianych drze-

wami, budynkami i t. p. mieliśmy obok siebie przestwory mocno oświetlone i prawie zupełnie ciemne, co naturalnie nie było wygodną rzeczą. Dzisiaj, przy zastosowaniu kloszów ze szkła mlecznego, światło rozprasza się doskonale i po wprowadzaniu ulepszeń, pozwalających otrzymywać światło jednakowego natężenia przez wiele godzin z rzędu, kwestya jest ostatecznie załatwioną. To też nietylko teatra, które dotychczas używały przy elektrycznych oświetlaniach niezmiernéj ilości stosów (opera Wielka Paryska miała ich 4.000), przychodzą obecnie do produkcyi elektryczności na drodze mechanicznéj, nietylko Magazyny Luwru i kilka dziedzińców hotelowych oświecono elektrycznością, ale zarząd miejski plac przed teatrem Francuskim i ulicę ztamtąd do opery prowadzącą zaopatrzył w różnéj konstrukcyj latarnie, i takowe elektrycznością co wieczór od paru tygodni oświeca. Latarnie nowe stoją trzy razy rzadziéj jak kandelabry gazowe, ponieważ zaś słupy do gazowego oświetlenia dźwigały po parę i kilkanaście beków, wypada przeciętnie, że jeden płomień elektrycznego światła zastępuje 10 płomieni gazowych. Światło samo jest białe, zupełnie nierażące wzroku, a dobry gaz paryski wygląda przy niém żółto i mizernie. Na placu zaś całém i na trotuarach literalnie czytać można (Druty od fabryki pomieszczonéj zdaje się w Luwrze idą w ziemi tuż pod powierzchnią, a zamknięte są, po opatrzeniu koloryjną warstwą, w ołowianéj rurce cienkiéj, jak te które się do dzwonków pneumatycznych używa). O ile wiemy, kapitał towarzystwa „do oświetlania elektrycznego" wynosi już 7 milionów franków, a inżynierowie kompanii starają się nowe aparata wprowadzić do fabryk tych, w których, w jednéj sali, wielka ilość robotnika pracuje. Gdyby nawet na początek, i póki wynalazcom służy przywiléj, samo światło wypadało przeciętnie po tych cenach co gaz lub nafta, oszczędność będzie duża, a mianowicie na obsłudze, lampach i następnie na składce ogniowéj, boć wprowadzenie oświetlenia elektrycznego znakomicie zmniejsza szanse pożaru. U nas najprzód mogłyby z onéj nowości skorzystać cukrownie, gdyby były tak urządzone jak tutejsze, w których cały mechanizm do przeróbki 6—10 tysięcy korcy buraków na dobę mieści się niejednokrotnie w jednéj olbrzymiéj z muru, szkła i żelaza zbudowanéj szopie.

Mimo podobnych racyonalnych oszczędności, pozwalających na łatwy i tani nadzór, przemysłowcy tutejsi trzymają się przysłowia: strzeżonego pan Bóg strzeże, i na wielką skalę zaopatrują się w ekstynktory, których i na wystawie co niemiara, od małych 8 garcowych do przenoszenia na plecach do wielkich obejmujących 25 lub 30 garncy, które na dwukołowych wózkach się przewożą. Ekstynktory

te po większéj części jednego typu składają się z walca blaszanego, opatrzonego w dolnéj części w kran z rękawem i wylotem, a w górnéj w otwór, przez który się ekstynktor wodą nasyconą dwuwęglanem sody napełnia. Po nabiciu, w otwór ów wstawia się flaszkę z kwasem siarczanym, umieszczoną w rodzaju klatki, która to klatka przytwierdzona jest do czopa. Czop ten na gwintach zatyka szczelnie otwór i ma przez środek rodzaj stempla; za naciśnięciem stempel uderza we flaszkę, tłucze takową i uwalnia kwas, a ten wylewając się do wody rozkłada dwuwęglan i wytwarza w małym ekstynktorze paręset gramów kwasu węglowego, cisnącego na powierzchnię wody w ten sposób, jak gaz węglany w zwykłym syfonie do wody sodowéj na tęż wodę ciśnie. Ekstynktory powyższéj konstrukcyi dadzą się prędko nabijać ponownie po zużyciu całéj zawartości, a z drugiéj strony mogą być ciągle gotowe i dosyć jest uderzyć w guzik metalowy, który z czopa wystaje, by ekstynktor mógł funkcyonować. Dla ostrzeżenia znów o niebezpieczeństwie i pokazaniu się ognia, wymyślono liczne przyrządy, któremi wystawę obesłano. Do najpraktyczniejszych liczymy przyrząd z mechanizmem sprężynowym i dzwonem, tak urządzonych, że sprężynę wstrzymuje od działania rodzaj jakby zasówki parafinowéj, która za podniesieniem się temperatury topnieje i sprężynę uwalnia.

Przejdziemy na chwilę do pawilonów specyalnych, położonych po lewéj stronie wystawowego gmachu. W pawilonach tych spotkaliśmy pługi Jana Cichowskiego z Linowa, Młocarnię Lilpopa, Żniwiarki téjże firmy i żniwiarkę fabryki Szolcego, całą odpolerowaną i osadzoną w niemalowanym drzewie. Obok stoi wapno hydrauliczne Jarockiego i przesełka marmurów kieleckich, złożona z 6-ciu blatów na stoły, pochodzących z łomów Szewce, Zelejów, Bolechowice i z kilku mniejszych kawałków innych gatunków marmuru. W innym anneksie umieszczono model szkoły elementarnéj, pomysłu Balita, w któréj to szkole każdy uczeń siedzi osobno na bardzo wygodnéj i do wzrostu jego zastosowanéj ławce, a wszyscy mają przed oczyma doskonałe pomoce naukowe w formie kart geograficznych, rysunków, modeli etc. na ścianach porozwieszanych.

Że o modele wszystkiego co kto zapragnie i to do złudzenia naśladujące naturę nietrudno tutaj, przyzna każdy, kto w sekcyi francuskiéj obejrzał np. witrynę Halego, dostawcy teatrów paryskich, prezentującego się z bronią, sprzętami wyrobionemi z papier—carton, czyli jak my nazywamy z masy papiérowéj. Między innemi pan Halée pokazuje serwis stołowy z papiéru rzeczywiście, naśladujący do złudzenia fajans. Modele one przywodzą mi pod pióro modele innego rodzaju, a mianowicie preparaty anatomiczne do okazywa-

nia na lekcyi przeznaczone. Preparaty te także z papiéru lub wosku robione spotkały od lat kilkunastu niebezpieczne współzawodnictwo w preparatach naturalnych, przygotowanych przez włoskiego anatoma D-ra Marmi. Okazy przez tegoż nadesłane, te same, które widzieliśmy już na wystawach z r. 1867 i 1873, składają się z kolekcyj nóg, rąk i innych części ludzkiego ciała, skamieniałych niejako i zachowujących kolor i formy naturalne, pomimo wpływów czasu i atmosfery. Kolekcya, którą p. M. przedstawia, wykonaną została w r. 1862, a wygląda jakby przed godziną była spreparowaną. Na metodę oną balsamowania, która się wedle zapewnienia wystawców i do całych zwłok da zastosować, zwracamy uwagę panów lekarzy, bo jak doświadczenie uczy, wszystkie inne sposoby balsamowania nie wiele są warte, a pomysł Marmiego i we Włoszech spotyka niechętnych mu rutynistów, kiedy po śmierci Wiktora Emanuela wzięto się do metody skamieniania wtedy dopiéro, gdy inne przeciwny dały skutek.

Komisya sędziów rozpoczęła czynności swe z dniem 1 Czerwca. Komisya ta, ze względu na nawał roboty, nie będzie podobno w stanie skończyć oględzin przed 15 Sierpnia. Więc nagrody, które w r. 1867 rozdane były dnia 4 Lipca, teraz nie będą wcześniéj ogłoszone jak w ostatnich dniach Sierpnia. Podobne opóźnienie ma pewne niedogodności dla zwiedzających wystawę, którzy, oddzieleni od okazów szkłem szaf i gablotek, o dobroci pokazywanych im produktów sądzić mogą jedynie z oceny, jaką o nich przysięgli wydali, i dla samych wystawców, zmuszonych do chwili sądu ciągle być pod bronią i pilnować swoich przesyłek, co się w żadnym razie bez dużego wydatku w czasie i piéniądzach obejść nie może. Naturalnie owych konjunktur o terminie rozdania nagród, których rodzaje i stopnie jeszcze ogółowi niewiadome, nie podaję za rzecz niezawodną, bo przy zdwojonéj energii i mniéj częstych obiadach a przyjęciach dla różnych wystawowych komisyj, możnaby pospieszyć z robotą, ale zapewnić mogę, że są oparte na objaśnieniach u dobrego zaczerpniętych źródła.

Wacław Holewiński.

O NAJNOWSZYCH ZMIANACH

W PRAWODAWSTWIE KARNÉM W ROSSYI.

Czasowe ograniczenie jurysdykcyi sądu przysięgłych.

Ustawy sądowe z d. 20 Listopada (2 Grudnia) 1864 wprowadzone zostały w wykonanie częściowo, stopniami, powoli, ze znacznemi w wielu miejscach modyfikacyami w kraju zakaukazkim, w guberniach królestwa polskiego. Dotychczas jeszcze wielkie przestworza, skrajna północ, wschód europejskiéj Rossyi, cała rosyjska Azya, za wyłączeniem krainy leżącéj za Kaukazem, i cała zachodnia strefa państwa nie są reformą objęte; wprawdzie gdzie niegdzie wprowadzono sędziów pokoju, ale obok nich funkcyonują zwyczajne sądy dawnego autoramentu. Nowa więc organizacya sądowa dotąd, po latach 12, nie doszła jeograficznie do swojéj mety, a już w prawodawstwie uwydatniła się potrzeba znacznych i bardzo stanowczych zmian głównie w porządku karnym, a szczególnie w punktach najbliższego zetknięcia się prawa karnego z publicznem. Mechanizm karny okazał się w ogóle zbyt mało represyjnym, jak wnioskować należy z zaszłych modyfikacyj i to głównie w poskramnianiu przestępstw mających za przedmiot sam rząd, to jest politycznych, albo téż nawet i zwyczajnych, lecz wymierzonych przeciwko urzędom, albo urzędnikom. Dwie w swoim czasie głośne sprawy oddziałały na ustrój sądów rozpoznających oba rodzaje przestępstw: sprawa rozgałęzionych towarzystw komunistycznych, głównie w Moskwie i Petersburgu, tak zwana *nieczajewowska*, sądzona w 1871 w Izbie Sądowéj petersburskiéj, i zamach na życie Naczelni-

ka miasta Petersburga, sądzony 31 Marca st. st. roku bieżącego w Sądzie Okręgowym petersburgskim. Obiedwie sprawy pociągnęły już za sobą cały szereg prawodawczych swych następstw. Środki prawodawcze wywołane przez pierwszą sprawę nie wytrzymały próby praktyki, i w Najwyższym ukazie z d. 9 (21) Maja roku b. widzimy powrót, przynajmniéj częściowy, do pierwotnego objętego ustawą porządku i trybu postępowania. Druga sprawa wywołała daleko głębiéj sięgające modyfikacye, zapowiedziane wprawdzie jako czasowe, ale na czas nieoznaczony, mianowicie ograniczenie bardzo ważne w zakresie działalności sądu przysięgłych.

Wielkie wątpliwości towarzyszyły wprowadzeniu do Rossyi téj egzotycznéj instytucyi: spierano się o to czy dla zaszczepienia onéj stnieje rola dostatecznie przygotowana. Redaktorowie ustaw mieli przed sobą grunt splantowany, *tabulam rasam*, zapożyczali się u zachodniéj Europy, brali w całości gotowe części składowe nowego ustroju, projektowali reformę skrojoną na wyrost, sięgali do źródła i zapatrywali się przy kształtowaniu instytucyi raczéj na pierwowzór angielski, niż na francuską jego przeróbkę. Praktyka sądowa poszła odrazu i starowczo w tymże kierunku, obronie dano wszystkie rękojmie, nietylko wzbroniono wymuszać z oskarżonego przyznanie się do winy, za pomocą podchwytliwych pytań, a nawet o niém wspominać, jeżeli było zrobione przy śledztwie początkowém; dochodzić prawdy kazano nie z przyznań się, ale głównie z okoliczności sprawy, przez indukcyą, krytycznie. Piękne, ludzkie, szlachetne strony instytucyi zostały wnet pojęte, ocenione i opłaciły się szybkiém jéj przyjęciem, popularnością, niesłychaném powodzeniem. Głośny chór pochwał, pełnych uniesień, tłumił pojedyncze zarzuty; całe pokolenie urzędników sądowych nowego autoramentu przejęło się tą wiarą, że w *budowie* sądowéj instytucya przysięgłych jest kamieniem węgielnym; postępowania przed przysięgłymi stanowiło prototyp, do którego stosowały się i na wzór którego urabiały się wszystkie tryby postępowania w sprawach rozpoznawanych bez przysięgłych, oraz w miejscowościach, w których ta instytucya nie została wprowadzoną. Dziś okres bezwzględnych zachwytów przeminął, nastał drugi—krytyczny: instytucya przechodzi przez próby życia, zdania się dwoją. Jeżeli znaczna część spraw podsądnych przysięgłym została im odjętą (wprawdzie czasowo), są jeszcze inne, które z pod ich jurysdykcyi mogą być bardzo łatwo usunięte, naprzykład przestępstwa urzędników przeciwko obowiązkom służby rządowéj, popełniane przez nich przywłaszczania grosza publicznego. Jeżeli przypuścimy, że nastąpi jeszcze, o czém była nie raz mowa, oddanie sądom pokoju niektórych przestępstw zwyczajnych,

naprzykład niektórych gatunków kradzieży kwalifikowanéj (tj. z okolicznościami obciążającemi) a głównie kradzieży z włamaniem się, zakres działalności przysięgłych zmaleje do niepoznania. W obec tych bardzo możebnych przypuszczeń, nie od rzeczy będzie wejrzéć w prawodawcze motywa obydwóch nowych ustaw z dnia 9 (21) Maja roku bieżącego. Pod jedną datą stojące nowelle zostają z sobą w najściślejszym związku i mają ogromną doniosłość. Zastanówmy się nad każdą z nich z osobna, a najprzód nad tą, która ma za przedmiot przestępstwa polityczne.

Dla wielkich zbrodni stanu istnieje wedle ustawy procedury karnéj najwyższy sąd karny (Werchownyj ugoł. sud), nadzwyczajna komisya ad hoc z najwyższych dygnitarzy, z prezydujących w departamentach Rady Państwa i kasacyjnego departamentu Senatu (art. 1062—1065 u. p. k.) Prezyduje w tym sądzie prezes Rady Państwa, śledztwo początkowe prowadzi Senator a oskarża Minister Sprawiedliwości. Sąd ten raz jeden tylko funkcyonował w sprawie zamachu usiłowanego 4 (16) Kwietnia 1866 r. Przestępstwa polityczne mniejszéj wagi i doniosłości miały być sądzone przez departamenty kryminalne Izb Sądowych w składzie powiększonym, w którym obok prawników techników członków stałych, przez rząd mianowanych, zasiadali przybrani miejscowi przedstawiciele stanów, marszałkowie szlachty, gubernialny i jeden z powiatowych, miejscowy burmistrz i jeden z przełożonych gmin wiejskich (wołostnyj starszyna). Przedstawiciele stanów zastępowali w tym razie żywioły społeczne, które w sprawach karnych zwyczajnych uczestniczą w sądzeniu bezpośrednio jako kolegium przysięgłych i wyrzekają stanowczo o istnieniu winy. W wyrokowaniu nie było ścisłego rozgraniczenia pomiędzy kwestyą winy a kwestyą prawa; w obu kwestyach udział sędziów koronnych i udział przedstawicieli stanów był równy i jednaki. Po śledztwie początkowém, prowadzoném przez członka Izby Sądowéj, główna rozprawa odbywać się powinna publicznie, jawnie, ze wszystkiemi rękojmiami, które służą obronie w sprawach karnych zwyczajnych. Tak się zdarzyło, że ze wszystkich Izb Sądowych funkcyonowała w osobnym składzie w sprawach politycznych jedna tylko petersburgska i że wyrokować jéj wypadło w sprawie tak zwanéj Nieczajewa, poczynającéj długi szereg innych, do niéj jak dwie krople podobnych i, skutkiem podobieństwa, spowszedniałych a stanowiących coraz to nowe okazy na poły politycznéj, na poły komunistycznéj propagandy, grasującéj na dość szeroką skalę w społeczeństwie szczególniéj pomiędzy młodzieżą. Dziś, gdyśmy z takiemi procesami więcéj ostrzelani, ogólne wrażenie przez owę sprawę wywarte byłoby zapewne nieco odmienne. Roz-

powszechnienie zjawiska w następnych czasach wskazało na głębsze jego przyczyny, dla usunięcia których nie wystarczą same środki karne, a konieczność każe próbować innych, uprzedzających. Dzikie teorye, zawracające całą społeczność ku barbarzyństwu, łatwo przejmowane przez głowy niedojrzałe, negacya własności i małżeństwa, pomiędzy mnóstwem niewydatnych komparsów jeden zuchwały szaleniec, popełniający czyn niecny zdradliwego mordu przez prywatę na koledze, którego wpływu się obawiał, łatwowierni Seidzi, maczający ręce w téj krwi z przekonaniem, że działają pro publico bono—takie mniéj więcéj odsłaniały się przed sądem widoki. Herszt umknął zagranicę, sąd ukarał przykładnie głównych jego spólników, ale że był pobłażliwy dla podrzędnych, że dał obronie możność przejść nawet w rekryminacye zaczepne, że w początkach nowego sądownictwa daleko mniéj niż dzisiaj uwzględniano regułę: *audiatur et altera pars*; stąd wynikło w ogólnym rezultacie sprawy i wyroku przerobienie instytucyi w drodze prawodawczéj. Uznano, że Izba Sądowa, w sprawach tak mocno obchodzących społeczeństwo, za mało ma powagi, za słabo broni kardynalne podwaliny społeczeństwa zanadto może jest wystawioną na podmuchy *aurae popularis* niezdrowe częstokroć wpływy otoczenia, reprezentowane przez gazety. Prawo z d. 7 (19) Czerwca 1872 r. ustanowiło dla przestępstw politycznych pomniejszych w całéj Rosyi sąd nowy—wydział szczególny Rządzącego Senatu (osoboje prysutstwije) w składzie mieszanym z przedstawicielami stanów. Pięciu członków i szóstego prezesa, wyznaczał z listy Senatorów ukaz Cesarski na każdy rok następny; tymże porządkiem powoływani byli na rok przedstawiciele stanów, wybrani z pomiędzy wszystkich marszałków i burmistrzów Rossyi i z przełożonych gmin wiejskich (wołostnyj starszyna) w gubernii petersburgskiéj. Osobnym artykułem (27) zastrzeżono, że od uznania sądu zależy jawność postępowania sądowego w każdéj sprawie, albo téż prowadzenie jéj przy drzwiach zamkniętych (1). Sześć lat ubiegło od ogłoszenia nowego prawa; z biegiem czasu rosła nietyle liczba spraw sądzonych ile ich objętość. Propaganda komunistyczna lat ostatnich prawie wcale nie odmieniła się ani w pojęciach, ani w środkach działania, ani nawet w literaturze, lecz była coraz

(1) Wyroki tego wydziału nie mogły być zaskarżone w drodze kasacyi z powodu pogwałcenia form i obrzędów postępowania.

bardziéj jeograficznie rozrzucona, a ponieważ trybunał był na całą Rossyę jeden, więc stąd wynikał naturalny popęd do podciągania pod jedno oskarżenie wiele jednocześnie działających grup, podawano je jako rozgałęzienia jednéj i téjże, wedle *a priori* powziętego planu osnutéj organizacyi. Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że gdyby pojedyncze grupy sądzono na miejscu, w krótkim czasie po ich wykryciu, gdyby badano świadków na miejscu, represya kryminalna byłaby w bardzo znacznym stopniu skuteczniejszą.

Wcale innemi okazały się warunki, w których wydział szczególny miał wymierzać sprawiedliwość. Trzy, cztery lata trwały olbrzymie śledztwa na obszarze kilkudziesięciu gubernij; wypadło sprawdzać czyny dawno zaszłe, które się pozacierały w pamięci świadków, większa część świadków uchyliła się od stawania na sądzie, korzystając z przepisu w drugim punkcie art. 643 u. pr. k., mocą którego nie jest obowiązany do stawienia się świadek zamieszkały w innym okręgu sądowym; oskarżeni cofnęli przyznania uczynione przy śledztwie, skarżyli się przytém na kilkoletnie pozbawienie wolności, które cierpieli w oczekiwaniu sądu.

Rozpoznanie każdéj sprawy zaczęło się przeciągać od dwóch tygodni, do dwóch, a nakoniec do czterech miesięcy. Wytrzymałość najpilniejszego sądu ma pewne granice, i żadna pamięć ludzka nie zdoła rozróżnić dokładnie winy 196 sądzonych jednocześnie i jednym wyrokiem objętych osób (tak znaczną była liczba oskarżonych w ostatniéj sprawie politycznéj). Iść daléj w tym kierunku nie było możności, zmiana była konieczną; zmiana ta została dokonaną przez nowe prawo z dnia 9 (21) Maja r. b. Wydział szczególny Senatu pozostaje nadal sądem właściwym dla spraw wyjątkowych, które będą mu specyalnie ukazem Cesarskim przekazane. W braku takiego ukazu, w zwyczajnym trybie postępowania, pomniejszéj wagi sprawy polityczne sądzić będą Izby Sądowe w zwiększonym składzie z przybranymi miejscowymi przedstawicielami stanów i z odwołaniem się od wyroku w drodze kasacyi do kasacyjnego Departamentu Senatu nietylko z racyi niewłaściwie zastosowanéj ustawy karnéj ale téż i z racyi pogwałconych form postępowania. Przedstawiciele stanów nie będą powoływanymi na pewien okres czasu mężami zaufania, lecz mają się zmieniać po kolei, według spisów, komunikowanych Izbie Sądowéj przez sporządzających je gubernatorów tych gubernij, które mieszczą się w okręgu téjże Izby. Izba Sądowa może przenosić swoje posiedzenia do każdego z miast swojego okręgu wedle potrzeby (art. 7), może więc je odbywać po za obrębem ludnych ognisk, w których sięześrodkowują przemysł, handel i wielkie zakłady naukowe, gdzie zbierają się do sądu na ciekawe wido-

wisko tłumy publiczności, gdzie wpływ téj roznamiętnionéj masy i głosy organów prasy mogłyby wywierać pewien nacisk na opinią publiczną. Zejście z toru wytkniętego prawem z d. 7 (19) Czerwca 1872 r. i powrót do pierwotnych zasad ustawy procedury karnéj jest niezaprzeczenie odmianą na lepsze i doprowadzi bez wątpienia do prędszego wymiaru sprawiedliwości. Zdaje się, że ten wymiar byłby jeszcze skuteczniejszy, gdyby porobiono pewne odpowiednie odmiany w samém prawie karném, w kodeksie z roku 1845, który całkiem już nie pasuje do nowych warunków życia publicznego i nie nadał się dla sądów, wyrokujących wedle wewnętrznego przekonania, nie zaś wedle sztucznéj teoryi dowodów. Kary główne, wyznaczone w kodeksie przeciwko wszelkim rozpowszechniaczom pism i druków, podważających porządek prawny (art. 251 i 252), zbyt są ostre i surowe i wystawić mogą na ciężką próbę sędziów, zwłaszcza ze względu na młody wiek większéj części zapaleńców i na to, że z wiekiem przyjdzie większa dojrzałość i upamiętanie się. Z karami za przestępstwa, będące objawami nie czynu zbrodniczego, ale jeno błędnéj oderwanéj idei, rzecz się ma zwykle jak z taryfą celną w kierunku zakazowym ułożoną: zbyt wysoka taryfa wprawia w drzémkę przemysł krajowy i trzeba jéj zniżenia, by ten przemysł przebudzony wytężył swoje siły dla wytrzymania spółzawodnictwa z wyrobami zagranicznemi. Przeciwko ludziom, odrzucającym teoretycznie nie tylko władzę, ale małżeństwo i własność, wykształcone społeczeństwo powinno stawić opór przez sam instynkt zachowawczy, lecz wystąpieniom do walki opinii publicznéj i prasy stoi na zawadzie wzgląd na zbyt wielką surowość kary i na niemożebność prowadzenia otwartéj dyskusyi w granicach oderwanéj idei.

Atrybucye Izb Sądowych, bardzo już znaczne, wedle prawa z d. 9 (21) Maja, rozszerzają się jeszcze bardziéj w skutek drugiego prawa z téjże daty 9 (21) Maja, mocą którego temuż sądowi w tymże zwiększonym składzie podlegać mają czasowo wszystkie przestępstwa, objęte w rozdziałach (gławy) pierwszym, drugim i piątym części 4-éj kodeksu karnego oraz w art. 395 tegoż kodeksu (według wydania 1866 r.) i pociągające utratę lub ograniczenie praw stanu, a zatém: opór przeciwko władzom i urzędom, pojedyńczo lub zbiorowo okazany, wszelka do tego oporu podnieta, znieważenie czynem władz, urzędników, wyłamanie się gwałtowne z więzienia, uprowadzenie uwięzionych, targnienie się podwładnego urzędnika czynem na swego zwierzchnika; prócz tego zabójstwo, dokonane lub usiłowane, gwałt, kalectwo i rany zadane, albo nakoniec groźby wymierzone przeciwko urzędnikom podczas gdy pełnili, albo z racyi

że pełnili swe służbowe obowiązki (art. 1545 i nast. 1449—1492 wyd. 1866 r.). Ten przyrost atrybucyi nastąpił skutkiem zdyskredytowania sądu przysięgłych. Sądowi przysięgłych miano oddawna, za złe, że nie dość skutecznie broni interesów rządowych i państwowych, że zbyt jest pochopnym do uniewinniania oporu włościan w opłaceniu podatków, tak zwanych buntów włościańskich i starcia się prywatnych osób z policyą. Wyrok z d. 31 Marca (12 Kwietnia) r. b. przepełnił miarę. Sądzono czyn, wedle prawa karygodny niezaprzeczenie dokonany, sądzono winowajczynię w stanie zupełnéj poczytalności będącą, przyznającą że działała rozmyślnie, tłómaczącą logicznie cele dalsze swojego zamiaru, chęć podniesienia pewnéj drażliwéj kwestyi publicznéj. Odpowiadając na stawione pytania, przysięgli mogli uchylić rozmysł z istoty czynu, uchylić nawet zabójczy zamiar, przyznać tylko umyślne zadanie ciężkiéj rany. Weredykt przysięgłych wszystkiemu zaprzeczył, odrzucił wszelką winę, z punktu ściśle prawnego biorąc uniemożebnił zastosowanie ustawy karnéj, wytrącił miecz z rąk sprawiedliwości.

W téj chwili wyrok sądu, oparty na tym weredykcie, pozbawionym już jest prawnych skutków; dnia 20 Maja (1 Czerwca) skasował go Departament Kasacyjny Senatu z powodu uznanych uchybień w toku sądowego śledztwa przy badaniu świadków, a sprawa ma być powtórnie sądzoną w sądzie okręgowym Nowogrodzkim w razie pojmania oskarżonéj. Nim to nastąpi, już dojrzały prawodawcze następstwa i owoce, wyroku z d. 31 Marca (12 Kwietnia), a instytucya sądu przysięgłych postawioną została na pochyłości, z któréj możebnym wprawdzie będzie powrót do dawniejszego stanu rzeczy przy zmianie obyczaju, przy innym zdrowszym i prawniejszym nastroju ducha publicznego wyrażającego się w weredyktach przysięgłych (wszakże w prawie z 9 (21) Maja użyte jest słowo: *czasowo*); ale możebném jest i odmienne przypuszczenie, że nowe sądownictwo, przeznaczone specyalnie dla pomniejszéj wagi przestępstw politycznych, obejmie w spadku po sądzie przysięgłych jeszcze inne atrybucye w skutek stopniowego i coraz większego zacieśnienia juryzdykcyi sądu przysięgłych.

Niebezpieczeństwo, zagrażające téj instytucyi, jest bardzo znaczne, chociaż jeszcze dalekie. Do zwiększenia jego przykładają się samiż liczni obrońcy instytucyi, wskazując, że wyrok z 31 Marca (12 Kwietnia) nie był objawem sporadycznym, lecz że jest on podobniuteńki do mnóstwa innych poprzednich, w sprawach najzwyczajniejszych, w których chodziło o obrazę interesów tylko prywatnych a bynajmniéj nie rządowych, lub państwowych; o morderstwa, o fałszerstwa, nawet o kradzieże. Skoro winowajca był trochę

interesujący, skoro dawało się wytłómaczyć postępowanie ze zbiegu okoliczności, które go do zbrodni popchnęły, brało górę serce, odzywało się potężnie miłosierdzie, i albo uznawano niebyt czynu, do którego się przyznawał oskarżony, albo przyznawano czyn, lecz odrzucano winę, ku największemu zadowoleniu a nawet przy aplauzach poruszonéj i roztkliwionéj masy widzów i słuchaczy.

Związek i zsolidaryzowanie wyroku z d. 31 Marca (12 Kwietnia) z mnóstwem analogicznych przykładów z dziejów sądownictwa, z całą praktyką sądową przysięgłych od chwili zaprowadzenia téj instytucyi w Rossyi, uogólniają kwestyą o przysięgłych i dają jéj całkiem nowe oświetlenie. Chodzi już nie o to czy instytucya broni skutecznie tych lub owych interesów naprzykład rządowych, które powinny być należycie obwarowane, chociaż nie ujmuje się za niemi dostatecznie poczucie ogółu, ale czy broni ona w ogóle wszelkich interesów uznanych za nietykalne pod zagrożeniem kary, a mianowicie życia, honoru, zdrowia, własności każdego z osobników, wchodzących w skład społeczeństwa. Wymiar sprawiedliwości bywa nieraz surową, twardą, przykrą koniecznością. Sąd powinien być wedle możności równy, trzeźwo patrzący na następstwa wyroku, nieprzystępny podrażnieniu nerwów, podmuchom aurae popularis, widokom stronnictw; ta tylko nienamiętność i bezkolorowość czyni go zdolnym być regulatorem życia w całym ogromie społeczeństwa, śród walki najsprzeczniejszych interesów, śród zabiegów i ujadania się stronnictw; ona to sprawia, że codzienna walka o byt jednostek i grup w społeczeństwie, hamowana przez sądy, odbywa się prawidłowo w karbach prawem określonéj wolności. Każdy sąd jest niby narzędzie, mające zalety i wady, które dadzą się wyrozumiéć tylko przez porównanie go z innemi, odmiennéj konstrukcyi, narzędziami. Bezwzględna doskonałość jest oczywiście mrzonką; najlepszym sądem będzie zawsze ten tylko, który, w porównaniu z innemi, ma więcéj zalet przy mniejszych niedostatkach. Ocena instytucyi ma zawsze formę bilansu, w którym się zestawiają aktywa i passywa. Otóż aktywa sądu przysięgłych były olbrzymie, w porównaniu nietylko z sądami dawnego autoramentu, ale i z innemi sądami nowéj daty, do składu których nie wchodzi żywioł społeczny.

Pierwszą, nieoszacowaną zaletą tego sądu było to, że z nim i przezeń wyrokować zaczęło, stąpając o własnych siłach wolne sumienie. Odpadły szczudła rutyny i staréj, zużytéj sztucznéj teoryi dowodów. Krępować przestały względy na to, co o wyroku powiedzą, bo przysięgli to krople fali w rzece, co chwila inne, mijające bez śladu i pamięci. W tym sądzie nie ma potrzeby nawet przyta-

czać dowodów, bo chodzi tylko o rezultat: wewnętrzne przekonanie, a pomija się całkiem, jako rzecz niepotrzebną, pytania, jak i z czego to przekonanie wytworzyło się i urosło. Rozumowaniu o winie, które pełzało po ziemi, przyrosły niby skrzydła; poczęło ono działać śmiało i stanowczo, przez indukcyą na mocy samych poszlak, budując mosty nadpowietrzne z samych przypuszczeń. Żaden sąd z techników złożony nie zdobyłby się na takie śmiałe, takie energiczne wyroki jak te, które wydawał nieraz sąd przysięgłych nad potężnymi winowajcami, zaufanymi w to, że ich kara nie dosięgnie z powodu braku dotykalnych przeciwko nim dowodów. Miecz sprawiedliwości sięgał daleko i wysoko, potężnie i sprężyście, a jednak prawie nie było spraw, w którychby się widocznie pomylił i spadł na niewinnego. Obok téj sprężystości było mnóstwo przykładów niezmiernie sumiennego i subtelnego rozgatunkowania spólników; prawie zawsze odpowiedzialność główna spadała na głowę a nie na rękę, na wynalazcę i podżegacza a nie na wykonawców; drugorzędni winowajcy traktowani byli zwykle z wielką wyrozumiałością i pobłażliwie. Żaden sąd nie wyrówna sądowi przysięgłych pod względem delikatnego stopniowania winy a następnie kary, bo składają się na to samoistnie oba czynniki: przysięgli i sędziowie. Pierwsi mogą wyrzec, że winowajca zasługuje na pobłażanie, mogą uchylić każdą z obciążających winę okoliczności, naprzykład włamanie się, rozmysł i t. d.; drudzy mają szerokie pola do działania w wyborze nieraz rodzaju a prawie zawsze stopnia kary. Nakoniec dodajmy jeszcze jeden przymiot *zaufanie*, uznanie przez społeczeństwo, że to sąd jego własny, prezumpcyą, że wyrok jest sprawiedliwy, bo go wydali przysięgli. Oto dodatnie rysy obrazu; istnieją wszakże i ujemne, główniejsze z nich są następne.

Po krótkiém doświadczeniu przekonano się o potędze, jaką posiada grono wylosowanych ludzi dwunastu. Każda potęga znajduje pochlebców i dworaków. Zainteresowane strony najprzód zaczęły się ubiegać o względy; prokuratura, tłómacząc, że mogą przysięgli potępić bez dowodów, obrona—że nikt nie sprawdza motywów weredyktu, że reprezentanci sumienia publicznego mogą uniewinnić nawet przyznającego się oczywistego winowajcę, uznać czyn jawnie dokonany za niebyły, bo są wyżsi nad samo prawo. Sami prezydujący w przemówieniach, zamykających rozprawę stron, wdrażali w przysięgłych przekonanie o ich zupełnéj i nieograniczonéj władzy uniewinniania, nawet w razie przyznania się oskarżonego do czynu, o tém, że ich nie pytają czy oskarżony pełnił to lub owo w stanie poczytalności, ze świadomością skutków i dobrowolnie, to jest bez przymusu, ale czy oskarżony jest *winnym*, to jest czy nie zostawał

pod naciskiem okoliczności, którym trudno było się oprzéć bez szczególniejszego hartu charakteru i które postępek jego tłómaczą. Nauki te i wskazówki zostały doskonale pojęte i przejęte, wsiąkły do przekonania ogółu, do życia i praktyki. De facto przysięgli działają w przekonaniu, że w atrybucye ich wchodzi nietylko uznanie winy, lecz i ułaskawianie; a ponieważ samo społeczeństwo jest jeszcze bardzo młode, o pojęciach i obyczajach moralnych i prawnych mało wyrobionych i chwiejnych, jak wosk miękie, mało wdrożone do surowych wymagań i warunków życia publicznego, więc pochop do ułaskawiania przemaga nieraz nad popędem do karania i zachodzą często gęsto uniewinnienia oczywistych winowajców istne skandale sądowe, dostarczające treści, zapełniającej coraz nowe kartki do aktu oskarżenia przeciwko instytucyi przysięgłych, ale zarazem i trudne do zbicia dowody, że instytucya ta nie funkcyonuje jakby należało, że wymaga ona zastanowienia się i użycia środków zaradczych. Jakiego rodzaju mogą być te środki? Najprzód odrazu wyłączamy środki prawodawcze. Mimo wszelkie braki i wady rzeczonéj instytucyi, zniesienie jéj nie dałoby się niczém innéın odpowiedniém potrzebom, wymaganiom i już nabytemu doświadczeniu zastąpić.

Zmiana w saméj instytucyi przysięgłych, w sposobie stawiania pytań, zwrot ku przeżytéj francuskiéj teoryi, datującéj z czasu początków wprowadzenia instytucyi na lądzie Europy, i podział materyj na kwestye faktu i czynu, pomijając kwestyą winy, przez rozdrobienie jéj na tyle innych ile jest istotnych pierwiastków w istocie czynu danego przestępstwa, byłoby to niepotrzebne zmechanizowanie instytucyi, na nic nieprzydatne, bo skoro w przekonaniu przysięgłych już tkwi obecnie, że są sędziami nie tylko całego czynu, ale i winy, budować oni będą w myśli całość z kawałeczków i potrafią dopiąć celu, odpowiadając przecząco na którymkolwiek z istotnych pierwiastków czynu przestępstwa. Takie rozdrobienie pytań byłoby uznane i przez przysięgłych i przez opinią jako fortel równie zbyteczny, jak unikanie w dzisiejszéj praktyce terminów prawniczych w pytaniach stawianych przysięgłym, naprzykład tak utartych jak kradzież, fałszerstwo, albo troskliwe ukrywanie przed przysięgłymi w tajemnicy praktycznych skutków ich weredyktu, rodzaju i gatunku prawem oznaczonéj kary. W składzie przysięgłych, szczególnie w większych miastach, rzadko obejdzie się bez prawnika, albo przynajmniéj bez człowieka odbywającego swą obywatelską powinność przysięgłego po raz nie pierwszy; ten bywalec niechybnie objaśni kolegom następstwa weredyktu. Zdarzało się, że przysięgli zawahali się uznać oskarżonego winowajcę wprost przez mylne uprze-

dzenie, że kara oznaczona w prawie za przestępstwo jest zbyt znaczną, zbyt przechodzącą winę oskarżonego. Środki zaradcze do naprawy instytucyi, do usunięcia jéj obecnych uchybień, znalazłyby się chyba w praktyce saméj, w postępowaniu prawników przewodniczących sądom przysięgłych, w otrzeźwieniu opinii publicznéj, uobyczajeniu społeczeństwa. Dotychczas instytucya miała tylko bezwzględnych admiratorów entuzyastów, a w pierwszym ich szeregu stali przewodniczący przysięgłym technicy. Czas już nadszedł wzięcia się do instytucyi krytyczniéj, czas przyjść do przekonania, że nie dość miéć wielkich zalet narzędzie; trzeba umieć niém władać, trzeba kierować rozsądnie, być prawdziwym doradcą, rzucić w stosownéj chwili słowo ważne; wytłómaczyć przysięgłym, że ciąży na nich obowiązek moralny zapewnić prawu skuteczność, że nie powinni ubezwładniać ustawy, szczególniéj skoro ta ustawa zakazuje pod karą przestępstw nie fikcyjnych, ale takich, które nie mogą być cierpiane w żadném porządném społeczeństwie, bo są wzbronione, nietylko w kodeksie karnym, ale nawet i w mojżeszowém dziesięciorgu przykazań. Nie potrzebuję objaśniać jakiéj jest wagi nietylko forma instrumentu, ale sam materyał, z którego instrument zrobiony: drzewo, cegła, czy metal czysty. Materyałem tym w danym razie są obyczaje społeczeństwa, średnia miara, wedle któréj stosujący ustawę sądzą o postępkach i swoich i cudzych. Od Rossyan techników, praktykujących w Okręgu Sądowym Warszawskim, słyszałem nieraz, że ich uderzała daleko większa co do stopnia surowość krajowców w sądzeniu o przestępstwach, ściślejsze wymagania od jednostki działającéj, domniemywanie się mocniejszego hartu w charakterze każdego podsądnego, większéj zdolności oparcia się naciskającym okolicznościom zewnętrznym, inne reguły poczytania. Nie ma najmniejszéj wątpliwości, że w skutek tych właściwości uobyczajenia, wyrobionych wiekami i historyą, działalność instytucyi przysięgłych byłoby wielce różną od téj jaką widzimy w Rosyi, chociaż i w Rosyi dwanaście ostatnich lat po reformie sądowéj nie upłynęło bez skutków i w ogóle daje się spostrzegać w nastroju powszechnym i w wyrokach mniéj łatwa pobłażliwość, większy pochop do represyi, większa i ostrzejsza surowość.

Dodajmy nakoniec do spisu środków zaradczych, mogących się przyłożyć do podniesienia sądu przysięgłych, jeszcze jeden i to niezmiernie ważny—zmianę saméj ustawy karnéj, zastąpienie kodeksu z 1845 r. nowém prawodawstwem karném, bardziéj odpowiadającém potrzebom wieku i obudzonemu, w ciągu ostatnich lat dwudziestu kilku, zapełnionych reformami ciągłemi a stanowczemi, życiu publicznemu. W naszym wieku kodeksy karne zużywają się szybko,

o dziś obowiązującym, rzec można, że jest całkiem zużyty. Niedokładny, kazuistyczny, obrachowany na stosowanie kary do winy prawie mechaniczne, w sądach wyrokujących za pomocą sztucznéj teoryi dowodów prawnych, kodeks ten obfituje jeszcze w przestępstwa uważane obecnie za fikcyjne, obejmuje zakazy, będące w największém przeciwieństwie z uczuciem moralném społeczeństwa i opinią publiczną. W żadnym kraju, nawet w Anglii, niepodobna wymagać, aby przysięgli potępiali ludzi oskarżonych o postępki moralnie całkiem obojętne. Są całe rodzaje przestępstw, których nawet dochodzenia zaniechano z powodu systematycznego uniewinniania oskarżanych, naprzykład przestępstwa paszportowe. Są sprawy, w których zupełnie racyonalnie opinia publiczna ujmuje się za oskarżonym i stoi mocno po stronie przysięgłych, wyrzekających uniewinniające weredykta, naprzykład sprawy wytaczane na południu Rossyi przeciwko tak zwanym Sztundystom.

Reforma więc kodeksu karnego nader jest pożądaną, i tuszyć można, iż wiele z pomiędzy wytkniętych wyżéj trudności pomyślnie załatwi.

W. S.

NOWE DOKUMENTA,

ODNOSZĄCE SIĘ DO JANA CHRYZOSTOMA PASKA,

podał

Feliks Rybarski.

Żaden nieznany szczegół dotyczący tak znakomitego pisarza, jakim jest bez zaprzeczenia Jan Chryzostom Pasek, autor nieporównanych pamiętników, nie może być dla nas obojętnym i sądzę, że z największą skwapliwością powinniśmy zapisywać wszystko, co służy do pełniejszego odtworzenia wizerunku jego żywota. Zresztą niejeden szczegół, dziś uważany za małoważny, z czasem, po odkryciu innych dokumentów, stać się może nader ważnym, służąc do ich bliższego wyjaśnienia i zbijając niejedno błędne przypuszczenie, pociągające za sobą cały szereg niezgodnych z prawdą wniosków. Tą myślą powodowany, podaję obecnie kilka nieznanych dokumentów, dotyczących Paska i jego rodziny a odszukanych w Archiwum Akt Dawnych w Kielcach. Nim jednak takowe przytoczę, uważam za konieczne powtórzenie jednego bardzo ważnego i już drukiem ogłoszonego dokumentu, na jaki biografowie Paska nie zwrócili dotąd uwagi, czego dowodem jest najnowsze wydanie Pamiętników Paska we Lwowie 1877 roku, opatrzone wstępem Dr. Zygmunta Węclewskiego. Wiadomo, że pozostałe pamiętniki Paska, doprowadzone są do roku 1688. Jak długo jeszcze żył nasz Pasek po tym roku, tego do 1862 roku nie wiedziano. W roku 1862 wyszły w Warszawie Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, opatrzone przypisami Juliana Bartoszewicza; w nich pod 1702 rokiem, na str. 111, czytamy: „Pierwszy

dzień święta (Bożego Narodzenia) odprawiłem w Cisowie u jp. *Paska*, człowieka haniebnie poczciwego, który jako mi rad był niepodobna wypisać. W domu swoim szlachcic to porządny bardzo, wesoły i przystojny; przez trzy dni nie znaliśmy co dzień, co noc, piliśmy i hulali. Dam miał siła u siebie *et quidem* pięknych. Darował mi szkatułę kieleckiéj roboty, mosiędzem nabijaną, piękną, i gotowalnianą tejże roboty szkatułę wielką, stół marmurowy nakładany, puzdro szlifowane i t. d.; bardzom się tam miał dobrze.“ Bartoszewicz w przypisku do powyższego wstępu powiada: „Któż po tym opisie, jaki tu daje Zawisza, nie pozna, że to o Janie Chryzostomie mowa? Za zdaniem Bartoszewicza, w tymże 1862 r., poszedł i Aleksander Przezdziecki, który w *Książce Zbiorowéj*, ofiarowanéj K. W. Wójcickiemu, pomieścił dwa dokumenta, tyczące się Jana Chryzostoma Paska. I odtąd już wszyscy biografowie Paska, o ile mi wiadomo, a między nimi i Węclewski, powtarzają, że Zawisza pod 1702 r. wspomina o Janie Pasku autorze pamiętników, podziwiając przytém jego czerstwość, zdrowie i dobry humor, zachowane do późnego wieku, gdy tymczasem on już wtedy spoczywał snem wiecznym, o czém przekonywa nas następujący dokument, ogłoszony w *Pamiętniku Kieleckim* na rok 1874, przez znanego etnologa ks. Władysława Siarkowskiego: „Stało się pewne i w niczém nieodmienne postanowienie między Wielmożnym Jmci Panem Krzysztofem Saryuszem z Nadola Łąckim dóbr Pilczyce Zalesnéj, Gór Mokrych, Suchych, Borowy, Skąpego i Wulki dziedzicem z jednéj, a Jmci księdzem Jędrzejem Oliszewicem, plebanem Pilczyckim z drugiéj strony w ten niżéj opisany sposób. Iż Wielmożny Impci pan Łącki zapisawszy w Grodzie nowomiejskim *in Anno Milesimo Septingentesimo Primo za duszę* p. m. (piae memoriae) *Jmci Pana Jana Paska*, komornika Ziemskiego Krakowskiego także p. m. za duszę Imci Paniéj *Anny z Romiszowic secundi voti Paskowéj*, a matki Imci Pana Krzysztofa Łąckiego złotych polskich pięćset, która obiet in anno Millesimo Sexcentesimo nonagesimo sexto, die decimaquinta Mensis Martii cujus corpus in hac Ecclesia parochiali Pilcensi depositum. A że dotąd z przeszłym Imci księdzem plebanem Pilczyckim o obligi kontraktu aprobowanego nie było tylko corocznie ad mentem Msze S. odprawowano: odtąd tedy, aby temu kontraktowi aeternis temporibus według zapisu zadosyć doznało się: Teraz Imci Ksiądz Pleban pomieniony Pilczycki, nie mając żadnych oblig przy kościele swoim za prowizyą od téj sumy per septem a centum należącą za złotych trzydzieści pięć przyjmuje zapowiedzi (wypominki) w każdą niedzielę i święta ze trzema Zdrowaś Maryiami i na każdy miesiąc za duszę tę Mszą S. jednę lecte i cztery z wigiliami

śpiewane, to jest na każde suche dni za duszę wzwyż Jana i Anny odprawować i sukcesorów prosi i obliguje, a dla lepszego waloru i wieczności tę asekuracyą przez tenże kontrakt W. Imci Panu Krzysztofowi z Nadola Łąckiemu daje et verbo sacerdotali zapisuje, iż post Eminentissimi vel Loci Ejus Illustrisisimi Ordinarii aprobationem re obligi i z sukcesorami swoimi juxta obloquentiam contractus perpetuis temporibus corocznie odprawować będzie. Na co dla lepszéj wiary ręką własną podpisuję. Działo się w Skąpem X. 1. Oliszewic." Z powyższego dokumentu okazuje się, po pierwsze, że żona Paska, 1-o voto Łącka, umarła w 1696 r., 15 Marca w Pilczycy i pochowana została w kościele parafialnym wsi pomienionéj, przeżywszy lat 75, gdyż w r. 1667, wychodząc powtórnie za Paska, miała lat 46, jak to przekonywują nas następujące jego słowa, zapisane o niéj w Pamiętnikach, pod 1667 rokiem. „Już mi się téż i podobała, a że to z młodu była gładka, mnie się téż i natenczas wydała młoda, i nigdybym nie rzekł, żeby miała 46 lat, czegom potém doszedł, gdym się z nią ożenił, a ja wnosiłem, że nie ma nad 30 lat." Powtóre, że w 1701 r. Pasek już nie był żyjącym, a ponieważ w 1699 r., jako komornik Ziemski Krakowski podpisał *pacta conventa* Augusta II, o czém wspomina jego biograf w Encyklopedyi Powszechnéj (większéj) Orgelbranda, więc musiał umrzéć między 1699 a 1701 rokiem (1). Myślałem, że szczegółową datę śmierci Paska można będzie oznaczyć z Akt Grodzkich Nowokorczyńskich, lecz na nieszczęście akta te zaczynają się dopiéro od 1703 r., gdyż według dowodu znajdującego się w jednéj księdze, wszystkie akta dawniejsze wraz z zamkiem Nowokorczyńskim spalili Szwedzi. Jakie było imię Paska, o którém wspomina Zawisza, nie wiadomo Z dzieła ks. Gackiego „*Benedyktyński klasztór na Łyséj Górze*", dowiadujemy się, że w r. 1691 w Cisowie mieszkał Stanisław Pasek „którego klasztor 1691 r. zaskarżył do sądu grodu sandomierskiego, iż zbrojno i tłumnie ze służebnikami swoimi najechał łąki i grunta do Baszowic, Mirocic i Bielowa należące; że na osoby duchowne, będące przy sprzęcie siana, wypadłszy konno ze sługami z lasu, zdobytą szablą natarł; że z szablą i pistoletami gonił najprzód za poddanymi, a potém i za duchownemi osobami, chcąc ich

(1) Zachodzi tu małe nieporozumienie. August II obrany został królem 27 Czerwca 1697 r. i tegoż dnia podpisane zostały pacta conventa z jego pełnomocnikiem (vol. leg. VI, 46, 47), a tylko przedrukowanie onych nastąpiło w r. 1699; nie można więc wnioskować, że Pasek żył jeszcze w 1699, pewném tylko jest, że był na polu elekcyjném w Czerwcu 1697 r. (Przyp. red.)

po tatarsku powiązać; i że łżył ich wyrazami bezecnemi bez żadnego powodu.

„Sąd 1692 r. skazał zaocznie Paska na banicyą.“ Czy wyrok sądu był wykonany lub nie? i czy to nie ten sam Stanisław Pasek mieszkał w Cisowie w r. 1702? nie mogłem dotąd w aktach tutejszych znaleźć wyjaśnienia; spotkałem tylko w dokumencie z 1693 r. wzmiankę o dwóch Stanisławach Paskach. Ponieważ dokument ten z czasem może posłużyć do bliższego poznania stosunków familijnych naszego Jana Chryzostoma, dla tego podaję go w dosłownem tłómaczeniu z łaciny:

Działo się w Chęcinach w Sobotę po Św. Wicie i Ś-ym Modeście Męczennikach 1693 roku.

„Urodzony Franciszek Pasek, syn Urodzonego Stanisława Paska i niegdy Urodzonéj Katarzyny Brzozowskiéj, zdrowy na umyśle i ciele, po odstąpieniu od właściwéj jurysdykcyi itd. zeznał: iż dobra swe dziedziczne, niżéj opisane, tj. część pewną w dobrach wsi Mnich, w Województwie Rawskiem, Ziemi Gostyńskiéj położoną i na zeznawającego prawem boskiém, i naturalnym spadkiem, po tejże niegdy Katarzynie Brzozowskiéj, spadłą, z dworem i folwarkiem tam leżącym, z poddanymi, kmieciami, zagrodnikami, komornikami, polami, łąkami tak szeroko, długo i w okrąg, jako pomieniona część do zeznawającego należała, już odtąd Urodzonemu Stanisławowi Paskowi, swemu starszemu rodzonemu bratu, i jego spadkobiercom tę część i wszelki swój inny nieruchomy majątek dał, darował i tytułem czystéj i nieodwołalnéj darowizny zapisał i odstąpił. W którą to część, wyżéj wymienioną, niniejszém darowaną, dał istotne wwiązanie, oraz rzeczywiste i spokojne posiadanie.

podpisano: Franciszek z Gostawy Pasek

(Zapisy Oryginalne Grodzkie Chęcińskie ks. 14)

A teraz rozpatrzmy dokumenta, odnoszące się do Jana Paska. Są one pisane po łacinie, podaję takowe w tłómaczeniu z łaciny.

I.

Działo się w Chęcinach po święcie Zwiastowania Najświętszéj Maryi Panny 1673 roku.

„Urodzony Gabryel Odyniec Sokołowski w swym i Mikołaja Odyńca Sokołowskiego, i Katarzyny Jezierskiéj, swego brata i siostry, imieniu – z jednéj strony, a Urodzony Jan z Gosławic Pasek Komornik Ziemski Krakowski i Anna z Remiszowic, małżonkowie prawi,—z drugiéj strony, po odstąpieniu od właściwéj jurysdykcyi itd. zeznał i zeznali, iż na dobrach swych wszystkich w ogóle robią

zapis i nawzajem zobowiązują siebie i swych spadkobierców ściśle dotrzymać, we wszystkich warunkach, niniejszą pewną umowę zawartą między sobą, w akcie z daty dnia dzisiejszego, tu w Chęcinach zdziałaną i spisaną, rękami własnemi podpisaną pod zakładem tysiąca złotych polskich."

podpisano: Gabryel Odyniec Sokołowski i Jan z Gosławic Pasek. (Zapisy Oryginalne Chęcińskie ks. 6).

Jaka była treść owéj umowy, nie mogłem dotąd znaléść w aktach żadnego wyjaśnienia.

II.

Działo się w Grodzie Chęcińskim w Sobotę w czasie Oktawy Bożego Ciała 1675 roku.

„Urodzeni Jan i Kazimierz Strzeszkowscy, bracia rodzeni, synowie niegdy Urodzonego Piotra Strzeszkowskiego i niegdy Urodzonéj Maryanny Odyńcówny,—córki niegdy Urodzonego Konstantego Odyńca Sokołowskiego i niegdy Urodzonéj Katarzyny z Nadola Łąckiéj prawéj tegoż małżonki, zaś Jana Odyńca Sokołowskiago siostry rodzonéj,—po odstąpieniu od właściwych jurysdykcyi itd. zeznali i każdy z osobna zeznał: iż oni dobra swe własne i dziedziczne, niżéj opisane, to jest: części pewne w dobrach wsi: Rączki, Dobromierz Mały i Wielki i Wymysłów na siebie prawem boskiém i naturalnym spadkiem i na Urodzonych Mikołaja i Gabryela Odyńców Sokołowskich, tegoż niegdy Jana Odyńca Sokołowskiego synów i Jezierską siostrę ich rodzoną, swych współsukcesorów, po bezpotomnym zejściu niegdy J. W. Elżbiety z Nadola Łąckiéj, małżonki niegdy JW. Zygmunta z Przerąb Przerębskiego, Wojewody sieradzkiego,—spadłe, w województwie Sandomierskiém, powiecie obecnie Chęcińskim leżące, wraz z prawem patronatu przedstawień jakichbądź beneficyj kościelnych, a także z dworami, folwarkami do tychże dóbr należącemi, z zupełném prawem, państwem, własnością, dziedzictwem, ze wszystkiemi gruntami, korzyściami, dochodami itd. nic nie ujmując, już odtąd Urodzonemu *Janowi z Gosławic Paskowi, komornikowi Krakowskiemu i Proszowskiemu i Annie z Remiszowic*, prawym małżonkom, i ich spadkobiercom dają, darują, a zarazem wszelkie prawa, zapisy do tychże pomienionych części, jakie do zeznawających należą, tymże Urodzonym Paskom, małżonkom i ich spadkobiercom ustępują. Prawa swe, jakie każdemu przynależą, przelewają. Wwiązanie w pomnione dobra częścią darowane, częścią odstąpione, przez woźnego dopuszczają. Bronienie, ewikcyą od wszelkich przeszkód swych współsukcessorów i Urodzonych Pa-

sków, i w ogóle spokojne posiadanie pod winami ziemskiemi prosto, bez przysięgi cielesnéj, zastrzegają.

III.

Trzeci dokument jest z téjże saméj daty co i poprzedzający. Przytoczę tu tylko jego treść, ponieważ nie zawiera nic takiego, żeby go dosłownie powtarzać. Występują w nim ciż sami, Jan i Kazimierz Strzeszkowscy, którzy z powodu spadku przypadłego na nich w Rączkach, Dobromierzu i Wymysłowie prowadzili jakiś proces w sądach Radomskich z Odyńcami, Sokołowskimi, Łąckimi i innemi osobami niewymienionemi z nazwiska. Otrzymawszy pewne zadośćuczynienie od małżonków Pasków, odstępują im wszelkie protesty, pozwy, kondemnaty, wyroki, jakie uzyskali w pomienionych procesach, i przelewają na nich swe prawa, zostawiając im zupełną swobodę działania we właściwych sądach. Wwiązanie w części do nich należące dopuszczają.

podpisano: Kazimierz Szczęsny Dopatkowic Strzeszkowski.
Jan Strzeszkowski.

IV.

Forma tego czwartego dokumentu jest zupełnie podobna do pierwszego, z 1673 roku. Występują w nim z jednéj strony Jan z Gosławic Pasek swym i imieniem małżonki, a z drugiéj strony—Jan i Kazimierz Strzeszkowscy; jedna strona zobowiązuje drugą do ścisłego dotrzymania we wszystkich warunkach pewnéj umowy, w Chęcinach zawartéj, pod zakładem siedmiu tysięcy pięciuset złotych. Jest on z téj saméj daty co i dwa poprzedzające.

podpisano: Jan z Gosławic Pasek swym i małżonki imieniem i Strzeszkowscy.

Podobizna podpisu Paska w tym akcie znajdującego się pomieszczona była roku zeszłego w „Bibliotece Warszawskiéj."

Z powyższych dokumentów okazuje się, że w 1675 r. Pasek był nietylko komornikiem ziemskim krakowskim, lecz i proszowskim, o czém dotąd nie wiedziano, a następnie, że w przeciągu kilku lat miał różne zatargi i kłopoty, przeprowadzając procesy z powodu spadku jaki na niego przypadł. Dokumenta te są niejako komentarzem do następujących słów Paska (zapisanych w Pamiętnikach pod 1672 r.), dając nam bliżéj poznać nazwiska współsukcesorów od których nabył pewne części.

„W Rączkach w tym roku (1672) przypadła sukcesya na domy panów Łąckich, gdzie ja odebrałem z podziału część dziedzi-

czną, drugą część kupiłem u panów spółsukcesorów i puściłem te obiedwie części córce żony mojéj Jadwidze, która była za siostrzeńcem moim Dębowskim Samuelem; puściłem im to z łaski, nie biorąc z tego nic, lubom na to kosztu wiele łożył przez kilka lat, a co turbacyi, przejażdżek, zwady, bitwy, pojedynków, tego nie rachuję."

W Archiwum klasztornêm księży Reformatów w Stopnicy, w księdze t. III-go, zapisane są następujące słowa: „*Generosa Domina Paskowa, sepulta est sub majori choro, in terra sub pavimento lapideo: anno 1672.*" Mowa tu widocznie o matce Paska, który o jéj śmierci tak wspomina pod rokiem 1672. „Przyjechawszy do domu 16 Listopada trafiłem na żałobę po matce mojéj kochanéj, która w wigilią św. Szymona Judy Panu Bogu ducha oddała. Oby w pokoju świętym spoczywała! *Pochowaliśmy ją w Stopnickim kościele u Ojców Reformatów.*"

Wszystkie powyższe wiadomości, zebrane w jednę całość, może choć w małéj cząstce przyczynią się do rozjaśnienia stosunków i życia Paska, co głównym było moim celem. Spodziéwam się jednak, że z czasem uda mi się odszukać jeszcze więcéj dokumentów o Pasku w Archiwum Akt dawnych w Kielcach, gdzie do życia naszych dawnych pisarzy znajduje się wiele cennych szczegółów, jak np. nader ważne i nieznane zupełnie dokumenta, odnoszące się do Reja, które również mam zamiar drukiem ogłosić. Systematycznym i dłuższym poszukiwaniom archiwalnym stoi na przeszkodzie odległość Archiwum od miasta; mieści się ono obecnie w klasztorze pobernardyńskim na górze Karczówce, przeszło dwie wiorsty od Kielc, w skutek czego tylko w ciepłéj porze roku i to w dni pogodne, można dłużéj pracować w nieopalonéj sali archiwum. Nakoniec uważam za swój obowiązek złożyć niniejszém podziękowanie serdeczne panom Idzikowi i Szajdakowskiemu, urzędnikom Archiwum, za wszelką uprzejmie udzielaną mi pomoc w poszukiwaniach archiwalnych.

KRYTYKA.

Dwie prace z dziedziny dyplomatyki naszéj.

Rom. Mauer: Urzędnicy kancelaryjni Wł. Jagiełły, studyum dyplomatyczne. (Bibl. warsz. 1877, t. III; w osobnéj odbitce str. 7—49).

Jest to jedno z pierwszych studyów dyplomatycznych w naszéj literaturze historycznéj, a bezprzecznie pierwsze głębsze wniknienie w bogaty zasób dokumentów Wład. Jagiełły. Zostawia zaś po sobie trwałe owoce. Skonstatować bowiem na podstawie całego dotychczas publikowanego materyału cały wyższy personał kancelaryjny, ograniczyć dokładnie czas funkcyonowania każdéj z tych osobistości, oznaczyć jakie w którymkolwiek okresie swego działania każda z nich tytuły nosiła, jestto zapewne rzucić trwałe podwaliny pod wszelką dalszą budowę w téj dziedzinie kancelaryi Jagiełłowéj.

Trwałe podwaliny, bo wszakże o wyczerpnięciu nie tylko tego szerszego tematu, ale nawet owego ściślejszego, jaki sobie autor postawił, mowy być nie może. Bo najprzód skonstatowany jest tylko, jak się rzekło, cały wyższy personał kancelaryjny: kanclerze i podkanclerze, już protonotaryusze urywają się na Zbigniewie Oleśnickim (r. 1418), a co do notaryuszów i pisarzy, to znachodzimy tylko spisy imion bez żadnego bliższego określenia, choćby tylko czasu ich służby. Nie potrzeba się zaś dłużéj nad tém rozwodzić, jak niezbędném jest dla zbadania genezy dokumentów i wzajemnego ich stosunku zapoznanie się z każdym takim lichym pisarczykiem—bo wszakżeż oni to byli najczęściéj właściwymi *autorami* dyplomów, oni nie tylko pisali, ale najczęściéj też koncypowali dokumenta

Dopiéro po skonstatowaniu tego całego niższego i wyższego personału, po oznaczeniu wzajemnego stosunku służbowego tych osób, możemy mieć dokładny obraz przebiegu spraw kancelaryjnych, w ogólności możemy wglądnąć w genezę każdego pojedyńczego dokumentu, co według dzisiejszych pojęć w dyplomatyce najpewniejsze daje badaczowi w rękę kryteryum. Ma się rozumieć, że tego wszystkiego od autora, który tylko na podstawie materyału drukowanego pracował, żądać, byłoby śmiesznością, że jednak więcéj powinienby był i mógłby był wybadać niźli to uczynił, zaraz wykażę. Jak już wyżéj wspomniałem, protonotaryusze urywają się na r. 1418, a potém nie objaśnia nas autor ani jednêm słowem, co się z tą instytucyą stało, albo przynajmniéj, dlaczego on na Zbigniewie Oleśnickim szereg protonotaryuszów zakończył. Co do kanclerzy i podkanclerzy, to mamy wprawdzie ich biografie, ale to, co najważniejsze dla dyplomatyki, *stanowisko ich kancelaryjne*, w ogólnym wstępie poprzedzającym takowe biografie za mało jest wyjaśnione. Jakie były ich funkcye przy wystawieniu dokumentu—czyli obecność ich była przy takowém konieczną, czyli nie, do jakiego momentu czynności kancelaryjnéj odnoszą się świadkowie, co znaczy „datum per manus“ a co „ad relacionem,“ to są kwestye, które się na pierwszym planie rozwiązania domagają; gdyż nie rozwiązawszy ich wpada się łatwo w fałszywe lub za śmiałe wnioski, jak to się rzeczywiście autorowi w dodatkach zdarzyło (1). Na niektóre znowu z tego rodzaju pytań starał się odpowiedzieć autor, lecz odpowiedział fałszywie. Tłómaczy np. „ad relacionem“ przez: „na wniosek“. Pojęcie wniosek w ogóle nie licuje do kancelaryi—„ad relacionem“ nie może tu znaczyć co innego, jak dawniejsze „recognovi“ w dyplomatach cesarskich, tj. oznacza referenta rzeczywistego lub tytularnego (jeśli możliwość nieobecności kanclerza przy wystawieniu aktu przypuścimy).

Daléj nieuzasadnioném wydaje mi się twierdzenie, jakoby Zaklika w niektórych dokumentach dlatego przybiérał tytuł „cancellarius regni Pol,“ odstępując od zwykłego: aulae regiae cancell., że w tych dokumentach „chodzi o sprawy samej kancelaryi lub osób do niéj należących.“ Ja sądzę, że obu tym tytułom nie należy przypisywać zastosowanego do okoliczności znaczenia, lecz że używano je na przemian w tym samym sensie—jestto tylko chwiejność tech-

---

(1) Np. co do dok. w Agz. III 146 Cytując kodeksa używałem skróceń p. Mauera Agz. Akta grodzkie ziemskie, Kz. M. Rzyszczewski i Muczkowski: Cod. dipl. Pol itp.

nicznego wyrazu, jaka się zwykle w czasie przejścia z jednéj formuły kancelaryjnéj w drugą objawia. Jeszcze Mik. Trąba, w czasie starostwa Zakliki szef kancelaryi królewskiéj, waha się w tytulaturze, chociaż już częściéj zwie się „cancell. Reg. Pol," co późniéj staje się regułą. Przyczynę zaś téj zmiany tytułu upatruję w ogólnie wówczas objawiającém się republikanizowaniu się naszych urzędów w tym duchu, że co dotychczas było królewskiém, nazywa się teraz państwowém. Wszakże według samego autora w tym to właśnie czasie, lub dokładnie mówiąc, nieco późniéj (od Długosza) Polska zaczyna się zwać „respublica," zamiast dotychczasowego: „regnum Polonie."

Sądzę, że to co przytoczyłem wystarczy dla udowodnienia poprzednio wypowiedzianego zdania, że chociaż autor wiele uczynił, a nawet wprost położył podstawę zbadaniu kancelaryi Jagiełłowéj, to jednak kwestya urzędników kancelaryjnych tegoż króla tém samém jeszcze wcale nie została wyczerpniętą ani ostatecznie załatwioną. Wobec tego tém bardziéj żałować należy, że nie znajdujemy przy końcu rozprawki *spisu dokumentów*, na których jest zbudowaną, przez co przegląd materyału utrudniony, a część pracy przez P. Maurera już wykonanéj dla przyszłych badaczów kancelaryi Wł. Jagiełły stracona. Będzie bowiem musiał następujący po nim badacz na nowo materyał po kodeksach dyplom. szukać, zamiast oprzéć się tylko, lub ewentualnie uzupełniać spis poprzednika, do którego, jako do pierwszego na tém polu, ta praca należała. Już samemu autorowi byłoby łatwiéj manipulować na podstawie takiego spisu—nie potrzebowałby bowiem przy każdym w texcie wspomnianym dokumencie przytaczać długiego cytatu, ale powołałby się tylko na numer swego spisu.

Zamiast tego, w każdéj, torującéj nieznane dotychczas drogi, pracy dyplomatycznéj, niezbędnego dodatku znajdujemy inne dodatki, które nie bardzo pomyślnie wypadły, gdyż przekroczyły objętą przez rozprawę sferę i sięgły za daleko. Tak szczególnie zaś dodatek II, potępiający kilka dokumentów, jakby mimochodem. W ten sposób można potępić tylko bardzo grube falsyfikaty; gdzie są motywa pro i contra tam decyzya jest ostateczném zadaniem dyplomatyki, a w pracach przygotowawczych powinna wcale ustąpić z porządku dziennego. Przejdziemy te dodatki szczegółowo.

W I-szym, wspominając o znanym dziś w dyplomatyce pewniku, że nie zawsze dzień rozkazu napisania dyplomatu jest dniem rzeczywistego wykończenia go w kancelaryi, przytacza autor dwa przykłady, jak sądzi, tego samego zjawiska z kancelaryi Jagiełły. Pierwszym ma być dokument w Agz. III. 146 or. datowany 1 Paźdz·

1.400 ze Lwowa. Ponieważ jako świadek przytoczony jest tutaj Moskorzewski, tymczasem wiadomo nam (z Helcla. Star. pr. pol. pomn. II № 680), że tenże właśnie wówczas w Krakowie bawił, przeto *jedyném*, zdaniem autora, wyjściem jest tu przypuszczenie, „że dokument ten wprawdzie 1 Paźdz. 1.400 we Lwowie król rozkazał napisać, atoli wykończenie jego w kancelaryi nastąpiło dopiéro za powrotem podkanclerzego z Krakowa.“ Tymczasem już na pierwszy rzut oka nasuwa się tu druga możliwa ewentualność, że mianowicie rozkaz napisania dyplomatu nastąpił przed pobytem królewskim we Lwowie, a wykończenie jego dopiéro w témże miejscu. Pytanie to jednak dałoby się roztrzygnąć dopiéro po zbadaniu znaczenia świadków w dokumentach Jagiełły w ogólności, a mianowicie po rozwiązaniu kwestyi, czy świadkowie odnoszą się w tychże do chwili aktu prawnego (nadania lub t. p.), czy do redakcyi dokumentu, która mogła nastąpić kilka dni, tygodni, lub miesięcy późniéj. Jako drugi przykład ma posłużyć dok. w Agz. V 38 or. z datą: *Actum et datum in Niepolom cre fena II ant. fest. S. Leonardi* (2 Listop.) *1.416*. Ten przykład w każdym razie wystarczy, czy to przyjmiemy za dzień św. Leonarda 6 Listop., czy za Grotefendem idąc dla Krakowa 30 Paźdź. (nie 30 Wrzes. jak autor mylnie podaje), czy wreszcie 15 Paźdz. (Cf. Waydenbacha kalendarz). Przyjąwszy bowiem nawet ostatnią, najprzychylniejszą dla przeciwnego zdania możliwość, otrzymamy jako datę naszego dokumentu 12 Paźdz. I to za późna data, trudno bowiem przypuścić, aby król w 11 dniach—21 znajdujemy go w Kownie—tak wielką przebył przestrzeń jak z Niepołomic do Kowna.

W dodatku II-im jeszcze śmielszych wniosków pozwolił sobie autor. Jeden dokument (A) (1) podejrzywa, dwa zaś (B. i C.) potępia. Pierwszy (A) jest rzeczywiście podejrzanym dla swéj dziwacznéj arengi, że jednak dwa dziwne nazwiska figurują wśród świadków (Strasthone de Hostreckich, Prandota Eubinio Sandomiriensi), to może da się policzyć na karb Kopisty, że daléj Zaklika był właśnie w Krakowie, to nie wyklucza możliwości zastępcy jego (Datum per... Mathiam... aule nre cancellarium substitutum). Przypuśćmy tylko, że pan kanclerz był kilka dni chory. Drugi dokument (dla Fredry) jest co najwięcéj podejrzanym, podejrzanym długiém opowiadaniem zasług Fredry pod Grunwaldem i użyciem właśnie roku 1410. Fałsze-

---

(1) A. vide. M. Krupowicz: Zbiór dyplomatów rządowych (Wilno 1858) str. 3 (r. 1387).

B. v. Grabowski i Przeździecki: Źródła I. 159. (r. 1410).

C. v. Raczyński. Cod. dipl. Maj. Pol str. 30 i str. 159 (r. 1426, 3 lip.).

rzc bowiem lubili zawsze nawiązywać na wielkie imiona lub wielkie daty. Czy jednak Fredrówce otrzymały nazwę od Fredrów, czy Fredrowie od nich, to jest pytanie, które się nie da kilku słowy zbyć; wreszcie zaś zdarzało się nieraz, że starano się o nadanie królewskie takich posiadłości, w których faktycznem posiadaniu się było, zwłaszcza kiedy pan sąsiad lub inny zły człowiek legalność tego posiadania kwestyonował. Fakt daléj, że rok z kanclerzami i świadkami (zł. 423—1.428) się nie zgadza, nie jest także sam przez się dowodem, w kopiach nieraz znachodzą się fałszywe daty. Tu zaś słowa Przeździeckiego, że dokument pochodzi „z jego zbioru" nie objaśniają wcale kwestyi: czyli jest z oryginału, czyli z kopii oddrukowany.

Co do 3-go dyplomatu (C.) sądzę, że argumenta przez autora przytoczone nie wystarczą nawet do podejrzenia takowego, nie mówiąc już wcale o falsyfikacie. Dyplomat inserowany ks. Przemysława z r. 1246 ma być podrobionym, gdyż książę przytacza siebie „Ego Premisl dux Pol," zamiast zwykłego (według autora) nos Pr. divina miseracione (lub dei gratia) d. Pol." Tymczasem wydany niedawno Codex maj. Poloniae Zakrzewskiego poucza nas, że obie formy były używane a druga dopiéro dość późno uzyskała stanowczą przewagę (1). Świadkowie są autorowi podejrzani, całkiem niesłusznie. Stan. Pawłowski, choć nie bardzo przez króla lubiony, bywał przecież na dworze, więc podpis jego na dokumencie jest wcale możliwym. Kasztelanem poznańskim, mówi autor, nie był wówczas Tomasz z Pakościa, lecz od r. 1413 aż do r. 1429 Mosticius de Stanschow, według Rz. M. I 3o3 i Rz. M. II 843. Tymczasem w pierwszym tylko z tych dokumentów (z r. 1425) występuje Mosticius jako świadek, drugi z r. 1429. mówiąc o nim dodaje „Olim". Czyż z tego wypływa wniosek, że nasz kasztelan *właśnie* w r. 1429 umarł, czy tylko, że między r. 1425 a 1429 umarł. Zapewne, że to ostatnie; a więc mógł już nie być przy życiu r. 1426 i mieć następcę w Tomaszu z Pakościa. W obec faktu, że Tomasz bardzo krótko sprawował swój urząd, już w r. 1432 znajdujemy na tém samém stanowisku Marcina ze Sławska (Racz. Cod. Maj. Pol. 162), w obec daléj małego zasobu ogłoszonych dotychczas drukiem dokumentów wielkopolskich z czasów Jagiełły, cóż dziwnego, że autor w żadnym innym dyplomie z tych czasów Tomasza jako kasztelana poznań-

---

(1) Jeszcze w r. 1244 pisze się Przemysław: Ego Primisl dux Pol, zupełnie przeto możliwą ta tytulatura i w 2 lata późniéj. Świadkowie w dokumencie Przemysławą nie wzbudzają żadnego podejrzenia, znajdują się bowiem i w innych spółczesnych dyplomatach.

skiego nie znalazł. Nie znalazł przecież żadnego innego nazwiska z tym urzędem, więc nie miał powodu kwestyonować Tomasza z Pakościa. Ta ostatnia uwaga da się też zastosować w zupełności do następnych świadków, dlatego nie będę się nad nimi dłużéj rozwodził. Kończąca dyplomat formuła: „Datum per manus... Joh. Szaffraniec... et Stan. Czolek... regni nri *vice cancellariorum*, jest rzeczywiście nonsensem, ale mógł się go dopuścić nie tylko fałszerz, ale także i wydawca kodexu Raczyński, albo nawet i niewprawny jeszcze pisarz kancelaryjny. Dodatki III i IV, trudniące się poprawianiem i uzupełnianiem dat, są tu prędzéj na swojém miejscu niż dwa poprzednie, dlatego téż fortunniéj wypadły. Dyplomat jednak w dod. III-im C. przytoczony (Rz. M. I 284 „or") zasługiwałby na głębszą rozwagę, a na szczególniejsze uwzględnienie uwaga Rzyszczewskiego, że jest na pół przeciętym. Czy nie chciała go przez to kancelarya, jako zepsuty kawałek lub może jako podrobiony falsyfikat unieważnić. W każdym razie nosi on znowu fatalną datę 1410 (zamiast, sądząc z świadków 1418—1423), a pomyłka ta na karb kopisty pójść nie może w obec dokładnego opisu Rzyszczewskiego, przedstawiającego dokument jako oryginał. Trudno zaś z autorem przypuścić, aby Rzyszczewski pomylił się w opisie dyplomatu.

Kończąc te recenzyą, zwracam się jeszcze raz do autora z prośbą, aby zechciał dać swéj pracy niezbędne uzupełnienie spisem dokumentów Jagiełły. Każdemu z nich potrzebaby tylko poświęcić 1 wiersz druku (1), a tak cała obfita kancelarya Jagiełły (ok. 800 dok.) dałaby się pomieścić na jednym arkuszu. Jestto w interesie nauki w ogóle a specyalnie też w P. Maurera własnym interesie, bo tym sposobem rozprawa jego dziś niezbędna dla każdego pracującego *o kancelaryi Jagiełłowéj*, stałaby się właśnie przez ten spis dokumentów, dający oraz itinerarz króla, niezbędną dla każdego pracującego *o czasach Jagiełły* w ogólności.

Codex diplomaticus majoris Poloniae (wydany staraniem Tow. przyj. nauk. pozn.—Poznań 1877) (in 8-vo maj. I—LXII; 1—590; N-rów 616, lata 984—1287).

Tu mogę być zwięźlejszym, ponieważ uprzedziła mię recenzya takiego znawcy dyplomatów polskich, jak Dr. Franc. Piekosiński

(1) Wystarczą dla oznaczenia każdego dokumentu następujące rubryki: numer bieżący, data (miejsce i czas), strona otrzymująca go, czy oryg. czy kopia i wreszcie skrócone podanie kodeksów gdzie drukowany.

(V. Przegląd krytyczny, 1877, Grudzień, str. 441—464). Wspomniany badacz jednak więcéj zajął się badaniem autentyczności publikowanych tu dokumentów, mniéj zaś słów poświęcił *metodzie*, jakiéj się przy téj publikacyi wydawcy trzymali. Z tego tedy stanowiska pozwolę sobie kilka uwag dodać do cennéj jego recenzyi.

W tym celu, podzielimy sobie cały bogaty zasób (616 n-rów po rok 1287) naszego kodexu na 3 następujące grupy: 1) Przedruki z innych kodexów; 2) dyplomaty, drukowane na podstawie źródeł, które jednak już przedtém były ogłoszone drukiem i 3) dyplomaty po raz pierwszy publikowane.

1) Pierwsza grupa obejmuje przeszło 100 dokumentów zaczerpniętych z kodexów polskich i zagranicznych. Podobne przedruki mają tylko wtedy cel, jeśli są wzięte z dzieł mało dostępnych, albo téż jeśli opracowaniem na podstawie szerszego badania dyplomatycznego przynoszą czystszy text lub ważne dla badacza uwagi. Nie opłaci się zaś wcale przedrukowywać tylko celem osiągnięcia kompletu w pewnym kierunku, bo ten da się bardzo łatwo i o wiele praktyczniéj osiągnąć podaniem regestrów, na miejscu gdzie takie znane dokumenta stać miały z dokładnym podaniem kodexów, gdzie ich zupełny text odnaléść można. Z tych przyczyn tedy rozumiem, dlaczego wydawcy nie pominęli Nakielskiego, Szczygielskiego, Breguigny'ego, Baluza, nie wiem jednak po co przedrukowali z Bielowskiego i Theinera monumentów, z Piekosińskiego i Rzyszczewskiego i Muczkowskiego kodexów; gdyż ani nowych uwag, (prócz geograficznych), ani też tém mniéj czystszego textu nie znajduję. Na udowodnienie tego przytoczę kilka przykładów, przejść bowiem szczegół po szczególe byłoby tu niepodobieństwem. Dla numeru np. 92 posłużył Theiner za podstawę, nie wiem tedy dlaczego poprawne in tubulatione dilatat zmieniono na *dilectat* według gorszego textu Voigta, dlaczego daléj zmieniono inhibemus obu przedruków na *inchibemus*. N-r 110 (z Theinera) otrzymał fałszywą datę *1.220*, zamiast 1.219, jakto już z porównania z bezpośrednio poprzedzającym i następującym numerem wynika. Co do przedruków z Piekosińskiego, to te już dlatego, według mego przekonania, są gorsze od swego wzoru, że pisownia jest zmodernizowana. Uskutecznione są zresztą w ogóle z daleko mniejszą znajomością rzeczy, np. w Nr. 31 (Piekos. M. P. str. 60) pomieszane są zupełnie bez ładu podpisy kardynałów, podczas gdy Piekosiński, (jak tego znajomość kancelaryi papieskiéj wymaga) osobnemi szeregami przytoczył kardynałów biskupów, kard. presbyterów i kard. dyakonów. Dlatego lepiéj zawsze będzie udawać się po odnośne dokumenta do zbio-

rów z których wydawcy czerpali, niż do kodeksu wielkopolskiego (1).

2) Druga grupa jest obszerniejszą, bo obejmuje przeszło 150 aktów. Drukowanie dokumentów już raz publikowanych, na podstawie źródeł nowych lub nawet tych samych, jest bardzo pożądaném, zwłaszcza w tém stadyum początkowém, w jakiém się dziś dyplomatyka nasza znajduje, jest bowiem co najmniéj kontrolą poprzedników. Słuszne jest jednak w takim razie od wydawcy żądać, aby stosunek swój do poprzedników a mianowicie swego źródła do ich źródła, dokładnie oznaczył, bo komuż to łatwiéj uczynić jak jemu? Wielkopolski kodex zostawia nas jednak nieraz pod tym względem w wątpliwości. Tak np. Nr. 23 (Piek. M. P. 1) wzięty jest „ze zbiorów hr. L. Rzyszczewskiego," Piekosiński zaś drukował go według odpisu Helcla, który był czynny przy wydawaniu kodexu Rzyszczewskiego; zdawałoby się tedy, że obaj z jednego czerpali źródła. Tymczasem porównanie obu textów zachwiewa w nas to mniemanie i znajdujemy się w wątpliwości, którą wydawca łatwiéj może mógłby był rozwiązać.

Sądzę daléj, że w tym samym celu edycye poprzedzające każdy dokument powinny być dokładne i w komplecie przytoczone, nie zaś tylko jedna lub dwie. Tak np. Nr. 6 znajduje się nietylko w Haselbacha i Kosegartena kodexie pomorskim (wydawcy nie podają strony ani numeru tamże—ma być Nr. 12), ale także u Bollandystów w t. VI-m Czerwca, str. 48, w Boysena: Allgem. histor. Magasin II. 19. Nr. 122 nie tylko w Piekos. kod. kat. Nr. 19, ale téż w Wiszniewskiego II. 473, w Gładyszewicza Żywocie Prandoty 218, i t. d.

To co w nawiasie wspomniałem, niedokładność cytat, nie jest w kodexie wielkopolskim wcale wyjątkiem; mało to wprawdzie przynosi szkody, gdzie mamy do czynienia z kodexami chronologicznie uporządkowanemi, ale rozbijać się np. po Nakielskim (7 Nr. 34) bez cytatu dokładnego, to naraża na niepotrzebną stratę czasu.

3) Najważniejszy zastęp, bo większą część kodexu stanowią dyplomaty po raz pierwszy publikowane. Tutaj szczególnie czuć się daje brak wskazówek paleograficznych, o którym już Piekosiński dość szeroko się rozwodził, wykazując konieczność nie tylko dokła-

(1) Dodam jeszcze, że w N-rze 7 (Racz. Cod. Maj. Pol. N. 1) nie może być venerabili fratre (z początku dok.) tylko jak Racz. venerabilis frater, bo to jest przecież 5 ty przypadek.

dniejszych opisów, ale nawet przyłączenia próbek z każdego pisma oryginalnego. Dlatego nad tym tematem nie będę się już dłużéj rozwodził, wyrażę tu tylko życzenie, aby cenne wskazówki tego znakomitego naszego dyplomatyka w następnym tomie kodexu uwzględnione zostały. Natomiast nie chcę zakończyć tych uwag bez podniesienia przed forum uczonych jednego szczegółu, na który z D-rem Piekosińskim zgodzić się żadną miarą nie mogę. Wspomniany badacz uważa *dokument Nr. 116* (kopia), zawierający nadanie pustkowia pod Nakłem klasztorom lubiąskiemu i henrykowskiemu przez Władysława Odonicza r. 1225, za falsyfikat, mimo, że powołujący się nań dokument Wincentego arcyb. gniezn. z tegoż roku (Nr. 118) najmniejszego w nim podejrzenia nie budzi. Według niego tedy dokument autentyczny Odonicza z r. 1225 zaginął, pozostał się zaś tylko ów uważany przezeń za falsyfikat Nr. 116. Tymczasem Nr. 116 rzeczowo ani o jotę więcéj w sobie nie zawiera jak powołujący się nań Nr. 118, a tylko bliższe oznaczenie granic, które arcybiskup w skróceniu wprawdzie, ale z zachowaniem tych samych granicznych punktów topograficznych podaje. Że zaś Władysław Odonicz tytułuje się „dux Polonie" zamiast należnego mu dux de Uście, to już musi pójść na karb naszego kopisty z końca 13-go wieku, który zapewne niejeden dokument Odonicza, późniéj rzeczywiście księcia polskiego, tudzież Władysława Laskonogiego, (również dux Pol.) przepisał i wzwyczaiwszy się w tę zwyklejszą w owym czasie kombinacyą, popełnił całkiem niewinnie mały anachronizm. Wywody nieautentyczności N-rów 121, 156 i 165, nie przekonywają mnie także, gdyż możliwém zawsze pozostaje przypuszczenie, że mamy tu do czynienia z omyłką w dacie, co się nie tylko kopistom, ale i pisarzom kancelaryjnym zdarza, bo już samo używanie cyfr rzymskich łatwiéj do takowéj doprowadza.

Nie podnosiłem tu dlatego dodatnich stron kodexu, jakoby ich wcale nie było, owszem trwałéj wartości są np. oznaczenia geograficzne, cenić należy troskliwość, jaką pieczęciom poświęcono i t. d.; ale ponieważ przy omawianiu publikacyi jeszcze nie ukończonych i właśnie w ruchu będących, więcéj zawsze chodzi o wskazanie braków i niedostatków jakie jeszcze mogą być uzupełnione lub przynajmniéj w dalszéj części kodexu uwzględnione, niż o dokładną i wszechstronną recenzyą, którą najlepiéj przedsiębrać dopiéro po przestudyowaniu publikacyi w jéj komplecie.

Dr. Fryd. Papée.

———

Die Uebersetzungen Arabischer Werke in das Lateinische seit dem XI Jahrhundert, przez F. Wüstenfelda, Getynga 1877, w 4-ce str. 138.

Odbitka ta z Rozpraw Akademii Umiejętności Getyngskiéj, jak tytuł wskazuje, zawiera szczegółowy spis uczonych średniowiecznych, którzy, oceniając wyższość nauki arabskiéj a nie znając jeszcze wielu pism greckich i łacińskich, przekładali z języka arabskiego na łaciński różne traktaty i kroniki, a w rzędzie ich i dzieła starożytnych Greków, uprzednio na język arabski przetłómaczone.

Nie zamierzam podawać tu ani oceny, ani streszczenia pracy Wüstenfelda; pierwszéj nie potrafiłbym uczynić, drugie zbyt małoby zajęło czytelnika. Chcę tylko przytoczyć parę ustępów dopełniających poniekąd zajmującą rozprawę d-ra Szokalskiego, którą niedawno (w Październ. 1877) „Ateneum“ drukowało, o tak zwanym Ciołku, czyli Vitellionie, lub poprawniéj Witelonie. Wüstenfeld w rozdziale o tym naszym rodaku trzymał się rozprawki Maks. Curtzego Sur l'orthographie du nom et sur la patrie de Witelo (Vitellion), zamieszczonéj w Bulletino di bibliografia e di storia delle scienze matematiche e fisiche, tom IV, Rzym, str. 49. Zdaje się, że pan Szokalski nie znał ani téj rozprawki, ani dzieła Wüstenfelda; to mię powoduje do skorzystania przynajmniéj z tego ostatniego; nie mogąc bowiem mieć zbioropisma rzymskiego, nie jestem w stanie streścić pracy Curtzego.

Wüstenfeld poświęca Witelonowi rozdział XXVI (str. 111—113) i tak się wyraża: „Witelo był rodowitym polakiem, gdyż sam w swojéj „Optica“ (str. 467, ks. X. § 74) powiada: in nostra terra, scilicet Poloniae (w kraju naszym, to jest w Polsce), a że nazywa siebie filius Thuringorum et Polonórum (syn Turyngii i Polski), to jedni tém tłómaczą, iż matka jego miała pochodzić z Turyngii, inni zaś, z większém prawdopodobieństwem, domyślają się odwrotnie, że ojciec jego przybył z Turyngii do Polski i tam się z Polką ożenił. Późniéj Witelo przebywał we Włoszech i nadmienia, że w przejrzystéj wodzie podziemnéj pieczary pod Cubalus czynił doświadczenia optyczne (Optica str. 440, ks. X. § 42). Ze szczególném zamiłowaniem poszukiwał w księgozbiorach dzieł matematycznych i optycznych, badał pisma Greków i Arabów, a poznawszy się w Rzymie z Wilhelmem z Morbeki (Risner a za nim i p. Szokalski piszą stale „z Morbety“), że ten ostatni zbyt zajęty był urzędem swoim, dał się nakłonić do zamierzonéj przezeń pracy, przełożenia z ję-

zyka arabskiego na łaciński optyki Abu 'Ali Muhammed ben el Hasan Ibn el-Heitham'a (którego imię przekręcono na Alhazena). Odłożywszy więc tymczasowo większe dzieło swoje, nad którém pracował, de ordine eątium (o porządku jestestw), złożył r. 1269 przyjacielowi i orędownikowi swojemu przekład ów, który potém przerobił, opracowawszy go samodzielnie, przy pomocy pism Greków, na dzieło „Opticae libri decem" (Dziesięć ksiąg o optyce)." Daléj W. przytacza ustęp z przedmowy Witelona, w którym powiada, iż dzieło to ułożył, aby czytelnik mógł uniknąć rozwlekłości arabskiéj, zawiłości greckiéj i zbytniéj zwięzłości łacińskiéj. „Nikt tego za fałsz nie weźmie (to jest twierdzenia, że Witelo sam Alhazena przełożył, przypis J. K.) a zatém *to* tłómaczenie przynajmniéj nie jest pióra Gerarda z Kremony." Poczém następuje wyliczenie rękopismów i przytoczenie tytułu wydania dzieł Witelona przez Risnera.

Nie od rzeczy tu będzie dodać to, co tenże autor niemiecki powiada o przyjacielu naszego Witelona, Morbecie (str. 110, 111).

„Wilhelm, rodem ze wsi Mörbeke albo Merbeke we wschodniéj Flandryi, wstąpił do zakonu Dominikanów i zajmował się gorliwie badaniami filozoficznemi i przyrodniczemi. Nauczył się płynnie mówić po grecku podczas dłuższego pobytu w Grecyi; po arabsku też umiał. Po powrocie do Włoch wstąpił do służby przy osobie papieża Klemensa IV, jako kapelan i spowiednik, był przy nim w r. 1268, podczas jego pobytu w Viterbo, spełniał tenże urząd przy Grzegorzu X i towarzyszył mu 1274 na soborze w Lugdunie, gdzie z patryarchą greckim i arcybiskupami mszę po grecku śpiewał. Roku 1278 został mianowany biskupem korynckim i umarł w Koryncie zapewne przed r. 1300. Pomiędzy innemi rzeczami miał przełożyć wszystkie (?) pisma Arystotelesa z języka greckiego na łaciński." Daléj W. wylicza inne prace Wilhelma, jak przekład z języka arabskiego na łaciński pisma „De causis" (O przyczynach), powszechnie przypisywanego w wiekach średnich Arystotelesowi, lecz będącego w istocie dziełem Prokla Diadocha.

Jan Karłowicz

Monografia Lublina.—Napisał Władysław K. Zieliński. Tom I.—Dzieje miasta Lublina.—Lublin 1878 (str. 184 i 36, z rysunkiem przedstawiającym herb miasta).

Z wstępu dowiadujemy się, że autor podzielił pracę swoję na trzy części: 1) dzieje Lublina, 2) opis szczegółowy tego miasta i 3) dyplomataryusz. Dotąd mamy tylko część pierwszą.

Napisanie monografii pewnego miasta nie jest wcale rzeczą łatwą; zabierający się do podobnéj pracy mają wprawdzie wzór w opisie Poznania, dokonanym przez Łukaszewicza, nie mniéj jednak odszukanie źródeł, stosowny dobór materyałów i systematyczne onych uporządkowanie przedstawia wiele trudności, mianowicie, jeśli materyały owe ani wydane, ani krytycznie opracowane poprzednio nie zostały. Dlatego przywiązujemy największą wagę do obiecanéj nam części trzeciéj, mającéj objąć dyplomata i inne dokumenta urzędowe.

Zwracamy przeto do autora prośbę, aby koniecznie postarał się o staranniejszą korektę w części trzeciéj. Błędy druku, któremi upstrzony jest tom pierwszy, lubo nie pożądane, mniéj są wszelako szkodliwe; gdyby w takiéjże ilości ukazały się w dyplomataryuszu, odjęłyby mu wszelką wartość, a jeszcze raz powtarzamy, że do części trzeciéj przywiązujemy główną wagę.

Revue Slave seule publication periodique en langue française, uniquement consacrée à la litterature, aux sciences et aux beaux arts des pays Slaves paraissant de 1 et le 15 de chaque mois.

Redacteur gerant A. de Fontaine. Zeszyt pierwszy wyszedł z druku i zawiera: biografią Słowackiego p. Juliusza Mien; tłómaczenie 1-go aktu Mazepy i dwóch poezyj Słowackiego; tłómaczenie powieści Turgieniewa à la veille (Na Kanunie); tłómaczenie wiersza Siemieńskiego, Studyum o poezyi ludowéj Bulgarskiéj p. C. Courrière; studyum o mitologii słowiańskiéj i tłómaczenie Sprawozdania M. Sokołowskiego o Trójcach o trzech twarzach.

Redaktor wydawca zamierza dać poznać w piśmie tym zachodniéj Europie ruch umysłowy narodów szczepu słowiańskiego, tak mało i tak niedokładnie dotąd znany; a zajmując się wyłącznie literaturą, sztuką i nauką u ludów słowiańskich przedstawić obraz cywilizacyi tych ludów, zajmujących za dni dzisiejszych ważne stanowi-

sko wśród Europy. Politykę wyłącza on zupełnie ze swego programatu, chcąc utrzymać się na stanowisku bezstronnym i zapewnić sobie współpracownictwo ludzi wyższych zdolności we wszystkich narodach słowiańskich.

Pierwszy ten zeszyt, wyłącznie prawie z tłómaczeń złożony, małobardzo może nas pouczyć co do zapatrywania się redakcyi na Słowian i ich dzieła; mamy nadzieję, że dobre chęci redakcyi uwieńczy pomyślny skutek, że potrafi ona przezwyciężyć liczne trudności, które ma do zwalczenia, występując u nas z pismem francuskiém, i że doczekamy się w tym przeglądzie słusznego ocenienia i prawdziwego obrazu wszystkich prac ludów słowiańskich na drodze cywilizacyi.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Owocem dyskusyj przemysłowców warszawskich w salach Magistratu nad środkami polepszenia bytu klas roboczych jest broszura, p. t. *Kilka słów w przedmiocie zabezpieczenia losu rzemieślników i robotników miasta Warszawy.*

Jakkolwiek dyskusye przedstawicieli warszawskiego przemysłu były bardzo poważnie i wyczerpująco traktowane, nie sądzimy jednak, ażeby one bez znajomości tego, co po za granicami naszego kraju na polu socyalném zdziałano, były wystarczającemi do rozwiązania nader trudnéj i skomplikowanéj kwestyi robotniczéj.

Tymczasem autor *Kilku słów* z góry potępia wszystkie projekta, pisane przez ludzi, którzy zapatrują się na tę sprawę według wzorów zagranicznych, czerpanych z wiadomości książkowych (str. 4 i 5). Rzeczywiście, kto przystępuje do pracy z tém przekonaniem, iż świat dopiéro od niego się zaczyna, kto sądzi, iż do pisania książek i tworzenia projektów nie potrzeba studyów i przygotowań, iż dość jest rzec „stań się,“ a stanie się, dla tego wzory zagraniczne, wiadomości książkowe są niepotrzebne, ten będzie mógł tworzyć projekta wsparć na wypadek chorób i kalectw bez zajrzenia do tabel statystycznych, pisać ustawy bez znajomości prawa.

Autor broszury nie myśli tedy zajrzéć do książek, ani zaszczycić zagraniczne instytucye swoją uwagą, a natomiast wzbogaca świat własnemi spostrzeżeniami i owocami 40-letniego doświadczenia.

Otóż, po 40 latach pracy umysłowéj, autor doszedł do następujących odkryć:

1) że robotnik zagraniczny jest więcéj wykształcony, porządniejszy i oszczędniejszy od naszego.

2) że robotników naszych podzielić można na trzy kategorye: *a)* próżniaków, nieporządnych, nałogowych pijaków, nieszanujących cudzéj własności; *b)* chwiejących się między złém a dobrém; *c)* postępowych, uczciwych, trzeźwych, pilnych, oszczędnych i szanujących własność swego pracodawcy.

Choćbyśmy się mieli narazić na usłyszenie anegdotki o jajku Kolumba, nie możemy się wstrzymać od uwagi, że już dawno przed odkryciem zrobioném przez autora broszury nie było dla nas tajemnicą, iż jak inne warstwy społeczeństwa zagranicznego, tak i robotnicy zagraniczni są od nas i robotników naszych więcéj wykształceni, porządniejsi i oszczędniejsi, niemniéj iż pomiędzy robotnikami naszymi, tak samo jak i pomiędzy wszystkimi innymi ludźmi znajdują się dobrzy, mierni i źli.

Autor nie zamyka się w granicach praktycznych spostrzeżeń, ale dotyka i kwestyj teoretycznych, a pomiędzy innemi wygłasza, że wszelkie przedsiębrane środki filantropijne, w celu polepszenia losu naszego robotnika, nie na wiele się przydadzą.

Był czas, iż w stosunkach pomiędzy pracodawcą i robotnikiem stosowano bezwzględnie zasadę wolnéj konkurencyi, iż jedynym czynnikiem w tym stosunku było prawo podaży i ofiarowania, iż po za tém prawem los robotnika był zupełnie dla pracodawcy obojętny. Ogromne wszakże szkody, jakie podobne pojmowanie stosunku dwóch obozów wywołało, nie tylko dla normalnego rozwoju produkcyi, ale dla całego ustroju społeczeństw i państw, przekonały, iż teorya wolnéj konkurencyi nie wystarcza, iż ze stosunku pracodawcy do robotnika żywioł filantropijny w zupełności wykluczyć się nie daje. Zasada ta, która się błąkała z początku tylko w kołach socyalistów, przeszła już i do ekonomistów z powołania, głoszoną jest z katedr uniwersyteckich, i wytworzyła w Niemczech szkołę tak zwaną *Kateder-Socialist'ów.*

Że autor *Kilku słów,* który otwarcie wyznaje swój wstręt do wiadomości książkowych, nie zna nowszych kierunków naukowych, temu bynajmniéj się nie dziwimy; dziwi nas tylko to, iż tak mało zna własny projekt ustawy, który podaje do wiadomości publicznéj, a który na wskroś przesiąknięty jest zasadami filantropii.

Sam fakt zajmowania się przez pracodawców obmyślaniem środków zabezpieczenia losu robotników jest czynem wielce filantropijnym, jest nim tém bardziéj, iż miłość dla robotników nie objawia się w projekcie tym platonicznie, iż pracodawcy nakładają na siebie dobrowolnie podatek na korzyść robotnika.

Jeżeli tedy prawdą jest co głosi autor broszury, iż środki filantropijne nie na wiele się przydadzą, to i projekt jego ustawy jest chybiony, i nie warto go było podawać do wiadomości. Tak jednak nie jest, projektowana ustawa w tym punkcie jest nader użyteczną, i na jak największe zasługuje uznanie.

Tyle o słowie wstępném, przejdźmy teraz do saméj ustawy.

Projekt proponuje założenie stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, które będzie miało na celu udzielanie:

1) bezpłatnéj pomocy lekarskiéj;

2) zapomóg czasowych dla złożonych chorobą;

3) zasiłku na koszta pogrzebu;

4) wsparć jednorazowyeh dla uległych kalectwu i niezdolnych do pracy.

Z planu tego okazuje się, iż stowarzyszenie ma zamiar udzielać pomocy tylko doraźnéj: zapomóg czasowych albo wsparć jednorazowych; wsparcia zaś stałe, a mianowicie emerytura, renta dożywotnia, pensya alimentarna dla wdów i sierot są wykluczone. Pomoc ta nie sięga daléj od téj, jaką robotnicy i rzemieślnicy mają już dzisiaj zapewnioną w wielu zakładach fabrycznych i wszystkich prawie zgromadzeniach cechowych. Marzenia klas roboczych sięgają dzisiaj już daléj, pragną one instytucyi, którąby im zapewniła pomoc stałą na starość lub na wypadek kalectwa, niemniéj opiekę nad wdowami i sierotami. Że tak jest przekonywają fakta. Dnia 27 Października 1877, a więc w tym samym czasie kiedy przedstawiciele przemysłu obradowali w wspaniałych salach Magistratu nad środkami polepszenia losu robotników i rzemieślników, Starsi Zgromadzenia krawców warszawskich uchwalili w skromnéj swéj gospodzie reformę dotychczasowych swych przepisów w przedmiocie wsparć i pomiędzy innemi postanowili:

Każdy członek Zgromadzenia, płacący regularnie składkę roczną po rs. 6, będzie mieć prawo do żądania zasiłku stałego ze Zgromadzenia rocznie

a.	po latach	20-tu	Rs. 50
b.	„ „	25	„ 70
c.	„ „	30	„ 90.

Jeżeliby który z członków życzył sobie zwiększyć zasiłek, w takim razie podwójnie winien wnosić składki roczne, t. j. po rs. 12, za co podwójnie pobiérać będzie zasiłek. (§ VII)

Wdowy, pozostałe z dziećmi małoletniemi, będą miały prawo pobiérać te same zasiłki do czasu dojścia dzieci do pełnoletności,

jeżeli ich mężowie i ojcowie wnosili przez czas wyżéj określony regularnie składki. W razie śmierci ojca i matki, sieroty do czasu ich pełnoletności będą pobiérać zasiłek roczny pod lit. *a* oznaczony, chociażby ich ojciec jeszcze nie doszedł do kategoryi lat 20 składki, jeżeli pozostawi ich w stanie zupełnie biédnym. Jeżeli zaś opłaci więcéj jak lat 20, otrzymają zasiłek roczny ostatniéj kategoryi t. j. Rs. 90. (§ VIII).

Wiele innych Zgromadzeń mają podobne przepisy.

Z tego się okazuje, do jakiéj świadomości doszło już u naszych klas pracujących poczucie potrzeby zapewnienia sobie i rodzinie stałego zasiłku na starość lub na wypadek śmierci. Reprezentanci przemysłu naszego, chcąc tworzyć coś użytecznego dla robotników i rzemieślników, powinni się rachować z panującemi w tych klasach instynktami, z ich pragnieniami i potrzebami, a w każdym razie, chcąc zastąpić istniejące dzisiaj instytucye przezorności czémś nowém, nie powinni dawać mniéj, aniżeli klasy pracujące dziś już posiadają.

Autor *Kilku słów*, wykazując w wstępném słowie niedostatki, jakie czuć się dają w dzisiejszych kasach wsparć, istniejących przy zakładach fabrycznych, wzmiankuje pomiędzy innemi, iż robotnik dotknięty kalectwem i niezdolny do pracy nie ma zapewnionego losu. Po tém przyznaniu niedostatku kas zakładów fabrycznych, spodziewaliśmy się w samym projekcie znaléść uzupełnienie dotkliwego tego braku, projekt wszakże pod tym względem nas rozczarował.

W § 18 znajdujemy wprawdzie wzmiankę, iż z remanentów kasowych corocznie przeznaczone zostaną $^3/_4$ części na utworzenie w przyszłości funduszu emerytalnego, i że po trzech latach istnienia stowarzyszenia Komitet będzie w możności zaprojektować nową ustawę bądź emerytalną, bądź asekuracyjną. Byłoby jednak właściwiéj, gdyby projektodawcy, zamiast karmić robotników daleką jakąś nadzieją, dali im skromną chociażby rzeczywistość. Tłómaczą się wprawdzie tém, iż nie mają dostatecznego pod tym względem doświadczenia. Najlepszy to dowód, iż własne doświadczenie nie wystarcza, iż nie należy gardzić zagranicznemi wzorami, ani wiadomościami książkowemi, bo tamby się znalazła nauka, któraby zastąpiła braki indywidualnego doświadczenia.

Szczupłość zakresu działania projekt stara się wynagrodzić obszernością sfer, mających przyjąć w instytucyi udział. Wedle projektu, do stowarzyszenia obowiązani będą należéć wszyscy rzemieślnicy i robotnicy stale pracujący bądź w warsztatach fabry-

cznych, bądź u majstrów cechowych lub konsensowych, bądź wreszcie u wszelkiego przedsiębiercy, wreszcie do stowarzyszenia będą mogły należéć wszelkie osoby, samodzielnie pracujące, bez różnicy płci i wyznania, jeżeli zadość uczynią wymaganiom ustawy.

Przeciwko obowiązkowemu należeniu do stowarzyszenia wiele jest do powiedzenia; ze względu wszakże na to, iż przymus przeprowadzony w téj formie, jak go projekt proponuje, a mianowicie przez potrącanie składek z wypłat tygodniowego zarobku, nie byłby bardzo dla robotnika uciążliwy i dałby się praktycznie przeprowadzić, nie wszczynamy sporu w kwestyi przymusu, który był główną kością niezgody w łonie obradującego w Magistracie komitetu.

Słabą w tym punkcie stroną projektu jest zupełny brak zabezpieczenia funduszu, potrącanego z tygodniowéj płacy robotnika. Projekt wkłada wprawdzie obowiązek na zarządy fabryk, przy których znajdują się kasy, bezzwłocznego wnoszenia do nich składek, na majstrów zaś i przedsiębiorców mniejszych zakładów wnoszenia takowych, raz na miesiąc, ale przepis ten nie da żadnéj gwarancyi, iż obowiązek będzie ściśle wykonywany. A fundusz robotnika w pocie czoła zapracowany, z uszczupleniem sobie może pokarmu zaoszczędzony, winien być silnie zabezpieczony, wolny od wszelkiego ryzyka. Szufladę majstra, w któréj przez miesiąc spoczywać mają oszczędności robotnika, uważamy za zbyt wątłą hipotekę. A jeżeli majster po miesiącu nie wniesie do kassy stowarzyszenia potrąconych składek, co nastąpi? Proces. Zaoszczędzony tedy fundusz robotnika podlegać będzie tym samym szansom i przechodzić te same koleje procesowe, co pożyczka dana majstrowi na lichwiarski procent, z tą tylko różnicą, iż lichwiarz, jeżeli zobaczy, że wysoka stopa procentowa nie wynagrodzi ryzyka utraty kapitału, pożyczki nie da, robotnik zaś rad nie rad będzie musiał pozwolić na potrącanie ze swéj płacy.

Wspomnieliśmy już, iż projekt nakłada obowiązek na wszystkich właścicieli zakładów fabrycznych i rzemieślniczych, tudzież na wszystkich przedsiębierców obowiązek wnoszenia z własnych funduszów do kasy od każdego pracującego u nich robotnika po kop. 4 tygodniowo, fabryki zaś, w których znajdują się machiny parowe i robotnicy narażeni bywają na częstsze wypadki skaleczenia, obowiązani są wnosić od każdego robotnika po kop. 6 tygodniowo. Zasada to nader humanitarna. Obawiamy się jednak, iż w praktyce nie będzie ona miała téj doniosłości, co na papierze. Jak cena każdéj rzeczy i usługi, tam samo i cena płacy robotnika zależy od prawa podaży i poszukiwania. Im rzecz jaka, lub usługa jest w większéj

ilości ofiarowana, tém cena jéj jest niższa i naodwrót. Tak samo i z robotnikiem; im ofiarowanie pracy przez robotników jest większe, tém płaca jest niższa i vice versa. Przewidujemy tedy możliwość, iż przy natłoku robotnika, pracodawcy wezmą w rachubę składkę, jaką za niego wnoszą do kasy stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, i o tyle płacę robotnika zniżą. Taka sama jednak szansa jest i po stracie robotnika; w wypadku znacznego poszukiwania robotnika, co u nas często się przytrafia, robotnik nie weźmie w rachubę składki, jaka się z płacy jego potrąca, i takową ponosić będzie musiał w całości pracodawca.

Chociaż nie chcieliśmy poruszyć spornéj kwestyi przymusu, to jednak siła rozumowania sama doprowadziła nas do wytknięcia trudności, jakie przymus natrafia z konieczności tam, gdzie regulatorem stosunków jest ekonomiczne prawo podaży i poszukiwania.

Nie może być przedmiotem niniejszéj kroniki szczegółowy rozbiór ustawy, dlatego ograniczamy się tylko na powyższém przedstawieniu podstawowych zasad projektowanéj instytucyi, a słów kilka dodamy tylko o projekcie kasy pożyczkowéj dla rzemieślników i robotników.

Autor *Kilku słów* rozpoczyna ten ustęp swojéj pracy słowami: „nie ulega wątpliwości, iż łatwość dostania pożyczki w razie potrzeby jest dla *robotnika* wielkiém dobrodziejstwem, i że założenie kas pożyczkowych dla tego rodzaju ludzi wielce byłoby pożądaném“ (str. 31). Fakt, który autor podaje jako nieulegający wątpliwości, jest wedle nas bardzo sporny i wątpliwy. Kto zna pojęcie i znaczenie kredytu, ten wie, iż takowy służyć może tylko do celów produkcyjnych, robotnik zaś niepracujący samodzielnie, nieczyniący żadnych nakładów, otrzymujący wynagrodzenie li tylko za natężenie swych sił fizycznych lub intelektualnych, nie potrzebuje kredytu do celów produkcyjnych, a jeśli pożycza, to pożycza na cele konsumcyjne; założenie zaś kasy pożyczkowéj dla takich celów, nie tylko nie jest pożądane, ale przeciwnie jest szkodliwe. Ustęp ten broszury nosi wprawdzie tytuł: o kasach pożyczkowych dla rzemieślników i robotników, projekt zaś utworzony jest dla samych robotników pracujących po fabrykach.

Dla rzemieślników, potrzebujących kapitału na nakłady, kasy takie mogą być użyteczne, dla robotników zaś fabrycznych są one bezwarunkowo szkodliwe. Robotnik potrzebuje wsparcia w razie choroby, nadzwyczajnego wydatku w skutek choroby lub śmierci

członka rodziny, kalectwa lub starości; tym potrzebom należy zadość czynić za pomocą instytucyi przezorności, w rodzaju projektowanego stowarzyszenia wzajemnéj pomocy, które w wypadkach nieszczęścia *pomogą*, a nie *pożyczają*. Pożyczka na chorobę nie jest nakładem produkcyjnym, nie ma więc widoków jéj zwrotu; wsparcie instytucyi przezorności jest bezpowrotne, i dlatego ono tylko zastosowanie znaléść tu może.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.